

Kiedy twój umysł obraca się przeciwko tobie...

**Krzysztof Kotowski**



**NOC  
KAPŁAŃÓW**

Świat Książki



**KOTOWSKI KRZYSZTOF**

**Noc kapłanów**

*Ja jestem Achilles i Hektor,  
Antoniusz i Oktawian,  
Napoleon i Nelson,  
Chrystus i Omen.*

*I pamiętam wszystko!*

*Czy może być coś straszniejszego?*

Krzysztof, pacjent numer 92

X Oddziału Szpitala Psychiatrycznego w Warszawie

## Prolog

Malia, Kreta, rok 1692 p.n.e.

–Znaj chwilę stosowną, a od młodości obieraj mądrość za towarzyszkę życia, ze wszystkich dóbr ona najpewniejsza – powtórzył spokojnie Tacjades, obserwując chłopca.

Niesforny dziesięciolatek wciąż ciskał kamienie w morze, udając, że nie słyszy. Rozczochrane, ciemne włosy wpadały mu do oczu, ale zdawał się nie zwracać na to uwagi. Opadł na kolana i rozpoczął gwałtowne poszukiwania odpowiedniego odłamka skalnego do kolejnej próby. Kamień miał się odbić od powierzchni wody co najmniej trzy razy.

–To nudne, Tacjadesie – jęknął wreszcie dzieciak, wyczuwając, że tym razem nie ucieknie od rozmowy.

–Dlaczego tak uważasz?

–Nie wiem. Po prostu nudne. Po co mam się tego uczyć?

–To nie lekcja, Hezonie, jestem twoim ojcem, nie nauczycielem. – Tacjades postanowił jeszcze trochę być wyrozumiały. – Nie możesz bez przerwy poświęcać czasu na agony[1] z synami Filandra i zawody w ciskanie kamieniami w morze. Przynajmniej kilka chwil dziennie poświęć własnemu umysłowi, nie jesteś fellachem[2] ani zeugitą[3].

–Od tego są lekcje, Astarte, a... – chłopak przerwał w pół zdania, rozumiejąc, że się zagalopował. Zerknął ostrożnie w stronę ojca, ale on patrzył na niego wciąż spokojnie i cierpliwie, lekko tylko marszcząc brwi.

–Przepraszam – dopowiedział cicho. Wstał z kolan i czekał na reakcję Tacjadesa. Ojciec wciąż jednak milczał, przyglądając się rozbieganym, ciemnym oczom dzieciaka.

–Znowu Hollas straszył cię piratami? – spytał wreszcie z troską w głosie.

–Kiedy dorosnę, będę potężny jak Amenemhat[4] – odparł dumnie Hezon, jednak nie zdołał ukryć przed ojcem lęku, który jak na złość teraz wyraźniej dało się wyczuć w głosie chłopca.

–Jesteśmy Eteokreteńczykami[5], a nie Egipcjanami. Wystarczy, że będziesz

mężny jak Filander. I nie kpij więcej przy mnie z Astertusa, to nauczyciel.

–Lecz nudny, Tacjadesie. Wszyscy nazywają go Astarte[6].

–Brawo, obrażają nie tylko nauczyciela, ale i cudzych bogów. Bierz z nich przykład! Jak Astoreth[7] przyjdzie kiedyś do ciebie we śnie i poprosi o rozliczenie, zobaczymy, jaki będziesz bohaterski.

Hezon wyraźnie się wystraszył. Patrzył szeroko otwartymi oczami na ojca, czekając na jakieś wyjaśnienie. Tacjades podszedł do niego szybko i mocno przytulił.

–Żartowałem, maluchu. – Uśmiechnął się dobrodusznie. – Ale nie wyzbywaj się szacunku do żadnego człowieka, jeśli nie jesteś absolutnie pewien, że racja jest po twojej stronie.

–A kiedy mogę być tego pewien?

–Jak dorośniesz, być może twój umysł pozwoli ci dostrzegać różnice między ludźmi. A jeśli jeszcze raz Hollas będzie paplać o piratach, powiedz mu, że poproszę kapłana, aby nasłał na niego Molocha[8]. Nie żartuję! To nie są tematy do rozmów młodzieńców.

–Moloch to też nie nasz bóg – jęknął nieśmiało dzieciak.

–Wiem, ale dla celów wychowawczych możemy go sobie pożyczyć zza morza!

Przez chwilę nic nie mówili. Szum morza jakby przycichł i wyraźniej słyhać było ze wzgórza pomruk potężnego pałacu, widocznego stąd jak na dłoni. Dziesiątki postaci krzątających się między wszechobecnymi czerwonymi kolumnami na wszystkich kondygnacjach niczym w labiryncie Dedala[9] gotowały się do wieczornych zajęć: narad, modłów, spotkań lub pracy przy pitosach[10], w ogromnych kuchniach czy przy remoncie skrzydła wschodniego, który trwał już od wiosny. Choć z tego miejsca do pierwszych polythyr[11] trzeba było iść co najmniej trzy stadiony[12], ta niezwykła, monumentalna, asymetryczna kompozycja z najprzeróżniejszej wielkości bloków, sześcianów i prostokątów składających się na apartamenty, megarony[13], perystyle[14], łaźnie czy baseny nawet o tej porze dnia, kiedy słońce miało się ku zachodowi – pyszniła się szczegółami, kolorytem i fantazją zrodzoną niegdyś w umysłach wielkich inżynierów z Malii. Potężna bryła pałacu być może nie była aż tak ogromna jak w Knossos, a całość tak bogata jak w Fajstos, ale musiała nowych przybyszów przygniatać już samym swoim wyglądem niczym uśpiony cyklop zastygły w skałach.

Tacjades dostrzegł drobną postać biegnącą w ich stronę. Po chwili rozpoznał Tiksa – jednego z chłopców roznoszących drobne wiadomości wśród prytańców[15] i ich rodzin.

–Panie! – krzyczał z daleka. – Straszne wieści! Straszne wieści! Panie!

–Spokojnie, chłopcze – rzekł Tacjades, gdy posłaniec w końcu go dopadł.

Wiedział, że dzieciak często zbyt aktorsko przekazuje rozprawdane wiadomości. – Mów po ludzku.

–Czcigodny Filander kazał natychmiast cię znaleźć, panie. Zaraz narada u króla!

–A co w tym takiego strasznego?

Tiks przez chwilę znieruchomiał, jakby obliczał coś w swojej rozgrzanej łepetynie.

–Tak dokładnie to nie wiem – przyznał ze wstydem. – Ale wiem, że coś się stało.

**W pałacu wielki niepokój i pośpiech.**

**Tacjades przez moment się zastanawiał. Poprawił na ramionach swoją szatę przypominającą nieco męski peplos[16] i roztarł dłonie, jak to zwykle czynił, gdy chwila wymagała rozważnej decyzji. Jego szczupła sylwetka, mimo młodego jeszcze wieku, miała w sobie naturalną dostojność. Zaczynał łysieć, ale nie robił z tego problemu. Ciemne, lekko przymrużone oczy nigdy nie gubiły wrodzonego spokoju, choć tym razem tliła się w nich zapowiedź ostrzegawczej myśli, że może jednak dzisiaj Tiks niewiele mija się z prawdą.**

**–Hezonie, wracaj do matki – rzucił w stronę syna cicho, ale na tyle zdecydowanie, aby tamtemu szybko wyparowały z głowy jakiegokolwiek buntownicze pomysły. – I włóż coś na siebie, nie biegaj tak nago, robi się zimno.**

**Chłopcy pomknęli szybko w stronę pałacu, ale Tacjades został jeszcze przez chwilę nad brzegiem morza. Wbił wzrok daleko w horyzont, zaciskając mimowolnie dłonie.**

**–O Demeter[17], chroń nas! – wyszeptał. – Oby to nie było to, co myślę.**

**–To łotry, penisy[18], raby[19] gówniane! – cedził przez zęby Filander, potężny, wysoki, imponująco umięśniony blondyn idący obok przyjaciela długim korytarzem wzdłuż dziedzińca oddzielonego od nich portykiem. Świeżo odmalowane na ciemnoczerwono kolumny pachniały jeszcze farbą.**

**–Ciszej! – skarcił go Tacjades. – Nie wzbudzaj paniki. Kto jeszcze o tym wie?**

**–Nie mam pojęcia, posłowie są u króla. Jutro będziemy chyba jechali do Knossos.**

**–A tamci już wiedzą?**

**–Posłowie mówią, że tak.**

**Zaniepokojony Tacjades pokręcił głową.**

**–Ale Fajstos?! Rozumiem, że napadali na niewielkie miściny, lecz porwać się na taki pałac...**

**–Coraz bardziej są rozzuchwaleni, chcą prawdziwych bogactw, rosną w siłę.**

**Niechby ich Megera[20] potopiła w wirach! – pomstował Filander. – Od lat mówię, że powinniśmy mieć oddziały z prawdziwego zdarzenia, jak Egipcjanie, a nie tę bandę śpiewaków i tupaczy, którzy udają Hyksosów[21].**

**Tacjades zatrzymał się na chwilę, gniewnie spoglądając na przyjaciela.**

**–Pamiętasz jakąś wojnę na wyspie?**

**–No i co z tego?**

**–Mój ojciec, dziad i przodkowie, których znam, też nie pamiętają! To nie Cyrenajka[22] czy Argolida[23]! My nie znamy wojen! Nie umiemy ich prowadzić! Nie ma kto nas uczyć! Naczytałeś się i napatrzyłeś na Egipcjan, i prężysz mięśnie, a jak chcesz to zrobić?!**

**–Byliśmy tyle razy w Egipcie – upierał się Filander.**

**–Ale po to, by handlować! Wiesz, co będzie, jak się dowiedzą, że chcemy się zbroić?!**

**–Jesteśmy zagrożeni!**

**–To tylko piraci! – przerwał mu zdecydowanie Tacjades. – Zapuścili się za daleko i dostaną nauczkę, na to mamy siłę. Fajstos jest kiepsko ufortyfikowane i pewnie**

**dlatego tam uderzyli, ale pamiętaj – to tylko bandy byłych rabów.**

**–I byłych żołnierzy – dopowiedział Filander.**

**–Wiesz coś o stratach?**

**–Odparli ich, jednak podobno nie jest dobrze. To dla nich wielki szok.**

**–Jak to po napadzie. Ilu ludzi zginęło?**

**–Nie wiem.**

**–A majątek?**

**–Nie wiem.**

**Tacjades machnął ręką.**

**–To przestań histeryzować, bo cię chłopcy usłyszą! Mój syn już chodzi cały rozdygotany, bo Hollas zachowuje się jak ty. Pójdziemy zaraz na radę i opanujemy sytuację. Kiedy mamy być u króla?**

**–Przyślą po nas.**

**–Dobrze, idę na razie do siebie, może zdążę się jeszcze umyć.**

**Tacjades dotknął ręką czoła i oparł się o ścianę.**

**–Co ci jest? – spytał Filander, widząc jego wykrzywioną twarz.**

**–Głowa mnie rozbolała, pewnie od tego twojego biadolenia – odparł, jakby bagatelizował sprawę, ale po chwili aż syknął z bólu i zacisnął mocno oczy.**

**–Lepiej poślę po lekarza, żebyś u króla był w formie.**

**–Jeśli mógłbyś... może rzeczywiście. Pójdę się na chwilę położyć.**

**–Lostis czy Alaraster?**

**–Obu nie lubię. Przyślij kogokolwiek. – Tacjades machnął ręką i poszedł wolno w stronę swojego apartamentu.**

**Hezon biegł dziedzińcem najszybciej jak tylko potrafił, by wreszcie dopaść drzwi, a następnie wspiąć się na schody. Tam spodziewał się zastać Filandra, który, choć wciąż zaaferowany wieściami z Fajstos, nie mógł się oprzeć, aby nie poklepać po pośladkach dwóch nagich służek przemykających korytarzem. Hezon, nie zważając na wymianę uśmiechów między nim a dziewczętami, dopadł do olbrzyma i mocno pociągnął go za tunikę.**

**–Uważaj, Hezonie! – Filander się uśmiechnął. – Podrzesz mi ubranie, a nie mam ciała takiego jak te syreny! – Widząc jednak przerażenie w oczach chłopca, szybko spowaźniał. – Co znowu?! – spytał z niepokojem.**

**–Mój ojciec!**

**–Jest u siebie – odparł Filander.**

**–Wiem! Ale coś się stało... Dopadły go duchy z Hadesu[24]! [Wydierają mu serce!](#)**

**[Ratuj go!](#)**

**–Przyłóż sobie coś zimnego do czoła, głuptasie, ponosi cię.**

**–Błagam, Filandrze, biegnij ze mną do niego!**

**–Nie żartuj ze mnie, Hezonie. – Olbrzym pokiwał groźnie palcem. – Ja też w dzieciństwie czytałem bajki cyrenajskie, ale nie robiłem o to tyle hałasu!**

**Łzy w oczach dzieciaka wydały mu się jednak autentyczne.**

**–Zaraz jest narada u króla, ale... no, dobrze, tylko szybko. Jeśli to żart, powieszę cię do góry nogami na drzewie przy dziedzińcu! – mruknął ostrzegawczo.**

Gdy dobiegli do łoża, Tacjades był przytomny. Miał spocone czoło, szeroko otwarte, nieobecne oczy, rozszerzone źrenice, a ciałem dziwnie regularnie wstrząsały dreszcze, jakby był rzeczywiście poważnie chory. Przerażony lekarz stał przy nim, nieśmiało spoglądając co pewien czas na gniewne oblicze Filandra.

–Wiem, że nie lubisz lekarzy, ale to już przesada – wyszeptał przyjacielowi prosto do ucha olbrzym. – Co ci się stało, stary brachu?

Tacjades jakby nie usłyszał tych słów. Patrzył spokojnie, choć tępo w sufit, nie reagując.

–Powiedz coś, podstępny Sylenie[25], [bo naprawdę zaczniemy się bać. Trzeba iść do króla – jęknął Filander.](#)

Chory zerwał się nagle i mocno złapał szatę przyjaciela tak, że nawet on miał kłopot z nabraniem tchu.

–Dalekie krainy! – krzyknął Tacjades prosto w jego twarz. – Nieznani ludzie, nieznani bogowie i wojny! Jestem tam, Filandrze! Jestem tam teraz! Zabierz mnie z tego Hadesu, bo umarli idą po mnie!

–Ciągle to krzyczy – wyjąkał lekarz z trwogą.

–Powinno się tu zabronić czytania wierszy Cyrenajczyków; poważni prythanowie już nawet chorują w poetyckim stylu. – Filander próbował się uśmiechnąć, ale po chwili spochmurniał, zniżył głos i nachylił się nad przyjacielem. – Nie wygłupiaj się, stary brachu, nie jest tak źle, nie wiedziałem, że ci piraci zrobią na tobie aż takie wrażenie.

Tacjades złapał kilka głębszych oddechów i zaczął mówić, ale już znacznie ciszej.

–Ja nie żartuję – szeptał przerażony. – Widzę dalekie przestrzenie, tak jak ciebie tutaj. Widzę strach, jaki trudno wyobrazić sobie śmiertelnikowi. Coś wciąga mnie niczym wir morski i wiem, że już nie puści, a ty nie jesteś w stanie tego zobaczyć. To przecież nie jest śmierć!

Filander mocno przygarnął do siebie Tacjadesa.

–Po prostu nagle się rozchorowałeś, może coś ci zaszkodziło, może nawąchałeś się tych dziwnych roślin z wybrzeża, może chłodny wiatr od morza przyniósł z tymi rabami jakieś świństwo, ale to z pewnością nie śmierć – uspokoił go, sam drżąc coraz bardziej.

–Wiem, że to nie śmierć – odparł chory prawie normalnym tonem. – Ale lęk rozdziera mnie na strzępy, bo czuję, że to coś znacznie gorszego.

Okolice Jelling, kraj Danów rok 987

Konie Devirka i Desgeara gnały przez las tak szybko, że nie sposób było zatrzymać spojrzenia choć na chwilę na jakimkolwiek drzewie czy zwierzynie, z rzadka umykającej z drogi przed jeźdźcami. Zaczęło świtać już jakiś czas temu, jednak mimo że pół nocy jechali, nadal nie zwalniali tempa, mknąc wciąż na południe.

Devirk – młodszy o kilka lat od Desgeara i jakby drobniejszy, twarz miał delikatniejszą i mniej surową, ale włosy dłuższe, jasne jak zboże, niezwiązane niczym. O pół konia z przodu jechał Desgear, ubrany stosowniej do podróży – w ciepłe spodnie wąskie na łydkach i szerokie, gęsto plisowane od kolan w górę, koszulę wełnianą i wygodny kaftan ze skóry. Włosy splecione w regularne warkocze



nie przeszkadzały mu w szybkiej jeździe, choć gdyby ktoś teraz zajrzał mu w rozpalone oczy i dostrzegł zaciśnięte usta – z pewnością nie uciekłyby od trwogi i widok ten musiałby zapamiętać na długo.

Devirk wyglądał nie tylko na spokojniejszego, ale nawet pozbawionego jakichkolwiek emocji. Jechał za starszym bratem jakby w półśnie, tępo wpatrzony w kłęb jego konia, nie mówiąc nic i nie narzekając na zimno, choć miał na sobie tylko długą koszulę i lekkie spodnie. Na szczęście heyannir[26] łagodny był tego lata i chłód nie dokuczał dotkliwie, choć właśnie o zdrowie brata teraz, kiedy zgubili już pogoń, Desgear martwił się najbardziej. Z przodu po prawej stronie błysnęło między drzewami jezioro i starszy brat postanowił zwolnić.

–Widzę jakieś domostwo! – krzyknął do tyłu, ale Devirk nie zareagował. Jechał wciąż za Desgearem, jakby obojętne mu było, dokąd go zaprowadzi.

Chata wyglądała na rybacką, mocno nadgryzioną zębem czasu, zaniedbaną i chyba opuszczoną, więc skręcili w jej stronę, ale jadąc już ostrożniej. Zanim jednak zatrzymali konie, z ciemnego wnętrza wyłonił się siwy starzec bez broni i – jak szybko dostrzegł Desgear – także bez oznak strachu na twarzy, czym na pierwszy rzut oka zyskał sobie jego sympatię. Strój starca wydał się obu braciom dość dziwny, niepraktyczny i nazbyt kolorowy: pełen ozdób, pętelek i osobliwych sznurków. Wszystko to było dziwaczne, bo nijak taka postać nie pasowała do rozwalającej się chałupy. Starość raczej nie nadwerżyła jeszcze jego tężyzny i – jak wynikało z wyrazu twarzy – także nie zaraziła umysłu. Tylko siwe włosy i poorane bruzdami czoło wskazywały na podeszły wiek.

–Jestem Desgear, syn Denavala, karl[27], a to mój brat Devirk – przywitał się uprzejmie starszy z jeźdźców, cały czas uważnie obserwując starca. Na wszelki wypadek.

Ten ukłonił się, ale choć odpowiedział wolno i starał się mówić jak najwyraźniej, Desgear nie zrozumiał ani jednego słowa. No, może tylko *heil!*, co pewnie miało oznaczać powitanie. Chwilę niezręcznej ciszy przerwał spokojny, zmęczony głos Devirka.

–Mówi językiem Ludolfingów[28], jest z kraju Ottonów.

–A skąd ty to możesz wiedzieć?! – zbeształ go Desgear.

Devirk ponownie nie zwrócił uwagi na jego słowa, tylko – bez najmniejszego zresztą problemu – wypowiedział kilka niezrozumiałych dla starszego brata zdań, na które z kolei starzec zareagował z ogromnym entuzjazmem, rewanżując się kolejnym zbiorem syczących, szeleszczących i bełkotliwych – jakby szczekał pies – głosek.

–Mówi, że jest podróżnikiem i kronikarzem – wyjaśnił Devirk. – Przybył tu z synem, który poszedł chyba coś upolować. Bardzo jest rad, że nas spotkał i że rozumiemy jego mowę.

–Widzę – warknął rozdrażniony Desgear. – Japa mu się cieszy, jakby wygrał worek złota w nefatavl[29].

Zeskoczył z konia, uśmiechając się możliwie najszczerzej do starca, ale szybko spoważniał, kiedy podszedł do wciąż tkwiącego na koniu brata.

–Skąd znasz jego język?! – syknął z wyraźnym niepokojem.

–Nie wiem – odparł obojętnie Devirk. – Zostajemy tu?

–Na wszystkich Azów[30] i Wanów[31], co się z tobą dzieje, bracie?!

–Zostajemy tu? On nas zaprasza.

Desgear zacisnął mocniej usta z bezsilności.

–Powiedz mu, że zostajemy, jeśli pozwoli – rzekł z irytacją.

Devirk szepnął do starca kilka słów, a po otrzymanej odpowiedzi zgramolił się z konia i niemal natychmiast upadł na ziemię.

–Mój brat jest chory! – rzucił Desgear do Niemca, ale tego nikt nie musiał tłumaczyć. Tamten szybko podszedł do nich, aby pomóc przenieść młodego do chaty.

W środku położyli go na starym, drewnianym wyrze i dopiero teraz Desgear miał czas, aby się rozejrzeć.

–Co za brudas z tego Ottina, ten chlew nie nadaje się nawet dla zwierząt – jęknął, przykrywając brata swoim kaftanem.

–To nie jest jego dom, przyjechał tu wczoraj i dzisiaj wyjeżdża – odparł Devirk, otwierając zamknięte przez dłuższy czas oczy. – Nie wie, czyj to dom.

–Odpoczywaj.

–Widzę, że trudny czas obudził w tobie starych bogów.

–Nie trzeba ich zapominać, nawet wyznając Christa[32]. Szczególnie teraz.

Starzec, widząc, że bracia chcą porozmawiać, wyszedł z chaty. Chwilę później wikingowie znów usłyszeli to dziwne szwargotanie, którym przywitał ich „gospodarz”, po czym jakaś wielka głowa z nienaturalnie krótkimi włosami zajrzała do chaty, aby się przywitać i szczerknęła oczywiście – *Heil!* Uśmiech zdradził brak kilku kluczowych dla urody zębów, ale widać syn kronikarza nie miał kompleksów. Bracia przerwali rozmowę. Na ich oko młody Niemiec, w wieku około trzydziestu lat, wyglądał trochę głupkowato, więc tylko uprzejmie mu się odклонili i przestali zwracać na niego uwagę.

–Nie martw się tak – powiedział wreszcie Devirk, widząc wciąż zasmucone oblicze brata. – I tak podróż była nam sądzona.

–Podróż?! – oburzył się Desgear. – W środku nocy, niemal bez niczego, z sakwą na życie i jazdę może nawet do vetr[33], musieliśmy uciekać przed mieczami Tveskaega[34], bo tobie zachciało się romansowania z córką Dagome[35]? To nazywasz „podróż”?!

–Ona nie jest jego żoną i być może nigdy nie będzie – odparł spokojnie Devirk.

–I jeszcze to! Teraz, kiedy zmogła cię ta straszna choroba! – warknął przez zęby Desgear, nie chcąc jednak, aby szwargoczący przed chatą Niemcy go usłyszeli.

–Kocham cię, bracie, ale nie prosiłem, abys mnie ratował.

–Stul dziób, młokosie! Miałem pozwolić, by roznieśli cię na mieczach? Od tygodnia jesteś półprzytomny. I tak wyglądasz, jakbyś umierał.

–Co chcesz teraz zrobić?

Desgear nabrał głęboko powietrza, aby się uspokoić.

–Chcę dotrzeć do Truso[36]. Słyszałem, że w tym mieście żyją w zgodzie i pokoju Słowianie, Danowie, Fryzowie, a nawet Sasi. Tam mamy szansę. Zapomnimy, kim

[jesteśmy, zaczniemy od początku.](#)

–Widziałem, jak zapomniałeś, kim jesteś. – Devirk uśmiechnął się z trudem. – Wypaplałeś temu Ottinowi wszystko już w pierwszym zdaniu.

–Tutaj to co innego. Jesteśmy w swoim kraju. Zanim się rozniesie, co się stało, otworem staną przed nami wszystkie drzwi.

–Może jednak pójść za jarlem[37]?

–Jarl jest zgubiony. Tylko na południu będziemy bezpieczni. Odpoczywaj.

–Ból głowy mija, słabość powoli też.

–Widziałem. Z konia zeskoczyłeś jak Tyr[38].

–To chwilowe, wiem, co mówię. – Devirk oparł się na łokciu – Nie rozumiesz tego, bracie.

–Tak! Nie rozumiem! – Desgear wpił gniewny wzrok w młodego. – Nie wiem, jakie to czary i kto ci to zrobił, a choć znasz mnie, lękam się. Przez tyle dni w łożu krzyczałeś o bogach, dalekich krainach, szeptałeś w niezrozumiałych językach, teraz rozmawiasz jak ze swoim z tym Ottinem. Powiedz mi prawdę! Nie opuszczę cię, ale powiedz, co się dzieje?

–Sam tego nie pojmuję i wierz mi, że życie chciałem sobie odebrać jeszcze niedawno, jednak teraz próbuję... – głos Devirka wreszcie stracił obojętność. – Od pacholących lat pływam z tobą po świecie i dużo już widziałem, ale to jest... jak wszystko na raz. Jak spojrzenie boga, większego od Walfadra[39], [o którym Bestii\[40\] marzyć nie mogła.](#)

–Skąd znasz język Ludolfingów?!

–Znam języki ludów Karola[41] [i dawnych cesarzy\[42\]. Znam krainy tak dalekie, że bracia o nich nawet nie marzyli. Znam istnień tysiące i śmierci tysiące, bo ktoś rozwarł przede mną jakąś bramę straszną i piękną, a pamięć otworzyła się na wszystkie czasy. Bracie, ja żyję tu i wszędzie jednocześnie, a jedyne, czego nie wiem, to kim naprawdę jestem i dlaczego jestem.](#)

Devirk opadł z powrotem na łóżko, aby odpocząć.

–No, skromności to ci raczej nie przybyło – mruknął Desgear.

W głębi serca był przerażony. Objął dłońmi głowę i próbował się uspokoić. Podszedł chwiejnym krokiem do wyjścia, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, stanął w progu i ciężko oddychał, jakby to on biegł pół nocy zamiast koni. Stary Niemiec zbliżył się do niego, gadając po swojemu, jednak wiking nie reagował. Chciał wierzyć, że jego brat chwilowo postradał zmysły i że to minie w podróży, ale szaleńcy nie mówią językami ludów, których nigdy wcześniej nie poznali.

Niemcy pożegnali się około południa. Zrobili to na migi z Desgearem, któremu udało się wymachać uprzejmą prośbę, aby nie budzić brata, bo jest chory i przyda mu się kilkugodzinny odpoczynek. Wcześniej starzec zapisał kilka zdań w swojej księdze, po czym wyprowadził z synem z małej przybudówki w tylnej części chałupy wóz, na którym umieścił niewielki dobytek oraz własną, szanowną osobę. Ciekawostką było to, że do wozu zaprzęgił osła, bo konia miał tylko szczerbaty olbrzym. Desgear odetchnął z ulgą, widząc, że wędrowcy nie kierują się w stronę Jelling, a raczej w stronę Zelandii. Wiking odprowadzał wzrokiem dwójkę dziwaków,

aż zniknęli między drzewami, a następnie wrócił do środka, gdzie od kilku już godzin Devirk spał tak mocno, że nie zbudziły go nawet hałasy pakowania kolejnych tobołków dwumetrowego, potężnego jak tur, za to wiecznie uśmiechniętego syna kronikarza. Ojciec, jak zorientował się Desgear, kilkakrotnie zwracał mu uwagę, by robił to ciszej, ale szczerbol wyraźnie nic nie mógł na to poradzić, że urodził się z rękami wyciosanymi z dębówin najciemniejszego saskiego lasu i – niestety – subtelnością Polifema[43].

Devirk obudził się dopiero pod wieczór, ale już po kilku chwilach poczuł dziwny, nieodparty niepokój. Siły wyraźnie mu wróciły i – jak ocenił po pewnym czasie Desgear – fizycznie właściwie przypominał młokosa sprzed kilku tygodni, gorzej było z tym, co brat dostrzegł w jego oczach.

–Na jak długo starczy ci tym razem sił? – spytał na wszelki wypadek.

–Teraz już będzie tylko lepiej – odparł Devirk, wyraźnie czegoś nasłuchując.

Podszedł ostrożnie do wyjścia, usiadł przy nim na minutę i dał znak Desgearowi, aby zamilkł. Oczy młodego wikinga błyszczały w mroku jak ślepie sokoła szukającego zdobyczy. Jego ruchy – ciche, spokojne, przypominające bratu skradającego się wilka lub szakala z kraju Maurów, podarowanego niegdyś przez tamtejszego księcia Kamaala Sinozębemu, do którego tylko jarl mógł podchodzić i karmić go z ręki – znów obudziły stary lęk Desgeara.

–Coś słyszysz? – zagadnął szeptem z wyraźnym niepokojem.

Devirk poprosił gestem, aby brat milczał jeszcze przez moment, po czym poświęcił kilka chwil na zastanowienie. Opuścił głowę i zamknął oczy. Nie na długo jednak. Nie czas było teraz odpoczywać. Otworzył więc powieki i wbił wzrok w drzwi wejściowe.

–Co się dzieje?! – spytał wciąż szeptem, ale już bardziej zdecydowanie Desgear.

–Jak tu przyjechaliśmy, z tyłu, za domem widziałem starą łódź rybacką. Kiepską i wolną, ale to jedyna szansa – Devirk mówił to, nie spuszczając z oka wejścia do domu. – Musisz przepłynąć na drugą stronę jeziora. Tam się spotkamy.

–Czyś ty postradał zmysły?! – oburzył się nie na żarty Desgear. – Myślisz, że znaleźli nas?

–Nie myślę, tylko wiem, że nas znaleźli, ale nie ci, o których myślisz.

–Na Thora[44]! Kiedy ich usłyszałeś?

–Otoczyli dom, są w promieniu stu kroków od chaty.

–Skąd to wiesz, może ci się wydaje? Ja ich nawet nie usłyszałem, a ty wiesz, gdzie oni są?! To może powiesz jeszcze, ilu ich jest?

–Czterech.

–O Boże Chrście! Pomóż! – Desgear złapał się za głowę. – Albo ty jesteś szalony, albo czeka nas walka, a miecz mam tylko ja. Twojego nie zdążyliśmy zabrać. Skąd wiesz, że jest ich czterech?

–Wiem. Posłuchaj teraz. – Młody wiking przeniósł wzrok na brata. – Tak nie damy rady, musisz zrobić to, o co prosiłem.

–To znaczy uciec?! – Desgearowi nie mieściło się to w głowie. – I zostawić ciebie, młokosa, na pastwę tych czterech, jak mówisz, zbirów. Kompletnie już postradałeś

zmysły!

–Wybacz mi bracie – prosił dalej Devirk. – Ale skoro widziałeś już tyle dziwnych rzeczy związanych ze mną, to uwierz mi, błagam, jeszcze tym razem, inaczej zginiemy.

–Chcesz z nimi walczyć sam?

–Ty nie dasz im rady.

–Przecież to ja cię uczyłem walki! Nie ma lepszego ode mnie w Jelling!

–W Jelling tak, lecz takich jak oni nigdy jeszcze nie miałeś przed sobą. W normalnych warunkach pięciu naszych nie dałoby rady nawet jednemu z nich.

Desgear cofnął się o krok pod ścianę i lekko otworzył usta, starając się za wszelką cenę ukryć przerażenie.

–Skąd wiesz?!

–Mówi mi to coś, co przybyło do mojego umysłu kilka dni temu i czego się tak lękasz. Wiem, kim są ci ludzie, i wiem, czego chcą. Przy nich psy Tveskasga to dzieciaki z różgami.

–Jeśli mamy zginąć, to razem.

–Oni nie przyszli po ciebie, ale po mnie. Ciebie zabiją tylko wtedy, jeśli staniesz im na drodze.

–Dlaczego chcą właśnie ciebie?

–Bo wiedzą, kim jestem. Chcą tego, co mam teraz w głowie. Nie wiedzą tylko, na ile zdążyłem nabrać sił. – Devirk przerwał na chwilę, aby Desgear dokładnie go usłyszał. – Dam im radę, jeśli wsiądziesz na tę łódź i zdołasz uciec. Nie będą cię gonić.

–Dwóch to lepiej niż jeden!

–Nie tym razem. Natychmiast cię zabiją albo wykorzystają przeciwko mnie.

–Dość, Devirk! Nie mam zamiaru tego słuchać. Pójdę razem z tobą. – Desgear wyjął miecz gotów do walki.

–Mamy tylko jeden miecz – zauważył spokojnie młody wiking.

–Jest tu trochę żelastwa, użyjemy go jako broni, może uda się im coś odebrać.

–Desgearze! – przerwał zdecydowanie Devirk. – Kończy nam się czas. Jeśli mnie nie posłuchasz, odbiorę ci miecz, a jeśli będę musiał, odbiorę ci też przytomność, abyś nie mógł przeszkodzić.

–O czym ty mówisz, bezczelny dzieciaku?! – roześmiał się po raz pierwszy od wielu dni starszy brat. – Nie potrafiłeś mi nigdy zadać żadnego ciosu nawet drewnianym mieczem, a to nie zabawa. To jest metal; zabija, a ty nigdy jeszcze nikogo nie zabiłeś!

Zanim Desgear skończył, Devirk już był przy nim. Niemal niezauważalnym, precyzyjnym ruchem podbił w odpowiednim miejscu nadgarstek brata, wyjął mu z tak rozluźnionego na chwilę chwytu miecz i przystawił błyskawicznie ostrze do szyi Desgeara.

–Ja nie żartuję – szepnął bratu prosto do ucha Devirk. – Zrobisz, o co proszę, czy pogrzebiesz swym uporem nas obu?

Nastąpiła krótka chwila ciszy. Niewielka strużka potu przemierzyła policzek

**Desgeara.**

**–Zrobię, co powiesz – odparł wolno starszy wiking. Mimo że brat oddał mu już miecz, nadal stał jak wryty na środku chaty. – Na Odyna! – szepnął, czując, jak łyzy napływają mu do oczu. – Jeśli nawet bogowie są w moim bracie, jak mam go opuścić? Dan tego nie potrafi...**

**–Tylko tak możesz mi pomóc. Przedostań się na drugą stronę jeziora. Miecz weź, może być ci potrzebny. – Devirk podbiegł do wyjścia, po czym zniknął za nim niemal bezszelestnie.**

**Cisza dochodząca zewsząd do uszu Desgeara była nieznośna. Jeśli nawet w lesie jego brat walczył teraz na śmierć i życie, nie była to walka, którą Dan znał z dotychczasowego życia. Nikt nie krzyczał, nie ścierał się mieczem z wrogiem, nie upadał pokonany na ziemię, co Desgear na pewno by usłyszał. Tylko czasem jakiś krótki świst, złamana gałązka, jakby wiatr na chwilę wniknął między drzewa i znowu cisza. Mimo strachu narastającego coraz chłodniejszym cieniem w sercu, które, wydawać by się mogło, zamarło w przerażeniu – dumny wiking nie potrafił uciec. Ścisnął broń mocno w dłoni i wyszedł przed chatę, czekając na to, co nieuchronne. Dopiero teraz usłyszał, jak miecze spotykają się ze sobą. Ale czyniły to tak niesłychanie szybko, że żaden normalny człowiek dokonać by tego nie potrafił. Nagle na tle ściany lasu pojawił się człowiek ubrany w ciemnozieloną sukmanę, niczym mnich, niemal natychmiast padając na ziemię po straszliwym ciosie. Leżał przez moment, nie mogąc się ruszyć, ale po chwili ciężko wstał i podniósł z ziemi sztylet, który wypuścił z rąk. Wtedy zza drzew wyłonił się Devirk. Jego wilcze spojrzenie jeszcze bardziej przeraziło Desgeara i tak już odchodzącego od zmysłów w tę diabelską noc. Młody wiking trzymał w rękach czyjś miecz. Trochę inny niż zwykła broń Danów, bardziej zakrzywiony, przypominający italski. Wolno, spokojnie zbliżał się do rannego. Z lasu wyłonił się kolejny mnich. Szedł, zataczając się szeroko. Desgear wiedział, że jest śmiertelnie ranny. Ostatkiem sił umierający zdołał zdjąć z ramienia łuk, sięgnąć po strzałę i wymierzyć w Devirka.**

**–Nie!!! – wrzasnął na całe gardło stojący przy chacie bezradny wiking.**

**Trzej walczący natychmiast spojrzeli w jego stronę. Mnich, który podniósł się właśnie z ziemi, błyskawicznie sięgnął pod sukmanę po nóż i rzucił nim płynnym ruchem. Z pewnością trafiłby Desgeara, gdyby nie Devirk, który w ostatniej chwili zdołał podbić wrogowi rękę i zaraz potem zadać trzy ciosy mieczem tak szybko, że jego starszy brat, obok którego świsnął przed chwilą rzucony sztylet, nie umiał tego nawet dostrzec. Ułamek sekundy później z łuku drugiego mnicha wyleciała strzała w stronę młodego Dana. Znowu nadludzko szybki i dokładny ruch mieczem i przepołowiona strzała spadła bezużytecznie na ziemię. Drugi mnich padł na ziemię nieprzytomny, a Devirk schylił się po odcięty grot strzały i przyjrzał mu się uważnie. Dopiero teraz groźnie spojrzął na brata i rozkazująco wskazał ręką łódź. Tym razem Desgear, nie czekając, szybko pobiegł w stronę jeziora. Devirk odprowadził go wzrokiem, a gdy tamten znikł, ponownie zaczął iść w stronę lasu.**



# Rozdział 1

Warszawa, rok 2007

Doktor Błażej Kulawik – rzeński czterdziestolatek z kartoflastym nosem, twarzą okrągłą jak wiejski bochenek chleba, ale za to z kobieco uroczyimi, jak twierdziła większość pielęgniarek, niebieskimi oczami, uśmiechnął się od ucha do ucha z niekłamaną radością i – trzeba przyznać – wdzięcznością, że doktor Aleksandra Sambierska raczyła z łaski swojej wrócić wreszcie z urlopu. Gdy więc ujrzał ją w drzwiach gabinetu, mógł spokojnie zwalić swoje co najmniej o trzydzieści kilo za ciężkie ciało z powrotem na wygodny fotel i odetchnąć z ulgą.

Kolega Kulawika, jego rówieśnik, zresztą kumpel ze studiów – Zenon Jabłoński, lekarz sumienny, dokładny i wnikliwy, ale nijak nieumiejący pozbyć się abnegackiego wyglądu, przysypiał na kanapie pod ścianą. Machnął niedbale ręką, reagując oszczędnie na powrót koleżanki do pracy i zaszczycając ją tylko krótkim: „Cześć, Marchewa!”, na powitanie.

Rudowłosa, drobna, niska pani doktor była uwielbiana przez ordynatora, bardzo lubiana przy tym – co może trochę dziwne – przez kolegów i zwykle szanowana przez pacjentów. Przynajmniej tych, którzy choć trochę łapali, o co dookoła chodzi. Jako psychiatra znana była z oczytania, dociekliwości i nieuleczalnej miłości do przypadków ciekawych i trudnych. Pewien wyjątek poniekąd stanowił tu jej mąż – przypadek klasycznie ciekawy i trudny, który dwa lata temu wymienił ambitną żonę lekarkę na dziewiętnastoletnią absolwentkę szkoły zawodowej w Koluszkach o kierunku kulinarnym czy żywieniowym – w każdym razie jakimś związanym z żarciem. W tym przypadku diagnoza i rokowanie były raczej niepomyślne. Żyje im się od tej pory podobno wspaniale – ona jako zastępczyni bufetowej dba z poświęceniem o żołądek nowego męża, on rewanżuje jej się tym, że stosunkowo rzadko truże o filologii klasycznej, ograniczając się do wykładów na uczelni. Samotna pani doktor przeboleła już stratę, ale od tego czasu żaden poważny mężczyzna w jej życiu się nie pojawił. Podobno...

Obchodząc ostatnio swoje trzydzieste piąte urodziny, nikogo nie zaprosiła, nie urządziła przyjęcia, a tylko kupiła sobie dobry koniak i przepijając do lustra, udawała, że wszystko idzie w dobrym kierunku. Koledzy uważali, że prześliczne piegi i uroczy uśmiech nadal ją zdobiły, a kretyn mąż może się schować! Choć niewdzięczny filolog klasyczny nigdy nie mówił, że odchodzi, bo żona nie może dać mu dzieci, ale jakoś tak się złożyło, że pani bufetowa w ciążę zaszła niemal natychmiast i bobas miał już prawie rok. Ktoś ze wspólnych znajomych go podobno widział, więc szybko doniesiono opuszczonej zdradziecko Oli, że dziecko jest brzydkie, czerwone i wiecznie drze mordę. Trochę pomogło.

–Jak było? – spytał wstępnie Kulawik.

–Znośnie. Pobiegałam trochę po górach. – Ola padła na fotel po drugiej stronie jego biurka. – A co u was?

–Ciekawie. Nawet Zenio tak twierdzi.

–Widzę – prychnęła z przyjacielskim zresztą uśmiechem.

Zenio nadal przysypiał na kanapie.

–Weź się jakoś zachowuj! – skarcił go Kulawik.

–Spadaj, grubasie! – mruknął, nie otwierając oczu Jabłoński.

–Chcemy o nim pogadać, jełopo! – nalegał.

Zenio otworzył oczy i pokręcił głową okazując niezadowolenie.

–Nie daj się zrobić w bambuko, Marchewa – ostrzegł zdradziecko, posyłając koledze rewanżystowski uśmiech.

–Podniecacie mnie, łobuzy! Tamten już naopowiadał mi przez telefon, że macie coś, czego jeszcze nie widziałam. Gadajcie, do cholery!

Zenio przyjął powoli postawę siedzącą.

–Przyjechał do nas z neurologii – zaczął Kulawik. – Mężczyzna, dwadzieścia osiem lat, do tej pory nie wykazujący żadnych odstępstw od normy. Trzy tygodnie temu stracił nagle przytomność, zaczął gorączkować, nie można było nawiązać z nim sensownego kontaktu. Przewieziono go do szpitala na Sobieskiego. Wyglądało na ostre zapalenie mózgu.

–No i? – spytała przepisowo Ola.

–To nie było zapalenie mózgu. – Kulawik wyjął z otwartej teczki jeden z dokumentów i podał koleżance. – Tu masz badania płynu mózgowo-rdzeniowego. Zrobili jeszcze rezonans, EEG i też guzik.

–Co to znaczy „guzik”?

–Rezonans czysty – wtrącił Jabłoński. – A w EEG tyle było artefaktów, że nie mogli niczego stwierdzić.

–Od kiedy jest u nas? – spytała Ola.

–Od dwóch tygodni – odparł Kulawik. – Przyjechał niedługo po tym, jak wyjechałaś.

–I chcesz, żebym go teraz przejęła? Po takim czasie? Co naprawdę stwierdziliście?

–Wszystko – mruknął znudzonym tonem Jabłoński.

–Pytam poważnie, Zeniu.

–A ja ci poważnie odpowiadam. Przerobiliśmy z nim tu chyba wszystkie możliwe psychozy. Jakby jaja sobie z nas robił.

Sambierska spojrzała powątpiewająco na Kulawika.

–O czym wy gadacie?

–Olu, nigdy czegoś takiego nie widziałem – oświadczył śmiertelnie poważnie Kulawik. – Można było u niego stwierdzić objawy parafreniczne z wszelkimi możliwymi omamami i urojeniami, paranoję prześladowczą, paranoję wynalazczą, rozszczepienie osobowości, schizofrenię zdeorganizowaną, katatonię, osobowość wieloraką, co tylko chcesz, codziennie co innego.

–Niemożliwe – przerwała mu Ola. – To musi być jakieś oszustwo.

–Szkoda, że tego nie widziałaś. – Zenio również stał się kamiennie poważny.

–Mówcie, co po kolei. – Sambierska rozłożyła ręce.

–U nas zaczął od silnych stanów pobudzeniowych i lękowych – ciągnął Kulawik. – Widział Boga, diabła, anioły, historię świata, cytując: „tysiące istnień”, czasy pradawne oraz te mniej pradawne i tak dalej. Później był po kolei jakimś urzędnikiem



królewskim na starożytniej Krecie, następnie wojownikiem rzymskim, wikingiem, a nawet jednym z pułkowników Władysława IV. Doraźnie jechaliśmy na benzodiazepinach i obserwowaliśmy, bo żadnej terapii nie mogliśmy zastosować u kogoś, komu codziennie stawialiśmy inną diagnozę.

–Chcesz powiedzieć, że jeszcze się coś zmieniło?

–Potem się trochę uspokoił i zaczął mówić w jakichś obcych językach, i nie mówię tu o angielskim czy francuskim, ale takich, których by chyba żaden poliglota nie zrozumiał. Udawał karatekę albo kogoś takiego.

–Uuu... Jest unieruchomiony?

–Nie, nikomu nie robił krzywdy. Ograniczył się do „treningu”. Odosobniliśmy go na pewien czas, ale nie było z tego punktu widzenia kłopotów, więc wrócił do normalnej sali, pod okiem sanitariusza.

–Jak bystry?

–Ja za nim nie nadążam, a ty? – mruknął do Zenia.

Jabłoński machnął tylko ręką.

–Może poczekać na starego? – zaproponowała wreszcie Ola.

–Stary wraca za dwa tygodnie ze Stanów, to raczej nie wchodzi w grę – odparł Kulawik.

–No dobra, od kogo go przejmuję?

–Od nikogo.

–Słucham?

–No, powiedzmy ode mnie – bąknął Kulawik. – Nie postawiono ostatecznej diagnozy, więc nie przydzieliłem go jeszcze nikomu, czekałem na ciebie. Dość dokładnie opisałem historię choroby, w teczce masz badania i wszystko, co zdołaliśmy zgromadzić.

Ola pokiwała głową, wstała z fotela i wolno przeszła się po gabinecie.

–Te urojenia z osobami, z którymi się identyfikował... może on przerabia swoje poprzednie wcielenia? Może wierzy, że...

–Raczej nie – przerwał koleżance Zenio.

–Dlaczego?

–Był rycerzem imperium karolińskiego i jednocześnie rzymskim kupcem. Podawał nam nawet dokładne daty. Żyli niemal równocześnie.

–Jak on to wyjaśnia?

–Nie wyjaśnia. – Kulawik rozłożył ręce. – Nie wie, dlaczego go to spotkało.

–To już coś – mruknęła z zadowolenia Ola. – Ma szansę się jakoś odbić. Może nawet wykorzystam te wcielenia...

–Będzie ciężko, to katolik.

–Dziewięćdziesiąt procent Polaków tak mówi, z czego połowa nie pamięta, kiedy ostatni raz była w kościele.

–Ten dokładnie pamięta.

–Jesteś pewien?

–Ponad wszelką wątpliwość. – Kulawik zamknął teczkę pacjenta i przesunął na drugą stronę biurka, aby Ola mogła się z nią dokładnie zapoznać.

Ksiądz Krzysztof Lorent spokojnie wstał z łóżka. Postanowił, że przejdzie się po korytarzu i jeszcze raz uporządkuje nowe myśli.

–Masz papierosa? – spytał jak zwykle Jacuś, pacjent z sąsiedniego łóżka. Był o kilka lat młodszy od Lorenta, chorobliwie chudy i wiecznie przygarbiony. Spotkał się z nim wzrokiem na bardzo krótko i nie czekając na odpowiedź, pobiegł gdzieś w pośpiechu.

Krótki, urywany śmiech starszego człowieka z trzeciego łóżka zawisł nagle w powietrzu. Krzysztof ruszył wolno do otwartych przed chwilą przez Jacusia drzwi. Wyszedł na korytarz i skręcił w lewo, w stronę okratowanego na końcu przejścia. Niewysoka lekarka, która szła naprzeciwko, ujęła Krzysztofa ciepłym, uroczym uśmiechem.

–Mogę zająć księdzu kilka minut? – spytała uprzejmie, gdy już się spotkali.

–Oczywiście – odparł, przytakując lekko.

–Może usiądziemy? – Wskazała wolną ławkę stojącą pod ścianą.

Krzysztof, usiłując puścić ją przodem, zatrzymał się na chwilę, ale instynkt doświadczonego psychiatry natychmiast zareagował: „nigdy nie stawać do pacjenta tyłem”. Wzięła go więc z uśmiechem pod ramię i tak dobrnęli do ławki.

–Nazywam się Aleksandra Sambierska – przedstawiła się. – Nie znamy się jeszcze, pracuję na tym oddziale.

–Przydzielono panią do mnie? – spytał nieśmiało Krzysztof

–„Przydzielono” to może niezbyt dobre słowo, proszę księdza, ale będziemy często się spotykać i ze wszelkimi problemami proszę zwracać się do mnie.

–Pani jest katoliczką?

–Nie – odparła szczerze – Jestem niewierząca.

–Mówi pani o Bogu?

–Nie rozumiem.

–Mówiąc, że jest pani niewierząca, miała pani na myśli wiarę w Boga?

–Oczywiście.

–Nie zawsze to takie oczywiste. Jean Paul Sartre twierdził, że znacznie więcej wiary należy z siebie wykrzesać, usiłując uwierzyć w materialny początek świata, a potem w teorię ewolucji, niż starając się uwierzyć w istnienie potęgi duchowej, która ten świat powołała do życia.

–Ciekawe, że ksiądz się na niego powołuje. Jeśli dobrze pamiętam, Sartre był lewicowym ateistą.

–No właśnie – Krzysztof tajemniczym uśmiechem przyznał jej rację. – Co jest w takim razie dla pani podstawą do optymizmu? – spytał, zakładając nogę na nogę.

–Życiowego?

–Tak. Co sprawia, że chce pani codziennie rano się budzić, działać, stawiać przed sobą zadania?

–Właśnie to. Samo przez się. Warto żyć dla codziennych małych kłopotów, dla dobrej herbaty i smacznego śniadania, dla pracy i pożytecznych działań, dla oglądania nieba codziennie nad sobą i cieszenia się słońcem. Warto.

–Pani jest samotna... – wtrącił cicho Krzysztof.

–Nie czuję się samotna – skłamała lekarka, zaskoczona lekko tą uwagą. – Biorę to, co daje mi świat. A skoro Bóg stworzył świat, więc musi być on najdoskonalszym z możliwych. – Roześmiała się wesoło.

–Bardziej bym panią podejrzewał o cytowanie Woliera niż Leibniza.

–Liczę, że wykaże ksiądz trochę zrozumienia i tolerancji, współpracując ze mną.

–To już terapia?

–To po prostu rozmowa – skłamała ponownie Ola.

–Proszę mnie tak nie nazywać – poprosił uprzejmie pacjent.

–Jak?

–Proszę nie tytułować mnie księdzem. Odgrywam tu zupełnie inną rolę.

–Jak się księdzu wydaje, jaką?

–Pacjenta. I chyba niewiele się w tej kwestii myślę – odparł spokojnie.

Lekarka roześmiała się szczerze.

–No tak. Myślałam, że ksi...

–Krzysztof.

–...że coś innego możesz mieć na myśli, Krzysztofie. Ja wprawdzie odgrywam tu rolę lekarki, ale mów do mnie Aleksandra. I jeśli pozwolisz, zadam ci kilka pytań. Niektóre mogą się wydawać trochę głupie, ale taka jest tu procedura.

–Proszę – zgodził się gładko.

–Wiesz, dlaczego się tu znalazłeś?

–Oczywiście.

–Przypomnisz mi?

–Mam objawy kilku ciężkich psychoz.

Ola, mimo że przyzwyczajona do profesjonalnego zachowania wobec pacjentów, nie potrafiła ukryć zdziwienia.

–Znasz się na psychiatrii? – wybrnęła niezbyt mądrym pytaniem.

–Na tyle, na ile ksiądz się powinien na tym znać. Zaskoczyło cię, że zdaję sobie sprawę ze swojego stanu?

Lekarka przez chwilę milczała.

–Nie, zastanawiam się, czy moglibyśmy porozmawiać o twojej pamięci...

–Chętnie porozmawiam na ten temat, ale nie teraz.

–Dlaczego?

–Chyba oboje nie jesteśmy jeszcze na to gotowi, na pewno nie jesteśmy wobec siebie szczerzy, a to warunek konieczny do takiej wymiany myśli.

–Nie jesteśmy szczerzy? – powtórzyła Ola.

–W rozmowie ze mną skłamałaś przynajmniej pięć razy, ja tylko raz. To niesprawiedliwe.

Lekarka postanowiła nie zaprzeczać.

–Idę teraz na obchód. – Uśmiech nie zniknął z jej ust. – Przemyślę, co mi powiedziałaś, i wrócę za kilka godzin, zgoda?

–Zgoda.

Grupa lekarzy wolno weszła do kolejnej sali. Zanim jednak Kulawik zdążył zacząć,

jeden z asystentów podszedł szybko do niego i szepnął mu coś na ucho. Lekarz skinął na Jabłońskiego, aby poprowadził obchód dalej, klepnął w ramię Sambierską i oboje wyszli na korytarz. Przeszli kilka metrów w stronę jego gabinetu, kiedy nagle się zatrzymał.

–Nie zdążyłem zapytać. – Rozejrzył się po pustym korytarzu. – Jak ci z nim poszło?

–Mądrała straszny – mruknęła Ola.

–Dasz sobie z nim radę?

–Poczytam trochę Tatarkiewicza i powinnam opanować sytuację. – Uśmiechnęła się zdawkowo.

–Pytam poważnie.

Ola rozłożyła ręce i zastanowiła się przez chwilę.

–Lubi mieć kontrolę. Urządził sobie seans, na którym czułam się jak pacjent, i pewnie o to mu chodziło. Na pierwszy rzut oka chyba mnie polubił. Przygotowuje mnie.

–Do czego?

–Do tego, aby powiedzieć kilka rewelacji, w które mam uwierzyć. Chce mnie przekonać, że nie jest chory.

–Od czego zaczniesz?

–Od schizofrenii paranoidalnej.

–Ostrożnie. – Kulawik zajrzał jej głęboko w oczy. – Nie dopasowuj własnych teorii do pacjenta.

–Spokojnie, czytałam to, co mi dałeś. Rzeczywiście bardzo nietypowy przypadek, szczególnie gdy się weźmie pod uwagę przebieg pierwszej fazy ataku choroby, ale na początku chcę właśnie to wykluczyć. W przeciwnym razie zaproponuję terapię w tym kierunku.

Kulawik spojrział w stronę sali, z której właśnie wyszli lekarze, aby przejść do następnej.

–Jego proboszcz jest w moim gabinecie – powiedział po chwili.

–Mam iść z tobą?

–Tak.

Chatillon, południowa Francja, rok 2007

Aureil zamknął oczy i opuścił głowę. Milczał bardzo długo. Luigi Balea był przekonany, że mistrz się modli. Nie śmiał mu przerywać, więc czekał. Złożył ręce jak do rozmowy z Bogiem i obserwował wychudzoną, drobną, ale wciąż wzbudzającą w nim lęk postać nauczyciela.

–Czy to pewne? – odezwał się po dłuższym czasie Aureil.

–Wszystkie znaki na to wskazują – odpowiedział Luigi, schylając nisko głowę i nie chcąc spotkać wzroku starca.

Aureil niespiesznie przebiegł dłonią po siwych włosach.

–Tyle razy już myliliśmy się... – mruknął cicho, jakby do siebie.

–Teraz to naprawdę zupełnie co innego, ojciec.

–Krótco żyjesz, chłopcze. – Starzec pokręcił głową. – Przypomnij mi, ile masz lat?

–Dwadzieścia siedem.

–Hm. – Na ponurym obliczu Aureila przez sekundę zagościła zapowiedź ledwie zauważalnego, ale jednak uśmiechu. – Sześćdziesiąt lat temu, kiedy byłem w twoim wieku, też już kilka razy myślałem, że go znalazłem, że w końcu się pojawił... I jak do tej pory zawsze się myliłem, podobnie jak mój ojciec i jego ojciec...

–Musimy spróbować! – zdobył się na odwagę Luigi, podnosząc głos, jednak wyczuł na sobie karcące spojrzenie mistrza, więc zamilkł.

–Nie mam swoich dzieci. – Aureil zaczął wolno przechadzać się po sali. – Mam tylko was i tę straszliwą wiedzę, którą przekazywano przez pokolenia. Muszę jej uczyć. Wy jesteście następni. Takie jest nasze przeznaczenie. Zamek, w którym mieszkamy, ma ponad czterysta lat. Jest tu wszystko, co zgromadziła przez ten czas moja rodzina. Wiesz, co by było, gdyby jakikolwiek nierozważny ruch zakłócił nam spokój?

–Wiem, ojcze, zdaję sobie z tego sprawę – jęknął cicho chłopak.

–Wiesz, jaka ciężka na nas odpowiedzialność?

–Tak, ojcze!

–I dalej uważasz, że go znaleźliście?!

Luigi odważnie podniósł wzrok.

–Tak, ojcze!

Starzec zmarszczył brwi i znów przez kilka minut milczał.

–No dobrze – odezwał się wreszcie. – Przygotujmy się więc. Niełatwo będzie się z nim zmierzyć. Aha, i na razie trzymaj losifa z dala od tego.

–Tak, mistrzu.

–Zostaw mnie teraz samego.

–Przygotowywałem się na to całe życie! – nie ustępował Luigi.

–Ale krótkie życie – westchnął smutno Aureil. – Bardzo krótkie życie. Wyjdź i zostaw mnie samego.

Ksiądz proboszcz Alojzy Demel wydusił z siebie prawie uprzejmy uśmiech, kiedy Ola i Kulawik pojawili się w drzwiach gabinetu, choć wyraźnie przyszło mu to z trudem. Doktor Błażej – jak nazywali go chyba wszyscy, nawiązując do słynnego niegdyś *Szpitala na peryferiach*, z satysfakcją zauważył, że duchowny jest jeszcze grubszy od niego i nawet obszerna sutanna nie zdołała tego ukryć. Takie momenty poprawiały mu zwykle humor i radośniej nastrojały do rozmowy.

–Witam księdza! – Wyciągnął rażno dłoń. – Herbaty, kawy?

–Nie, dziękuję – odparł uprzejmie, ale dosyć chłodno gość.

–Usiądźmy – zaproponował Kulawik i wskazał duchownemu kanapę.

Oli nie podobało się protekcyjne spojrzenie i drażniący, jej zdaniem, sposób bycia klechy, jednak na razie postanowiła nie dawać tego po sobie poznać.

–Przejdę od razu do rzeczy – zaczął Demel, przymrużając oczy. – Jak długo to może potrwać?

–Rozumiem, że chodzi o pobyt księdza Krzysztofa w szpitalu? – upewnił się Kulawik.

–Oczywiście.

–Przy takich schorzeniach to bardzo trudne do określenia – wyznał szczerze lekarz. – Może kilka tygodni, może wiele lat.

–Jak to?! – Na duchownym wyraźnie ta wiadomość zrobiła piorunujące wrażenie.  
– Przecież go leczycie!

–Tak, ale to nie takie proste. – Kulawik pokręcił głową. – Ksiądz Krzysztof nie ma grypy ani anginy. Obawiamy się, że zapadł na ciężką psychozę i możliwe, że będzie się z nią zmagał do końca życia.

Nawet Olę nieco zdumiał stanowczy ton doktora Błażeja.

–To znaczy, że nie wróci do nas? – spytał drżącym głosem proboszcz.

–Nie wiemy.

–Czy jesteście państwo katolikami? – Ksiądz wyraźnie starał się opanować.

–Przepraszam – wtrąciła Ola. – Jakie to ma znaczenie w tym momencie?

–Chcielibyśmy, aby lekarz prowadzący księdza Krzysztofa był wyznania rzymskokatolickiego – wyjaśnił proboszcz tonem wyraźnie nieznoszącym sprzeciwu.

–To szpital państwowy – podjął wyzwanie Kulawik. – Od naszego personelu nie wymagamy zaangażowania religijnego, tylko profesjonalizmu. Ksiądz Krzysztof jest nie tylko kapłanem, ale także obywatelem tego kraju i podlega przede wszystkim prawu, które narzuca nam ustawa. Nie ma tam ani słowa o obowiązku bycia członkiem jakiegokolwiek wspólnoty religijnej.

–W takim razie przeniesiemy księdza Krzysztofa do innej placówki – odparł chłodno proboszcz.

–Nie wyrażamy na to zgody – oświadczył spokojnie lekarz.

–Chory ma chyba prawo do wyboru placówki, w której jest leczony!

–Nie w tym stanie. O zmianie szpitala może zdecydować tylko sąd na podstawie wniosku rodziny.

–Jedyną rodziną księdza Krzysztofa jesteśmy my.

–Rozumiem, ale z prawnego punktu widzenia to nie jest wiążące. Została wydana decyzja o ubezwłasnowolnieniu tego pacjenta na czas nieokreślony. Oznacza to, że do odwołania nie może on kierować własnymi poczynaniami.

–To nie do przyjęcia – jęknął ksiądz.

–Przykro mi.

–To bardzo niezręczna sytuacja dla naszej parafii. Dlaczego państwo jako lekarze nie chcą z nami współpracować?!

–Na razie słyszę żądania, a nie chęć współpracy. – Kulawik ani na moment nie stracił zimnej krwi.

Proboszcz odczekał chwilę, którą najprawdopodobniej zużył na tłumienie w sobie gniewu, i spróbował jeszcze raz.

–Co, jako parafia, możemy zrobić dla Krzysztofa? – spytał prawie spokojnie.

–To, co związane z potrzebami religijnymi, staramy się pacjentom zapewnić.

Nasza kaplica jest czynna cały czas. Myślę jednak, że teraz potrzebny mu przede wszystkim spokój.

–Możemy go swobodnie odwiedzać?

–W wyznaczonych godzinach, tak.

Duchowny spuścił głowę. Stracił rezon i nagle zrobił się smutny.

–Możemy księdzu zadać kilka pytań? – wtrąciła Ola.

–Proszę – mruknął cicho.

Sambierska spojrzała kontrolnie na kolegę. Kulawik nieznacznie przytaknął głową.

–Wiem, że to dość ogólne – zaczęła – ale jaki ksiądz Krzysztof był przed

chorobą? Wyglądał raczej na introwertyka czy człowieka otwartego? Na smutnego, wesołego, pogodnego... no, chodzi o wszystko, co ksiądz pamięta?

Ten temat wyraźnie się proboszczowi spodobał. Wydusił z siebie nawet uśmiech, splótł palce i spojrzał na chwilę w górę, co chyba pomagało mu w skupieniu.

–Krzysztof to młody duchowny. Przepelniony wiarą i miłością. Otwarty, radosny... Z pokorą przyjmujący smutki.

Rany boskie... – jęknęła w myślach Ola – gdzie oni się tego uczą?

–Proszę księdza – powiedziała na głos. – Jesteśmy lekarzami, a to jest szpital, w którym leczymy ludzi, a nie odprawiamy rekolekcje ignacjańskie.

–Nie rozumiem. – Gniew powoli wracał na oblicze proboszcza.

–Proszę powiedzieć coś o pacjencie! Coś, co może nam się przydać. A nie oficjalną formułkę o tym, jak powinien wyglądać idealny duchowny.

–Pani chyba rzeczywiście dawno nie była w żadnej świątyni.

–Jestem ateistką – odparła zniecierpliwiona.

–Nigdy nie wpuściła pani Chrystusa do serca?

–Nie rozmawiamy na mój temat. – Ola nigdy nie przepadała za księżmi, ale ten wyjątkowo ją drażnił.

–Co jeszcze można o nim powiedzieć... – Proboszcz rozłożył ręce.

–Jak ksiądz myśli, dlaczego nasz pacjent został duchownym? Jest wysokim, przystojnym mężczyzną. – Ola postanowiła, że czas podręczyć klechę.

Kulawik rzucił jej subtelne, ale jednak bardzo krytyczne spojrzenie. To było głupie i niepotrzebne. Popisy pani doktor tylko dodatkowo rozdrażnią i tak niełatwego rozmówcę, leczenie utknie w martwym punkcie, a czas naglił.

–Proszę sobie wyobrazić, że jest coś więcej niż przyziemność i materialna pustota – rzucił nieprzyjemnym tonem proboszcz. – Podejrzewam, że trudno to pani zrozumieć, lecz Krzysztof czuł powołanie od wczesnego dzieciństwa. Wiem to od jego świętej pamięci rodziców. Później bezgraniczna wiara pogłębiała w nim potrzebę służenia Bogu i Kościołowi.

–Ksiądz Krzysztof naszym zdaniem posiada rozległą wiedzę filozoficzną i historyczną – wtrącił Kulawik, próbując uciąć ten do niczego nieprowadzący spór. – Czym, pomijając oczywiście duszpasterską posługę, nasz pacjent szczególnie się interesował?

Proboszcz dopiero po dłuższym czasie przeniósł wzrok z Oli na jej kolegę.

–Był wyjątkowo zdolnym klerykiem. Jest bardzo czytany. Ma pan rację, interesuje się filozofią, co u duchownych nie jest niczym wyjątkowym. O jego zainteresowaniach historycznych nie wiem. Ale mogę śmiało powiedzieć, że mimo tak młodego wieku, już teraz wielu przełożonych postrzega go jako myśliciela o bardzo obiecującej przyszłości.

–Rozumiem. – Lekarz kiwnął głową. – A jego osobowość? Proszę teraz być szczerym, czy miał miłe usposobienie, czy...

–Czy takie jak ja? – przerwał proboszcz, w którego uśmiechu tym razem wyraźnie można było dostrzec ironię.

–Nie to chciałem powiedzieć. – Kulawik starał się być maksymalnie uprzejmy.

–Bywam surowy – odparł wyniośle ksiądz. – Ale przede wszystkim w stosunku do siebie. Posługa duchowa wymaga dyscypliny, to nieodzowne. Krzysztof nigdy nie dawał powodów do upomnień. Choć rzeczywiście – był i jest ciepłym człowiekiem, cieszącym się wyjątkową sympatią i poważaniem wśród wiernych.

–A czy... – lekarz zastanowił się przez chwilę. – Wiadomo coś księdzu o niepokojach naszego pacjenta? Lękach, myślach, które go w jakiś sposób prześladowały przed przyjściem tutaj?

Proboszcz uniósł do góry brwi, stając się na chwilę jednym wielkim znakiem zapytania.

–Prawie każdy ma takie myśli, tyle tylko że u zdrowych ludzi szybko mijają. Natomiast u niektórych... nie mijają i stają się czymś na kształt obsesji – wyjaśnił Kulawik. – Zapowiedź choroby eksponuje się właśnie w taki sposób.

–Krzysztof nie miał tego typu myśli. Był skupiony na pomocy innym. Nie miał zbyt wiele czasu dla siebie – odparł krótko proboszcz, skutecznie omijając wzrok lekarza.

–To znaczy... ksiądz nie zauważył takich objawów – wtrąciła Ola, wyraźnie akcentując słowo „ksiądz”.

Gniewne spojrzenie klechy wywołało złośliwą satysfakcję Sambierskiej.

–Nie mam już nic do dodania – powiedział oficjalnie proboszcz i uniósł się dostojnie z kanapy. – Nie mam także zbyt wiele czasu, a chciałbym odwiedzić księdza Krzysztofa. Czy to możliwe w tej chwili?

–Oczywiście – odparł szybko Kulawik.

–Jest chyba w swojej sali – dodała Ola.

Duchowny, lekko skłaniając głowę, bez słowa wyszedł z gabinetu.

Kulawik natychmiast przeniósł spojrzenie na koleżankę. Nic nie mówił, ale gdyby miał do dyspozycji gromy Zeusa, nie wahałby się zesłać ich na Sambierską.

–No co? – odezwała się wreszcie Ola.

–No, gówno! – warknął przez zęby lekarz. – Mogłabyś czasem puknąć się w głowę albo przebadać hormony?

–Nie lubię takich durniów jak on.

–To jest ksiądz! Duchowny, kapłan!

–I co z tego?!

–A to jest szpital! Twoja przeszłość nie może mieć wpływu na pracę! Jeśli wciąż nie umiesz zapanować nad tym, co się wtedy stało, zabieram ci tego pacjenta.

–Ten pacjent to co innego.

–To też ksiądz.

–Jest inny.

–I wiesz to po kilku minutach rozmowy z nim i paru kartkach dokumentów?! – Kulawik zmarszczył gniewnie czoło.



–Czuję to.

–Czujesz to?! – Lekarz pokręcił głową, jakby nie dowierzał. – Co to jest?! Film o amerykańskich gliniarzach, że masz „przeczcucia”?!

–Przepraszam, dopiero wróciłam z urlopu, zapomniałam się. – Ola uniosła pojednawczo do góry rękę.

–Uspokoisz się?

–Tak.

–Przestaniesz szaleć?

–Ja nie szaleję.

Kolejne gniewne spojrzenie Kulawika przywołało ją do porządku.

–Dobra, dobra! Od tej chwili wzniosę się na wyżyny obiektywizmu i niezależności, dobrze już? – jęknęła zrezygnowana Ola.

–Idź do domu, zaczniesz od jutra. – Lekarz machnął ręką.

–Przecież jest dopiero jedenasta...

–Więc weź jego papiery i popracuj w domu. Ale zejdz z oczu temu proboszczowi!

\* \* \*

Sala ćwiczeń drżała od uderzeń drewnianych mieczy. Luigi Balea, stojąc oparty o ścianę, przypatrywał się obojętnie, jak Iosif Punin bezlitośnie okłada czterech młodych alumnów. Jego ruchy zaskakiwały regularnością i konsekwencją, jakby tańczył według określonego z góry schematu. Żaden krok, unik, uderzenie nie było przypadkowe, a szybkość – tak niewiarygodna, że pozwalała na „ustawianie” sobie przeciwników w najdogodniejszy sposób, nie zostawiając im chwili wytchnienia. Kiedy Punin uznał wreszcie, że trening dobiega końca, bez trudu powalił na dębową podłogę każdego z podopiecznych w odstępie dosłownie ułamków sekund, ciosami niegroźnymi, ale bolesnymi i kończącymi się przynajmniej minutą na podłodze. Iosif się wyprostował. Był ubrany tylko w czarne, luźne spodnie do treningu. Całe jego złane potem ciało, potężnie umięśnione, bez grama zbędnego tłuszczu, lśniło światłem z lamp. Miał rzadkie, jasne włosy, małe, sine, chytre oczy i nazbyt wystające kości policzkowe.

Rzucił w kąt drewnianą atrapę miecza i zbliżył się do Luigiego.

–Co powiedział mistrz? – spytał, nie zważając na jęczących cicho uczniów na podłodze. Jego oddech szybko powrócił do normy.

–Przygotowujemy się – odparł z powagą Balea.

–Wspaniale. – Punin zacisnął pięści z pasją.

–Ty na razie zostajesz – dodał obojętnie Luigi.

–Co?!

–Taka jest decyzja.

–Jestem w twoim wieku i żyję tu jak ty, od dzieciństwa! Jestem lepszy od ciebie, wiesz o tym! – Jego nos zatrzymał się centymetr od twarzy Luigiego.

–Milcz! – mruknął cicho Balea. – Tu są studenci.

–Wyjdźcie! – wrzasnął w ich stronę wściekły Punin.

Czwórka obolałych chłopców, z których najstarszy miał najwyżej dziewiętnaście lat, szybko zebrała się z podłogi i w pośpiechu opuściła salę, zamykając za sobą

ciężkie drzwi.

–Przestań wreszcie knuć za moimi plecami! – warknął Punin. – Nie pozbędziesz się mnie. To ja znalazłem tego Polaka!

–Nie ty, losifie, tylko ludzie, których tobie przydzielono. – Luigi nawet na chwilę nie stracił zimnej krwi. Jego obojętny wyraz twarzy wydawał się tak naturalny jak śnieg na Syberii.

Punin z wściekłością cisnął zielonym habitem o podłogę, wydobywając z siebie wrzask, który z pewnością było słychać nawet za drzwiami.

–Ty głupcze! – rzucił z pogardą Balea i ruszył w stronę drzwi.

–Dlaczego?! – wrzasnął za nim losif. – Dlaczego ciągle ty?!

Luigi nie zamierzał dłużej tego słuchać. Otworzył drzwi i szybko za nimi zniknął.

Aureil wyłączył podgląd sali treningowej i zasunął ogromny obraz Joakima Skovgaarda, za którym znajdowały się ekrany. Podeszedł do biurka i nacisnął zielony przycisk po prawej stronie. Kiedy usłyszał głos strażnika, nachylił się nad mikrofonem.

–Przyślij do mnie losifa Punina! – rozkazał.

–Masz papierosa? – spytał Jacuś.

–Nie mam – odparł cierpliwie Krzysztof i zamknął oczy, usiłując odpocząć. Leżał na swoim łóżku na wznak w szlafroku.

Jacuś podeszedł nieśmiało do niego, drapiąc się prawą ręką w lewe ucho.

–Źle się czujesz? – spytał, nie otwierając oczu Lorent. Wyczuł chłopaka bez problemu, ale wiedział, że nie umie być agresywny ani w żaden inny sposób niebezpieczny czy groźny.

–Mój organizm wymaga uspokojenia.

Krzysztof otworzył oczy.

–Coś się stało?

Jacuś rozłożył bezradnie ręce.

–Niestety, wciąż jestem śledzony – stwierdził. – Ponad wszelką wątpliwość.

–Rozumiem – odrzekł spokojnie Lorent. – A nie uważasz, że fakt przebywania w tym szpitalu trochę cię jednak chroni?

Jacuś zrezygnowany machnął ręką i przysiadł nieśmiało na łóżku księdza.

–Co oni tu mają za ochronę! Wiesz, co to dla nich przeniknąć przez takie drzwi czy bramę na dole? To pestka! Nic! Masz papierosa?

–Wiem, że musisz się uspokoić, ale akurat w tym pokoju raczej jesteś bezpieczny. Wszyscy możemy być w razie czego świadkami; ja, pan Alojzy. – Krzysztof wskazał na leżącego pod ścianą katatonika.

–Pan Alojzy?! On nawet nie wie, o co w ogóle chodzi!

–A ja?

–Myślisz, że mógłbyś ich zauważyć? – spytał Jacuś z nadzieją.

–Jestem sługą bożym – Krzysztof powiedział to niechętnie, ale rozumiał, że trudno o lepszy argument.

Chłopak zamyślił się, chowając twarz w dłoniach.

–Gdyby nie te cienie... – jęknął płacząco po chwili. – Wiesz, jak to jest... jestem

zmęczony.

–Tak, wiem. Połóż się, popilnuję otoczenia. Na pewno teraz się nie odważą.

–Lubię kolor zielony. I panią Karpińską, mieszka naprzeciwko mamy – wyznał szczerze Jacuś. – A ty lubisz na przykład Beatlesów?

–Nie zgadzam się z niektórymi rzeczami, o których śpiewali, ale... raczej tak.

–Johna śledzili i w końcu go zabili 8 grudnia o 22.50. George’a otruli...

–George Harrison zmarł na raka gardła i krtani.

–29 listopada 2001 roku – uzupełnił chłopak. – Ale to tylko wersja oficjalna. Dwa lata wcześniej już próbowano go zabić, nie sądzisz?

–Napadł go zwykły rabuś – odparł cierpliwie Krzysztof.

–Boże, jaki ty jesteś naiwny! – zachnął się Jacuś i zerwał z łóżka. – Nie potrafisz wyjść poza te zwykłe pięć zmysłów! Świat szumi, mówi, kołysze się, straszy, pociesza, morduje, jednak nikt tego nie słyszy. Nikt nie słyszy tych głosów. A jak stajesz się wyjątkowy, wtedy przeklinasz tę chwilę i nie chcesz... Masz papierosa?

–Nie mam. – Krzysztof ponownie zamknął oczy.

–Ile razy rozmawiałeś z Bogiem? – nie dawał za wygraną chłopak. – Przyznaj się. Ile razy słyszałeś jego głos?

–Codziennie.

–Co codziennie?

–Codziennie rozmawiam z Bogiem. Po prostu czuję w sobie jego wolę i głos.

–Tak dosłownie?!

–Umiem się na to otworzyć.

–I to nie wyobrażenie?

–Nie.

–Ale słyszysz go tak jak mnie teraz? W taki sposób?

–Nie w taki sposób.

–To z nim nie rozmawiałeś! – zawyrokował Jacuś.

Krzysztof otworzył oczy i usiadł na łóżku. Był wyraźnie znużony, ale uznał, że chłopakowi należy się wyjaśnienie.

–Jacku... nie jesteś Bogiem. Jesteś człowiekiem. Nie możesz rozmawiać ze Stwórcą jak z ludźmi. Z Bogiem rozmawia się językiem wiary. Wpuszcza się go do swojego serca i dzięki temu uczy się pokory, miłości, czasem poświęcenia, czasem cierpienia. Ci, którzy „słyszą” Boga w sposób, w jaki my tu rozmawiamy, ulegają zwykłej ułudzie i najczęściej są chorzy. – Lorent uśmiechnął się do chłopaka, usiłując złagodzić ciężar ostatnich słów.

–Przebywam w tym szpitalu, bo jestem inny, a nie chory. To znaczy jestem chory, ale... jestem tu, bo mam takie... lęki i trudno mi być wtedy samemu... – głos chłopca stał się płaczliwy. – Dlaczego ja?! Dlaczego nie mogę być zwykłym studentem?!

–Spokojnie, wszystko dobrze. Po prostu masz gorszy dzień... – Ksiądz nieśmiało próbował wyciągnąć do niego rękę.

Jacuś zacisnął mocno usta, stał przez chwilę, szukając odpowiedniego słowa, po czym nagle wybiegł z sali.

–Jacek! – zawołał Krzysztof, ale chłopak był już daleko na korytarzu. –

**Przepraszam...**

**Spuścił głowę. Dotknął czubkami palców czoła i pozostał tak w bezruchu kilka chwil. Po minucie, może dwóch, usłyszał na korytarzu kroki, a następnie skrzypnięcie drzwi, lecz nie był to żaden chory ani nawet lekarz. Tym razem pojawiła się w nich zwalista postać księdza Demela.**

**–Jak się czujesz? – spytał z niekłamaną troską w głosie proboszcz.**

**–Biorąc pod uwagę okoliczności, nieźle – odparł niemal pogodnie Krzysztof. – A co u ciebie, wujku?**

**–Trochę pusto.**

**Lorent wydusił z siebie uśmiech.**

**–Chyba nie zaniedbujesz wiernych?**

**Tym razem, co może wydać się niewiarygodne, uśmiechnął się proboszcz.**

**–Rozmawiałem z tutejszym personelem – nagle spowaźniał, kiedy tylko wypowiedział te słowa.**

**–To chyba nie był najlepszy pomysł – skomentował szybko Krzysztof.**

**–Dlaczego?**

**–Wybacz, że to mówię, ale nie sądzę, abyś znalazł z nimi wspólny język.**

**–Nie rozumiem...**

**–Rozumiesz – odparł ciepło, jednak bez cienia wątpliwości Lorent.**

**–Znowu zaczynasz. – Proboszcz pokręcił głową, okazując niezadowolenie. – Możesz mieć mnie za oschłego, lecz nie za ograniczonego. Staralem się nawiązać z nimi odpowiedni dla naszej sytuacji kontakt.**

**–I jak wam poszło? – spytał, znając odpowiedź, Krzysztof.**

**–To nie chodzi o mnie, ale o ciebie. Nie zapewnią ci tu takiej opieki jak trzeba.**

**Ksiądz Demel zaczął chodzić po sali w tę i z powrotem, mrugając śmiesznie oczami. Długo przy tym milczał, jednak widać było, że zbierał się do dłuższej przemowy. Głośno oddychał, rozcierał dłonie, co kilka sekund spoglądając na swojego wychowanka.**

**–Nie denerwuj się – uspokoił go Lorent. – Nie są tacy źli.**

**Proboszcz ponownie pokręcił głową.**

**–Nie powinieneś tu być – upierał się. – Wyraźnie ci się poprawia, czujesz się coraz lepiej, a ta atmosfera zatruwa twój umysł!**

**–To szpital dla umysłowo i psychicznie chorych, wujku. Jaka ma być tu atmosfera? Modlitewnego skupienia?**

**–Przeszły ci już te... przywidzenia, prawda?**

**–Tak – skłamał Krzysztof, ale Demel wyraźnie go do tego zmusił.**

**–To co tu jeszcze robisz? Mój ojciec miał w pięćdziesiątym trzecim zapalenie mózgu. Po pewnym czasie wszystko wróciło do normy i przeżył jeszcze sporo pięknych lat...**

**–Nie planuję umrzeć – zapewnił Lorent.**

**–No, ja myślę. Chciałbym z tobą porozmawiać, jak zorganizować twój powrót.**

**Krzysztof nieznacznie drgnął. Znów lekko dotknął czubkami palców swojego czoła, jakby zastanawiał się, czy przypadkiem nie warto przemilczeć tego, o czym**

właśnie chciał powiadomić przełożonego. Przymknął oczy, aby łatwiej się skupić i wyrównać oddech, zakłócony nieco myślami, które opanowały jego umysł i rozpraszały spokój. Do rozmowy na ten temat przygotowywał się już od kilku dni, mimo wszystko nastąpiła chyba zbyt szybko.

–Ja już nie wrócę, księżę proboszczu – powiedział cicho, ale nawet taki ton podziałał na Demela, jakby ktoś rzucił w niego stukilowym odważnikiem.

–O czym ty mówisz?! Przecież przed chwilą...

–Nie wrócę już do kapłaństwa – wyjaśnił krótko i treściwie Lorent.

Nastąpiła dość długa i kłopotliwa cisza. Szeroko otwarte oczy proboszcza zdradzały bezradność i niedowierzenie.

–Nie rozumiem...

–Jeśli mnie stąd wypuszczą, wujku, odejdę z Kościoła. Przeszanę być księdzem.

–Ale... dlaczego?! Jak to w ogóle możliwe?

–Nie sądzę, abym potrafił ci to teraz wytłumaczyć.

–Może jednak spróbuj – głos proboszcza wyraźnie się załamał.

–Myślę, że Bóg... czuję to... wyznacza mi teraz inne zadania. Ja muszę w tej chwili robić coś innego.

–A co można robić lepszego dla Boga, niż mu służyć?!

–Nie mówię, że to, co zmuszony jestem robić, będzie lepsze. Mówię tylko, że to konieczne.

Demel ukrył twarz w dłoniach.

–Nie mogę tego słuchać. Mówiłeś, że jest ci lepiej, że zdrowiejesz.

–Nigdy nie byłem chory – odparł śmiertelnie poważnie Krzysztof, zaglądając głęboko w oczy proboszczowi. – Ani oni, ani ty nie jesteście w stanie tego zrozumieć, choć to prawda.

–Wszyscy pacjenci w tym szpitalu tak mówią! – Demel nie wytrzymał.

–To nie ma sensu. – Lorent zrezygnowany pokręcił głową. – Porozmawiajmy kiedy indziej.

–Uspokój się. Mam głęboką wiarę, że to minie i wszystko skończy się dobrze.

–Nic nie minie.

–Ja wiem swoje.

–Nie zmienię zdania, wujku.

Demel uśmiechnął się, jakby kompletnie nic się nie stało.

–No, chyba rzeczywiście pora na mnie. Przyjdę jutro.

–Nie wierzysz mi?

–Jutro porozmawiamy. – Proboszcz chwiejnym krokiem podszedł do drzwi. – Oby Bóg miał cię w swojej szczególnej opiece i zesłał na ciebie błogosławieństwo zdrowia i głębokiej wiary.

Aureil przywitał Punina dobrotliwym, starczym uśmiechem.

–Zbliź się, chłopcze! – Wskazał mu miejsce na drewnianym krześle, metr od biurka, za którym siedział.

–Wybacz, ojczu, nie zdążyłem jeszcze wziąć kąpieli. – Iosif schylił nisko głowę.

–Nie szkodzi, nie będę cię długo zatrzymywał.

Mistrz wstał i wolno zaczął chodzić po komnacie.

–Wszystko w porządku, chłopcze? Zdrowie dopisuje? – spytał pogodnie.

–Jak najbardziej, ojczy.

–Postępy w treningach?

–Zadowolające, ale wciąż czynię wysiłki, aby wykorzystać maksimum możliwości.

–To dobrze, dobrze...

Aureil wolno pogładził swoją siwą czuprynę, spacerując przez chwilę w milczeniu.

–Wiesz, jak kocham swoje gołębie? – zapytał nagle.

–Tak, mistrzu, wszyscy to wiemy.

Starzec rozłożył ręce, jakby borykał się z problemem, którego nie potrafił rozwiązać.

–Mam z nimi ostatnio sporo zmartwień.

–Coś się stało? – spytał niepewnie Punin.

–Od dobrych kilku dni zachowują się niespokojnie. Mniej jedzą, odnoszę nawet wrażenie, że ich społeczne zachowania straciły na sile. – Zakłopotanie na twarzy losifa nie wywołało żadnej reakcji starca. – Legendy o tym, że łączą się w pary na całe życie, są prawdziwe – ciągnął. – Samiec wybiera sobie partnerkę i zostaje z nią do końca, chyba że zdarzy się jakieś... – Aureil przeniósł wzrok na młodzieńca i zmarszczył brwi. – Czasem jednak nie jesteśmy w stanie odgadnąć, co może wpędzić w nieszczęście tak wrażliwe stworzenie. Gruboskórni, arogancy homo sapiens dawno już utracili cechującą ich jeszcze kilkaset lat temu empatię w stosunku do natury, nie sądzisz?

–Tak... to możliwe – odparł nieśmiało Punin.

–Gołębom być może wystarcza samo przecucie nieszczęścia... – Aureil znowu charakterystycznym gestem pogładził swoje włosy. – Może wyczuwają niepokój u innych? Nie bez przyczyny są symbolem pokoju, bo właśnie wtedy, gdy milknie nienawiść, zazdrość, zawiść... gdy podłość zostaje zwyciężona przez miłość, jak wykazują liczne przesłanki, wtedy gołębie są najszczęśliwsze. Dają się dotykać ludziom, płodzą liczne potomstwo, mają apetyt...

–Tak, tak. Też o tym słyszałem.

–Jak myślisz, losifie, czy jest możliwe, że w naszym otoczeniu mogło zdarzyć się coś, co niepokoiłoby nawet tak nieświadome zwierzęta jak moje gołębie? Wiesz... one są jak najczulsze urządzenia. – Starzec się uśmiechnął.

–Nie zauważyłem, aby w zamku... to znaczy w naszej społeczności, miały ostatnio miejsce jakieś niepokoje. Natychmiast bym o tym ojca powiadomił – oświadczył pewnym głosem Punin.

–Rozumiem. To mi wystarcza. Możliwe przecież, że to ta nowa karma, którą przywiózł z Paryża Claude.

–Czy mogę odejść? – spytał z nadzieją losif.

–Oczywiście. Przepraszam, że cię niepokoiłem. Wiesz, jak to jest; stary człowiek czasem musi wylać swoje żale.

Młodzieniec uklonił się z szacunkiem i ruszył w kierunku drzwi.

–A, jeszcze jedno! – dogonił go głos Aureila.

–Tak, mistrzu?

–Skoro już mnie odwiedziłeś... zapytam – a ciebie nic nie martwi? Masz wszystko, czego ci trzeba?

–Nie mam wielkich wymagań, ojciec – odparł z dumą Punin.

–Wiem, ale mów śmiało – zachęcił starzec.

Losif przez chwilę walczył z myślami.

–Wszyscy przygotowujemy się na spotkanie z Kapłanem. Staram się oczywiście zachować należyty spokój, ale... jestem tym podniecony i wiele sobie po tym obiecuję.

–To oczywiste. Doskonale cię rozumiem. Dla każdego z nas to wielkie przeżycie – przyznał dobrotliwie Mistrz. – Musimy się dobrze przygotować.

–Tak, ojciec.

–Jak uczy nas historia, cierpliwość jest jedną z najpotężniejszych, ale i, niestety, najrzadziej spotykanych cnót. Jej brak strącał już z piedestału największe potęgi tego świata. Najmężniejsi herosi ginęli, popełniając ten błąd. A na historii znamy się tutaj chyba szczególnie dobrze, prawda, chłopcze?

–Tak, mistrzu.

–Tak a propos historii... wiesz, jakie słowa wypowiedział wielki Ajaks pod Troją, gdy na polu bitwy zobaczył Hektora?

–„Oto wreszcie człowiek, którego warto zabić”.

–Właśnie. I co uczynił?

–Ruszył na Hektora...

–...i zginął – dopowiedział Aureil. – Wielki, niezwyciężony Ajaks stojący u wrót miasta swoich marzeń, w najsłynniejszej bitwie wszech czasów, której każdy bohater miał przejść do historii. I właśnie w tej, najważniejszej chwili, taki heros nie potrafił zrozumieć, że jeszcze nie czas. Że bogowie wyznaczyli Hektorowi inny moment na śmierć.

Starzec zbliżył się do Punina i położył mu na ramieniu dłoń.

–Całą sztuką życia, mój chłopcze – ciągnął mistrz – jest umiejętność znalezienia w sobie wiedzy nie tylko na swój temat, lecz także na temat własnego przeznaczenia. To również dotyczy nas – Aureil ponownie zmarszczył mocno brwi.

–Wiem, jak to trudne, ojciec – powiedział cicho Losif.

–Na pewno? – Palce starca zacisnęły się na ramieniu Punina, aż chłopak poczuł wzbierający ból.

–Staram się, mistrzu! – jęknął.

–Nie zawsze śmierci da się uniknąć – kontynuował Aureil, nie zwalniając uścisku. – Ale nigdy ona nie może być pozbawiona sensu.

–Tak, mistrzu!

–Achilles, ulubieniec bogów, niemal nieśmiertelny rycerz, zanim wybrał się na tę wojnę, przyszedł do matki, prosząc o radę. „Jeśli nie pojedziesz tam, będziesz żył długo – odparła. – Ale gdy prochy twoje znikną pod ziemią, zginiesz na zawsze. Jeśli jednak przybędziesz tam, już nie wrócisz, ale w umysłach ludzi będziesz żył wiecznie”. Co wybrał, wiemy wszyscy. Tylko czy mądrze? – Aureil jeszcze mocniej

**zaciśnął palce.**

**–Nie wiem, ojcie... – jęknął chłopak, czując, jak zaczyna się trząść z bólu. Żelazne imadło precyzyjnie uciskające nerw promieniowy powodowało trudne do wytrzymania cierpienie.**

**–Dobrze! – odparł łagodnie starzec i lekko zwolnił uścisk. – Tylko on mógł znać prawidłową odpowiedź na to pytanie. My nie dowiemy się już nic więcej, co najwyżej możemy być mu wdzięczni za jego wielkość.**

**–Tak, ojcie.**

**–Czy obiecasz mi, że w modlitwach i indywidualnej medytacji poświęcisz więcej czasu temu zagadnieniu?**

**–Tak, ojcie!**

**–Czy zajrzysz w głąb siebie, dokładając wszelkich starań, aby wydobyć prawdę?**

**–Taaak, ojcie... – Iosif wciąż nie mógł powstrzymać drżenia ciała.**

**–Wracaj do siebie, rycerzu. Jeśli Bóg cię wybrał, będziesz o tym wiedział – zakończył spokojnie mistrz, zdejmując rękę z jego ramienia.**

**Punin był przerażony.**



## Rozdział 2

Kryzys narastał i komisarz Michał Kępiński – lekko łysiejący czterdziestolatek, którego stroskane oblicze wyraźnie zdradzało zmęczenie po długiej walce – zaczął tracić nadzieję. Wyjął chusteczkę z kieszeni i przetarł spocone czoło. Nie zdążył się jeszcze dzisiaj ogolić, ale mimo „bandyckiego zarostu” twarz wciąż wyglądała łagodnie. Było w jego spojrzeniu coś chłopięcego, z czego nigdy nie wyrósł i czego nigdy nie zmieniło nawet piętnaście lat służby w policji. Charakterystyczne dla filmowych glin wyniszczenie pracą raczej go nie dotyczyło, a codzienny stres potrafił odpowiednio przekuć w satysfakcję i... – czego się nie wstydził – prawdziwe poczucie misji. Nie miał złudzeń – ciężko byłoby mu wykonywać inny zawód, a już na pewno nie teraz, kiedy zabrnął tak daleko i kiedy, mówiąc banalnie, lecz szczerze, praca stała się bardzo istotną częścią jego życia.

W tym jednak momencie, gdy sytuacja wydawała się coraz trudniejsza i wyraźnie wróżyła porażkę, komisarz przyznał w duchu, że jest bezradny. Nie wiedzieć czemu, w takich chwilach miał zwyczaj klepania się po brzuchu dla dodania sobie otuchy. Był wciąż szczupły, dbał o kondycję i „mięsień piwny” z pewnością mu nie groził, ale widać nie tylko grubasy znajdują w tym frajdę.

Ponieważ żadne spokojne argumenty nie przynosiły już od co najmniej godziny efektu, zdecydował się na radykalniejsze kroki i tym razem mocno uderzył w drzwi.

–Otwierać! Policja! – rozkazał groźnie.

–Odejdź od drzwi, bo jak wyjdę, wszystkich was pozabijam! – usłyszał rozpaczliwy, zdesperowany damski głos. I znów cisza.

Michał osunął się powoli na podłogę.

–Kochanie... – jęknął ostatkiem sił. – Zuzia naprawdę żałuje, że nazwała cię pękata, stukilową beką, ale nie widziała cię jeszcze w tej sukience i...

–Nazwała mnie rudym mastodontem! – przerwał mu krzyk zza drzwi.

–To było później, kiedy już... trochę się zagubiła i nie wiedziała, jak przeprosić.

–Podła świnia! Przebrzydły paszczak! Jak jej nie zastrzelisz, nie wyjdę z tej łazienki!

–Kochanie... nie mogę zastrzelić ze służbowej broni własnej córki, nawet jeśli śmiertelnie zgrzeszyła wobec swojej siostry. Kasiu...

–Teraz to, Kasiu! A godzinę temu naśmiewałeś się ze mnie razem z nią!

–To niesprawiedliwe – zaprotestował Michał. – Chciałem tylko załagodzić sytuację.

–Powiedziałam, jak nie odejdiesz od drzwi, pozabijam was wszystkich!!! Ja, ciebie i Prezia!

–Prezio nic ci nie zrobił. To tylko niewinny kot.

–Jej kot!!!

–Kasiu, proszę... wyjdź z łazienki. Dziś jest niedziela, mieliśmy iść na koncert.

–Nigdzie nie idę!

–Nie pójdziesz na Pidżamę Porno?

–Nie.

Michał uderzył ze złością pięścią w podłogę.

–Zużka! – warknął groźnie do rozbawionej dwunastolatki siedzącej na kanapie pod oknem w pokoju. – Przepróż ją natychmiast!

Przez cały czas, kiedy dobijał się do łazienki, widział małą, jak pęka ze śmiechu, starając się jednak robić to tak cicho, aby siostra nic nie usłyszała.

–Bądź rozsądna... – westchnął znowu z nadzieją w stronę drzwi. – Masz piętnaście lat, jesteś przecież od niej mądrzejsza.

Zuzi zniknął uśmiech z twarzy i zastąpiło go oburzenie.

Michał jednak dał jej szybko rozpaczliwymi gestami sygnał, że gada tak tylko dla picu.

–Niech tu przyczołga się pod drzwi i odszczeka! – oświadczyła wspaniałomyślnie Katarzyna, co miało oznaczać początek kompromisu.

Kępiński rozkazująco machnął głową do Zużki.

–Nie! – odparła bezgłośnie dziewczynka, szeroko otwierając usta, aby ojciec mógł zrozumieć.

–W tej chwili! – burknął, grożąc nie na żarty palcem.

Mała zmarszczyła brwi, założyła nogę na nogę i cały czas tkwiła na kanapie.

–Myślałem, że może pójdziemy do mamy jeszcze przed południem – powiedział wreszcie głośno Michał. Był to argument absolutnie poniżej pasa i stosował go wyłącznie w sytuacjach, które kompletnie źle rokowały. Kłopotliwą chwilę ciszy po tym komunikacie przerwał dźwięk telefonu Kępińskiego.

–Tak – mruknął cicho, odbierając komórkę. Słuchał chwilę tego, co do niego mówiono, kiwając głową, jakby rozmówca mógł go zobaczyć. Wreszcie skrzywił się, a to wyraźnie zwiastowało kolejne kłopoty.

–No dobra – westchnął. – Ale tylko na dwie godziny... Nie. Nie trzy... dwie. Obiecałem córkom po południu koncert...

Rozłączył się i na dłuższy czas zamknął oczy. Otworzył je dopiero wtedy, kiedy skrzypnęły drzwi łazienki.

–Wychodzisz?! – spytała cicho Katarzyna. Jej głos w pewnej chwili załamał się, jednak łzy jakoś nie popłynęły, za co Michał był jej zdecydowanie wdzięczny.

–Tylko dwie godziny, muszę zastąpić kolegę.

–Dwie godziny... – burknęła Zuzia. – Już to widzę.

–Obiecuję – odparł Kępiński. – Jeśli tylko się nie pozabijacie, pójdziemy wszędzie, gdzie zaplanowaliśmy. OK?

Tym razem kłopotliwa cisza trwała znacznie dłużej.

Ola Sambierska szła szybko korytarzem, gdy nagle, mijając salę numer trzy, pomocny jak zawsze instynkt kazał jej cofnąć się kilka kroków i zajrzeć do środka. Pacjent numer 63 – zarośnięty do granic możliwości pięćdziesięcioletek – trzymał w dłoni szydełko, którym próbował wydziergać coś z motka wełny. Ola podeszła spokojnie do łóżka, na którym siedział.

–Panie Stasiu... – zagadnęła delikatnie, aby go nie przestraszyć. – Skąd pan ma to szydełko?

Pacjent przeniósł skupiony wzrok na lekarzkę.

–Robię tu właśnie pompona, w związku z tym, że pompon jest przeze mnie

**robiony – odparł dumnie.**

**–Ach, tak. Jak długo pan go robi?**

**–Jeszcze nie powstał.**

**Sambierska nabrała głęboko powietrza do płuc i wyszła, szybko kierując się do pokoju sanitariuszy. Wkroczyła tam zdecydowanie, zastała jednak tylko chudego, przyszczatego praktykanta, z którym personel użerał się od miesiąca. Wyglądał jeszcze jak dziecko. Zmęczona trądzikiem twarz sprawiała wrażenie wiecznie spoconej, a cielece oczka doprowadzały do furii zwłaszcza Olę – wyjątkowo wrażliwą na punkcie pierdołowatości olewaczy, których ofiarą padali pacjenci.**

**–Gdzie są wszyscy? – spytała rozdrażniona.**

**–Pan Andrzej jest w sali telewizyjnej. Pilnuje, jest tam kilku chorych. Pan Janek w rehabilitacyjnej, pani Zosia na wybiegu...**

**–A ty nie miałaś być na korytarzu?**

**–No, miałem właśnie wychodzić...**

**Ola przerwała mu, podnosząc zdecydowanie rękę do góry.**

**–Możesz mi powiedzieć, skąd pacjent numer 63 ma szydełko?**

**–Mama mu przyniosła.**

**–Mama mu przyniosła. – Lekarka zacisnęła z wściekłości zęby. – Czy wiesz, że kiedy tu przyjechał, musiano mu operacyjnie usunąć z przewodu pokarmowego dwadzieścia agrafek?**

**–Ale to szydełko jest plastikowe – stęknął płacząco praktykant. – Ostatnio dobrze się czuł... Poza tym pilnuje go prezydent.**

**–Jaki znowu prezydent?!**

**–No... pan Lesio, leży z nim na sali. Pacjent doktora Jabłońskiego. Ten mały, przysadzisty, do którego przychodzi brat bliźniak. Nazywamy go tak, bo ciągle twierdzi, że jest prezydentem.**

**–Chory pilnuje chorego?!**

**Praktykant zerwał się z wersalki.**

**–To ja pójdę mu zabrać...**

**–Niczego mu nie zabierzesz, bo nie uspokoilibym go do wieczora. Pójdiesz tam i będziesz pilnował pacjenta, aż zaśnie. Zrozumiałeś?**

**–Tak, pani doktor. – Wystraszony wzrok przyszczatego wciąż biegał po wszystkich ścianach pokoju.**

**–No to na co czekasz?!**

**Chłopak wyleciał z pokoju w tempie gazeli. Ola rozdrażniona pokręciła głową i wyszła energicznie za nim. Przechodząc obok „trójki”, zerknęła jeszcze do środka, czy wszystko gra, i pomaszerowała do pokoju, gdzie czekał na nią Krzysztof Lorent. Siedział spokojnie na łóżku wpatrzony w ścianę, nie reagując początkowo na jej wejście.**

**–Krzysztof... – zagadnęła delikatnie Ola.**

**–Tak? – Odwrócił się wolno w jej stronę i zaprezentował pogodny uśmiech.**

**–Chciałeś ze mną rozmawiać.**

**–Usiądziesz? – Wskazał krzesło stojące przed łóżkiem. W sali oprócz pana**

Alojzego, który nie zmienił pozycji na swoim łóżku od kilku dni, nie było nikogo innego. Gdyby nie starania sanitariuszy, jego odleżyny znajdowałyby się w tragicznym stanie. Sambierska usiadła na krześle, próbując jak najszybciej odgadnąć nastrój i formę pacjenta. Wyglądał na spokojnego, choć skupionego. On również przyglądał się jej przez dłuższy czas, zanim zaczął mówić.

–Dobrze, że przyszedłeś teraz. Jacek jest na spacerze – poinformował ją cichym głosem.

–To coś tajnego? – Uśmiechnęła się kusząco.

–Tak. – Krzysztof nadal przyglądał jej się uważnie, ale nie zrezygnował z pogodnego wyrazu twarzy.

–Słucham. – Ola rozłożyła ręce na znak zaciekawienia.

–Musisz mnie stąd zabrać – zaczął prosto z mostu, wbijając wzrok w jej oczy.

–Dokąd?

–Na zewnątrz. Gdziekolwiek. Nie mogę tu zostać.

–Krzysztof... – Ola zamknęła na chwilę oczy, aby się lepiej skupić. – Według mnie twój stan pozwala na otwartą rozmowę o chorobie. Mimo omamów, urojeń i lęków, które opisywałeś, umiesz pragmatycznie ocenić swoje położenie. A ja jestem od tego, aby ci w tym pomóc.

–Mówisz nie na temat.

–Zdecydowanie na temat. Nie możesz w tej chwili stąd wyjść. Mimo swojej inteligencji i wiedzy wymagasz stałej opieki. Przynajmniej na razie.

–Rozumiem. – Lorent spoważniał, ale nie było w nim nawet cienia agresji czy oburzenia. – Skoro jest tak, jak mówisz, dlaczego nie dostaję żadnych leków, oprócz benzodiazepin, które łyka każda gospodyni domowa, gdy ją zdenerwuje mąż? Dlaczego nie podjęliście żadnej terapii? Dlaczego siedzę tu od tygodni i nic się nie dzieje?

–Mylisz się. Badamy uważnie twój przypadek, aby nie popełnić błędu.

Krzysztof wyczuł niepewność w głosie Sambierskiej.

–Bzdura – odrzekł bezceremonialnie. – Nie wiecie, co mi jest, prawda?

–Już mówiłam. Badamy twój stan jak najdokładniej, aby nie popełnić błędu. To nie matematyka. W psychiatrii problemy są bardzo złożone. To, co odczuwasz, to projekcje...

–Co to za sofizmaty?! – przerwał bezlitośnie, obnażając bezradność lekarki.

Nie była przygotowana na taki atak i teraz zrozumiała swój błąd.

–Muszę iść. – Jej uśmiech wyglądał już na tyle sztucznie, że uznała to za jedyne wyjście. – Ale po południu możemy do tego wrócić.

Gdy wstawała, Lorent silnie chwycił ją za nadgarstek. Przez moment rozważała wezwanie sanitariusza, ale szybko sobie przypomniała, że nie ma nikogo na korytarzu.

–Puść moją rękę, Krzysztof! – rzuciła zdecydowanie.

–Nie atakuję cię. Chcę, abyś przez chwilę posłuchała.

Sambierska zastygła, starając się jakoś zapanować nad sytuacją.

–Dobrze. Ale obiecaj, że ty również mnie uważnie wysłuchasz.

–Oczywiście – zgodził się gładko.

–Chcesz wyjść – spróbowała jeszcze raz. – To normalne, lecz teraz niemożliwe.

Nie mam tu takiej władzy, aby o tym zdecydować.

–Masz klucze do wszystkich drzwi.

Lekarka otworzyła szeroko ze zdziwienia oczy. Tym razem nie miała zamiaru ukrywać odczuć.

–Krzysztof, słyszysz, co mówisz?! – spytała podniesionym tonem. – Chcesz, abym pomogła pacjentowi w ucieczce z oddziału zamkniętego, narażając na niebezpieczeństwo jego, siebie i Bóg wie kogo jeszcze?!

Lorent powoli przysunął się do niej, kiedy znowu usiadła na krześle. Gdy dzieliło ich najwyżej kilkanaście centymetrów, zaczął mówić niemal szeptem, ale spokojnie i wolno.

–Jest akurat odwrotnie. Jeśli nie pozwolisz mi stąd wyjść, narazisz na niebezpieczeństwo wszystkich na tym oddziale, łącznie z personelem.

–Możesz mi to wytłumaczyć?

Krzysztof bez trudu wyczuł w jej głosie strach.

–Wiem, że to brzmi jak kolejny atak paranoi, ale spróbuj się otworzyć i wyczuć, co jest projekcją, halucynacją, a co może być prawdą.

Jego głos był spokojny, wyważony, bez cienia fałszu czy neurotycznego podniecenia.

–Od tego tu jestem – przypomniała służbowo.

–Przyjdą po mnie ludzie... – spróbował, ale szybko przerwał, zdając sobie sprawę, jak to brzmi.

Po chwili jednak zaczął od nowa:

–No trudno, niezależnie od tego, jak to odbierzesz, jeśli usłyszysz, co mam ci do powiedzenia, istnieje pewna szansa, że będziesz lepiej przygotowana.

–Na co?

–Jak wspomniałem, przyjdą po mnie pewni ludzie. – Zignorował jej pytanie. – Bardzo groźni ludzie. Jeśli nie zmienili metod, dotrą do mnie bez względu na przeszkody. Nie zawahają się przed niczym. Jeśli ktoś stanie im na drodze, wszystko tu spłynie krwią.

–Nie zmienili metod? – Ola postanowiła, że jednak wysłucha go do końca. Szczególnie po usłyszeniu: „wszystko tu spłynie krwią”.

–O ich przeszłości opowiem ci kiedy indziej.

–No dobrze. Dlaczego ci ludzie chcą się do ciebie dostać?

Lorent kiwnął głową zadowolony, że lekarka wreszcie podjęła rozmowę, choć wiedział, że z pewnością nie traktuje tego w najmniejszym choćby stopniu poważnie.

–Bo posiadam w tej chwili wiedzę, której szukają od wielu lat.

–W porządku. – Sambierska ponownie wypogodniała. – Wysłuchałam uważnie tego, co mi powiedziałaś, a teraz ty wysłuchaj mnie, zgoda?

–To nie wszystko, ale oczywiście zamieniam się w słuch.

–Prosiłeś, abym spróbowała się wczuć w to, co mówisz.

–Tak.

–Teraz ja proszę ciebie, żebyś zrobił to samo w stosunku do mnie.

–Zgoda.

–Więc spróbuj, choćby teoretycznie dopuścić myśl, że to, co wydaje ci się absolutnie realne, zgodne z rzeczywistością, może... oczywiście nie musi, ale może i, jak sądzę, tak jest – rodzić się w tobie, nie na zewnątrz. Jesteśmy wyposażeni tylko w pięć mało sprawnych zmysłów, a każdy z nich płata codziennie figle, i to nie tylko tobie. Mnie również. Każdemu. Tyle że jednym bardziej, drugim mniej. Tym, którzy mają poważniejszy kłopot, trzeba starać się pomóc, ale tak naprawdę nikt z nas nie zna prawdziwej, obiektywnej rzeczywistości. Pomyślałeś, że tak może być?

–Oczywiście – odparł spokojnie.

–To już pierwszy ważny krok.

–Jasne. Mam tylko kilka pytań pomocniczych.

–Chętnie na nie odpowiem – zachęciła ochoczo.

–Dlaczego od kilku tygodni posługuję się płynnie około sześćdziesięciu językami, w tym narzeczem Tuaregów – niemal wymarłym dialektem arabskim sprzed wieluset lat? Do tej pory oprócz łaciny radziłem sobie – i to średnio – wyłącznie z angielskim. Dlaczego umiem przyrządzać setki najbardziej wymyślnych trucizn z ogromnej liczby roślin, których łacińskie nazwy mam w małym palcu? Trochę dziwne, jak na młodego współczesnego księdza, nie sądzisz? Dlaczego jednym ruchem potrafię obezwładnić człowieka, zabić lub spowodować, że straci przytomność na przykład na dziesięć minut? Jestem tego pewien, choć w życiu jeszcze nikogo nie uderzyłem. Dlaczego mogę wyjąć szpilkę z twoich włosów lub igłę z identyfikatora tak szybko, że nie zorientujesz się nawet, o co chodzi, i wbić w takie miejsce szyi, że nie będziesz w stanie ruszyć żadną z kończyn, mimo że z zewnątrz będą do ciebie docierały impulsy równie wyraźnie jak do tej pory?

–Ccco... ty mówisz?! – Lekarka znowu rozejrzała się z niepokojem, ale po pierwszym szoku natychmiast się opanowała.

–Powiedzmy, że wspomniałem o tysięcznej tego, co mam w tej chorej – jak twierdzisz – głowie i jeśli można, prosiłbym teraz o diagnozę, pani doktor. Jak ta choroba się nazywa?!

–Ile języków?

–W tej chwili sześćdziesiąt trzy i wciąż przypominam sobie nowe. Ty znasz chociaż jeden?

–Pomijając łacinę – nieźle francuski i trochę hiszpański. Dobrze angielski.

–To może pokonwersujemy w ten sposób? „Co ty na to, aniele wybawicielko dusz”? – spytał, przechodząc płynnie na francuski.

–No, to nawet ładne i poetyckie – przyznała Sambierska, uspokajając zdecydowanie przyspieszony oddech. – Trochę może nie ta gramatyka...

–Ta. – Krzysztof uśmiechnął się. – Tyle tylko że z trzynastego wieku. Ostatnie zdanie to cytat z *Rozmów z wybawicielką*, dzieła Deskreville`a, którego nie znasz, bo zaginęło w czasie wojny stuletniej i nigdy go już nie odnaleziono. Tak przy okazji – wiem, gdzie ono jest.

–Krzysztof, ale...

–Przyznasz, że takich rzeczy raczej nie uczą w seminarium?

–To, co mówisz, jest raczej trudne do udowodnienia.

–Nie tak bardzo. – Lorent nie spuszczał z niej wzroku. – Może eksperyment z igłą?

–Nie! – niemal krzyknęła Ola. – W porządku. Poczekaj... ale skąd się o tym wszystkim dowiedziałeś? Jak to się znalazło w twojej... głowie?

–Tego akurat jeszcze nie wiem, wiem natomiast, że nie jestem sam. Jest wielu ludzi, którzy zdają sobie sprawę z moich możliwości, i sporo w przeszłości, którym przytrafiło się to samo.

–Zostawmy na razie tych ludzi. Jak to praktycznie odczuwasz?

–Jak wiesz, to się stało nagle. Przez pierwszych kilkanaście dni często traciłem przytomność, gorączkowałem, miałem wieczne zaburzenia świadomości, galimatias. Jakbym oglądał w umyśle tysiące filmów na raz. Nie umiałem tego objąć. Zacząłem przypominać sobie miliony rzeczy, które nie dotyczyły mojego życia. Jakbym był w umysłach dawno nieżyjących już ludzi.

–To jak... reinkarnacja?

–Nie, nie... Mimo że jako katolik nie wierzę w reinkarnację, również brałem pod uwagę i taką możliwość, ale to nie to. Przynajmniej tak mi się wydaje.

–Skąd wiesz? – Ola gładko weszła w zaproponowany przez Lorenta styl rozmowy i wyglądało na to, że się trochę uspokoiła. Teraz dosłownie pożerała ją ciekawość.

–Czuję, że to nie byłem ja. Widziałem życia tych ludzi, ale to z pewnością nie byłem ja. Być może w mózgu każdego z nas są ukryte miliardy informacji, z których nasz umysł w ogóle nie czerpie. To cała spuścizna naszych przodków. Zamknięte na klucz i już. Dla bezpieczeństwa. Jako psychiatra wiesz, że wykorzystujemy na co dzień tylko niewielką część naszego mózgu – reszta to zagadka. Aż tu pewnego dnia coś, może ktoś... przekręca kluczyk i wszystko dostaje się do świadomości. I mamy kłopot.

–Twierdzisz, że posiadasz wiedzę wszystkich swoich przodków?

–Nie wszystkich... to trochę bardziej skomplikowane. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale nie wszystkich. W każdym razie wielu. Czasem nawet ludzi, którzy z pozoru nie tylko nie są moją rodziną, ale pochodzą z innego kraju i nie mieli pojęcia, że ze współczesnym im największym wrogiem łączy ich linia genetyczna z przeszłości. Mówiliśmy o wojnie stuletniej. Pamiętam przeżycia licznych zarówno Anglików, jak i Francuzów z tego czasu. Żyli równocześnie, a więc to nie reinkarnacja. Tyle tylko że oni wszyscy, z czego nie zdawali sobie sprawy – wiele lat później dzięki szczęśliwemu bądź nie splotowi wypadków stali się wspólnymi moimi przodkami. Wszystko zatoczyło krąg. I tak informacje z ich umysłów, które zapisali sobie w genach, przekazywane przez pokolenia dotarły do mnie. A po drodze rycerze, wojowie, mistrzowie walk, szermierze, naukowcy, przyrodnicy, poszukiwacze, złodzieje, bandyci, politycy... Tak przez tysiące lat... Nie tylko ich wspomnienia, przeżycia czy wiedza, ale głównie umiejętności. Pamięć to przede wszystkim umiejętności. Ci ludzie umieli walczyć, uciekać, tropić, tworzyć, odkrywać... A wyobraź sobie, kim się stanę, jak mój umysł będzie potrafił to zsumować i

**uporządkować...**

**Ola patrzyła na Krzysztofa jak urzeczona.**

**–To niesamowite tak pamiętać wszystko...**

**–Tak myślisz? – Pacjent wyraźnie posmutniał, ale nadal miał w oczach jakiś niezwykle silny spokój i opanowanie.**

**–To marzenie każdego. Umieć jak najwięcej. Wszyscy jesteśmy sumą doświadczeń.**

**–Ale nie umiemy być samotni.**

**–Nawet księży?**

**–Oczywiście. Bez Boga każdy z nas wysechłby do cna. Bylibyśmy niczym. A samotność zjadłaby nas żywcem. Bóg opiekuje się nami, jest wzorem, księgą, z której możemy czytać, największym przyjacielem, który nigdy nie zdradzi. W dodatku czeka na nas. A kiedyś się z nim spotkamy, na zawsze.**

**Lorent spuścił głowę.**

**–A wyobraź sobie – ciągnął – że nagle budzisz się na planecie, na której nikt nie mówi twoim językiem, nikt nie potrafi podzielić się z tobą czymkolwiek, rozszerzyć twojej wiedzy, zaciekawić cię, nawiązać twórczy kontakt, bądź tylko choćby... zaopiekować się tobą. Wyobraź sobie, że jesteś wyposażona w absolutnie nieporównywalną z nikim wiedzę, a na żadne twoje pytanie nikt nie może odpowiedzieć. Wiesz mi, nie chciałabyś być Bogiem, szczególnie że cała twoja natura krzyczy, iż jesteś człowiekiem. A nawet być człowiekiem, ale najmądrzejszym na całym świecie... czy może być coś straszniejszego?**

**Wieczór zapadał wolno, ale chmury zasnuły niebo i zrzuciły na miasto nieprzyjemną i zimną siność. Ola poczuła się senna i choć była po wielu godzinach pracy, wolała przespać się na kanapie w szpitalu, niż zachrzaniać swoją rozwalającą się skodą na Ursynów. Doktor Błażej Kulawik spóźnił się, ale, mówiąc szczerze, była mu za to wdzięczna. Korzystając, że jest w pokoju sama, wyciągnęła się bezwstydnie i jeszcze na chwilę zamknęła oczy. Spać spokojnie na dyżurze nie potrafiła, lecz wyuczona, czujna drzemka relaksowała wystarczająco. Skrzypnięcie drzwi, zwiastujące pojawienie się zmiennika, nastąpiło zaledwie dziesięć minut po czasie. Za mało. Urażona lekarka kompletnie olała przeprosiny kolegi i zareagowała dopiero na pytanie o pacjenta.**

**–Co z naszym księdzem? – Kulawik zdjął czarny kapelusz à la Johnny Rokita i powiesił go na wieszaku. Palto rzucił chwilowo na stół, aby jak najszybciej przebrać się w fartuch, co znamionowało poczucie winy i natychmiastową gotowość do dyżuru.**

**–Jest niezwykle – przyznała Sambierska.**

**–Wiem. Co znowu dzisiaj wymyślił?**

**Lekarka uśmiechnęła się do siebie i usiadła na kozetce.**

**–Jego wyobrażenia są niesamowite. To jak... opowieści z tysiąca jednej nocy. Trzeba naprawdę bardzo się pilnować, aby w nie... nie uwierzyć. Gdyby to choć trochę było prawdopodobne, wysłuchałabym go uważnie i przerzuciła się na pisarstwo. Science fiction z mrocznych odmętów historii – rozmarzyła się,**



wyrzucając dramatycznie przed siebie ręce jak w starogreckim teatrze.

–Mam nadzieję, że, tak czy owak, uważnie go wysłuchałaś? – spytał Kulawik, unosząc brwi.

–Oczywiście. Przecież żartuję. Gdyby nie jego lęki, chętnie zamieniłabym się z nim na choroby.

–A na co ty chorujesz?

–Na nieodwzajemnioną miłość do życia. Ty nie?

Błazej padł na krzesło.

–Niedziela dzisiaj, tak? – spytał, ziewając bez żenady.

–Uhm.

–Pusto już na ulicach, ludzie jakoś nie balangowi w tych czasach.

–Nie chce mi się wracać do domu.

–Idź, prześpij się.

Ola wstała i przeszła się po pokoju.

–Lorent za wszelką cenę chce wyjść.

–Czasem tak jest. – Kulawik sięgnął do szuflady biurka po zostawioną wczoraj torebkę cukierków.

–U pacjentów lękowych to rzadko się zdarza.

–Jak to argumentował?

–Ma wrażenie, że tropi go jakaś grupa ludzi. Sekta, tajne stowarzyszenie, coś w tym stylu.

–Coś w tym stylu – powtórzył z ironicznym uśmiechem lekarz. – Bardzo profesjonalna synteza. I co jeszcze?

–Nie czepiaj się, grubasie – burknęła Ola. – Jest chorobliwie pochłonięty lękiem o pacjentów i personel na tym oddziale. Uważa, że oni przyjdą i wszystkich tu pozabijają. Tylko jego zniknięcie może odwrócić ich uwagę od nas.

–Myślę, że powoli trzeba będzie podążać w kierunku schizofrenii paranoidalnej. Nawet jeżeli temu coś towarzyszy, uważam to za sygnały osiowe.

–Zmusił mnie, abym potraktowała to śmiertelnie poważnie.

–Zapodałaś mu *gnóthi seautón*[\[45\]](#) w swoim stylu?

–Tak. Ale potrzeba mi więcej czasu.

–Coś mu obiecałaś?

–Że poważnie rozważę z tobą ten problem.

–I co on na to?

–Prosił, żeby nikomu nic nie mówić, dla bezpieczeństwa. Dał mi do jutra czas do namysłu.

–A potem?

–A potem będzie problem.

Kulawik ciężko wypuścił powietrze z płuc.

–Nie kupi tego, jest za inteligentny. Wie, że mi powiesz. Przewidział to. Na pewno ma jakiś plan. Trzeba go odizolować.

–Cholera! – Ola pokręciła głową niezadowolona. – Taki fajny facet... chociaż ksiądz.

–Prześnię wreszcie z tym swoim antyklerykalizmem, jestem katolikiem! Nie mogę już cię czasem słuchać. Nie każdy jest idiotą takim jak ten proboszcz.

Ola przytaknęła przepraszając głową i otworzyła szafę, aby wyjąć płaszcz.

–Idę. Przemyślę Lorenta w domu, rano pogadamy.

–Rano?

–Zadzwoń. Chcę naprawdę coś wymyślić. On ma rację, stoimy w miejscu.

Błażej machnął ręką, wyganiając koleżankę do domu.

Po wyjściu z pokoju lekarzy zrobiła zaledwie kilka kroków, kiedy po drugiej stronie kraty zobaczyła leżącego na podłodze sanitariusza. Nie zdążyła sięgnąć po klucze, gdy w głębi korytarza zauważyła kolejnego mężczyznę, tym razem strażnika, spoczywającego nieruchomo na podłodze. Zamarła na chwilę i poczuła, jak strach szybko opanowuje jej umysł. Stała przez kilka sekund, jakby ktoś przykleił jej stopy do podłogi.

–Chyba nie mamy czasu do jutra – usłyszała nagle za plecami spokojny głos Lorenta.

Odwróciła się raptownie. Stał wyprostowany kilka metrów za nią, ubrany w dżinsy i sportową bluzę. Na szczęście reszta chorych była w salach.

–Jak to zrobiłeś? – jęknęła, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami. Nie potrafiła opanować drżenia rąk.

–To nie *Gwiezdne wojny*. Nie potrafię obezwładnić nikogo na odległość. Są za kratą. Nie widzisz?

–Widzę, ale... no tak... zauważyłeś, jak to się stało?

–Nie.

–Dzwonię na policję.

–Nie radzę.

Ola mimo wszystko wyjęła telefon komórkowy.

–Krzysztof, wróć spokojnie do sali! – rozkazała. – Załatwię to.

–Nie załatwisz. – Lorent był perfekcyjnie spokojny. – Myślisz, że gdyby chcieli, nie dostaliby się do środka? To znak dla mnie. Albo wyjdę na zewnątrz, albo oni wejdą tutaj. Co wybierasz?

–Już mówiłam, dzwonię na policję.

–Jeśli zaczniesz wykręcać numer, to tak, jakbyś weszła z karabinem maszynowym do sali. Czy wreszcie teraz mi wierzysz?

Lekarka w końcu oderwała się od komórki.

–Czy oni... nie żyją?

–Myślę, że żyją.

–Ale jak...?

Skrzypnęły drzwi i na korytarz wytoczył się Kulawik.

–Ty jeszcze tutaj? – spytał, kolejny raz ziewając. Dopiero teraz zobaczył nieprzytomnych strażników.

Lorent błyskawicznie podbiegł do lekarza i trzema palcami chwycił od tyłu jego szyję. Po sekundzie Błażej osunął się na podłogę.

–Tak – wyjaśnił Krzysztof, odpowiadając na jej pytanie. – Nie martw się, nic mu

nie będzie. To tylko chwilowa blokada impulsów płynących do mózgu. Za parę minut odzyska przytomność. Nie może z nami iść.

–Z nami?! – wydukała płacząco Sambierska.

–Odprowadzisz mnie do wyjścia i wrócisz. Musisz wezwać pomoc i zaopiekować się ewentualnymi rannymi.

–Dość tego! – Zaczęła znowu wystukiwać numer na komórce.

–Mam ci zabrać te klucze czy otworzysz sama? – spytał chłodno Lorent.

–Chcesz zrobić mi krzywdę?!

–Jak widzisz, nie muszę, aby wziąć to, czego potrzebuję. – Wskazał leżącego na podłodze lekarza. – Ale i tak bym się nie zawahał. Wolę jedną ofiarę niż cały oddział trupów. Połóż komórkę na podłodze, zabierzesz ją po powrocie.

Ola wciąż stała bez ruchu.

–Nie poproszę drugi raz. – Krzysztof wbił w nią zimny wzrok.

Szybko odłożyła telefon na podłogę.

–Idziemy! – rozkazał.

Lekarka wyjęła klucze i podeszła do kraty. Ledwo trafiła do dziurki. Ręce drżały jej jak na syberyjskim mrozie, ale otworzyła zamek. Chwilę później podbiegła do nieprzytomnego sanitariusza. Z tyłu jego szyi błysnęło coś niewielkiego, metalicznego.

–Cholera – westchnął Lorent. – Znają numer z igłą...

–On słyszy, co mówimy?!

–Idziemy!

–Powiedz!

–To punkt *fu-nung*, a nie *fu-chi*. Jest zupełnie nieprzytomny, dopóki ktoś nie wyjmie mu z szyi *akú*, to znaczy... tej igły.

Ola przez kilka sekund patrzyła wyczekująco na Lorenta.

–No to mu wyjmij! – Nie wytrzymała.

–Nie teraz, to może zrobić ktokolwiek. Nie stanie mu się krzywda. Idziemy, oni nie będą czekać.

Sambierska poświęciła jeszcze chwilę na opanowanie strachu i ruszyła szybko korytarzem. Nikt im nie przeszkadzał. Albo nikogo nie było, albo natykali się na leżących, nieprzytomnych sanitariuszy czy strażników. Lekarka prawie biegła. Wciąż nie mogła powstrzymać drżenia rąk, a gdyby teraz się zatrzymała, to pewnie nie zapanowałaby i nad całym ciałem.

–Nie mogę w to, kurwa, uwierzyć! – jęknęła płacząco.

Krzysztof zerknął na nią lekko zgorszony, ale nic nie odpowiedział. Cały czas lustrował drogę, wyłapując wszystko, co mogło im zagrozić lub przeszkodzić. Drobną, rudą, przestraszona lekarka szybko przebierała nogami, skręcając to w lewo, to w prawo. Klucze, jak się okazało, nie były potrzebne. Wszystkie drzwi pootwierano jak na zamówienie. Szli korytarzem, który sprawiał wrażenie, jakby przed chwilą przetoczył się tamtędy huragan. Po zejściu schodami dwóch pięter i kolejnym zakręcie Lorent dostrzegł wreszcie zielony napis „Wyjście”.

–Dokąd to prowadzi? – spytał, chwytając ją delikatnie za ramię.

Kobieta drgnęła, jakby złapał ją prąd.

–Na małe podwórko wewnętrzne. Chyba nie chcesz wychodzić główną bramą?

–Nie chcę. Na pewno tu właśnie czekają. – Wskazał drzwi.

–To może jednak spróbujemy uciec inną drogą?

Krzysztof uśmiechnął się dobrotliwie.

–Ty wracasz.

–Nigdzie nie wracam! Idę z tobą!

–Po co?! Przecież ledwo żyjesz ze strachu.

–Wydaje ci się, czuję się świetnie.

Lorent zajął jej w oczy, próbując dostrzec cokolwiek poza paniką.

–Co chcesz zrobić?

Lekarka uniosła wysoko brodę, usiłując odzyskać fason, poprawiła ramiączka sukienki pod płaszczem i przełknęła ślinę, zyskując w ten sposób trochę czasu.

–Wydostaniemy się stąd, odciągniemy ich od pacjentów, pomogę ci, a później zawiadomimy policję – odparła hardo.

Krzysztof stał przez chwilę jak zamurowany. Poczł, że właśnie rozpoczęły się prawdziwe kłopoty. Nie lękał się tego, co spotka za drzwiami. Wiedział, czego się spodziewać, i był na to przygotowany. Ale na niesforną, neurotyczną lekarzkę, która właśnie postanowiła w przyływie energii zbawić świat – niestety, nie.

–Ola... – przerwał na sekundę, chwytając ją delikatnie za rękę. – Ja się zajmę odciągnięciem ich od chorych i zawiadaniem kogo trzeba, zgoda?

–Nie.

–Błagam cię... to nie zabawa. – Choć trudno mu było w to uwierzyć, zaczął wpadać w panikę. – Jeśli nie posłuchasz to... no wiesz, numer z igłą. Nie pozwolę ci stąd teraz wyjść.

Sambierska jak na zawołanie uniosła dłonie do góry.

–W porządku, przekonałeś mnie. Wracam teraz na górę, ale musisz mi obiecać, że natychmiast dasz znać, jak będziesz w bezpiecznym miejscu.

–Obiecuję.

–Próbowałam – przypomniała.

–Wiem.

–No to... powodzenia.

–Dziękuję.

–No to... idę.

–Tak, lepiej idź.

–Uważaj...

–Czas na mnie. – Krzysztof odwrócił się i szybko odszedł w stronę wyjścia. Drzwi lekko zaskrzypiały, gdy je delikatnie pchnął.

Podwórce wydawało się puste. Odszedł dwa kroki od ceglanej ściany szpitala i czekał. Z trzech stron ograniczały go wysokie mury, z czwartej – dwumetrowa siatka, za którą ciągnął się rozległy trawnik. Bloki na horyzoncie nikły w ciemnościach. Podwórce nie było oświetlone i panował na nim mrok. Nieliczne, ale rozłożyste drzewa zasłaniały dodatkowo poświatę nocnego nieba, jednak Krzysztof mógł

dostrzec właściwie każdy szczegół, który go interesował. Między wschodnim murem a siatką wiodła wąska ścieżka. Właśnie na niej pojawił się przed chwilą wysoki mężczyzna ubrany w coś na kształt zgniłozielonego habitu z peleryną. Głowę przykrytą miał kapturem. Szedł wolno, dostojnie, choć czujnie. Jediną teraz drogą ucieczki dla Lorenta mogło być tylko wejście do szpitala. Drugiego mężczyznę, ubranego niemal identycznie jak pierwszy, ujrzał ukrytego za jednym z drzew.

–Wiesz, kim jesteśmy? – spytał po włosku ten, który wyłonił się zza muru przy siatce.

–Tak – odparł spokojnie Krzysztof.

–Wiesz, po co przyszliśmy?

–Chcecie, żebym z wami poszedł.

–Nikom nie stanie się krzywda. Nikt nie musi ginąć. Chcemy tylko, żebyś się do nas przyłączył.

Lorent złożył ręce jak do modlitwy i roztarł lekko dłonie.

–Nie wydaje mi się, abyś darował życie komukolwiek, kto cię zobaczy – w głosie Krzysztofa nie było cienia emocji. Mówił chłodno, spokojnie, cicho.

–Twoja pamięć sięga naszych dawnych przodków. Wiele się od tego czasu zmieniło. Wszystko ci powiemy tylko chodź z nami.

Skrzypnęły drzwi. Ku przerażeniu Lorenta pojawiła się w nich Ola.

–Dzień dobry – przywitała się uprzejmie.

–Jestem kretynem... – mruknął pod nosem Krzysztof, prosząc w duszy Boga o pomoc.

Mężczyzna stojący za drzewem wyjął błyskawicznie miecz, który miał pod sutanną, ale krótki gest jego towarzysza go powstrzymał.

Sambierska zamarła ze strachu.

–Wszystko w porządku! – rzucił szybko do lekarki Lorent.

–A ten zielony, jebany Zorro?! – jęknęła. – Też jest w porządku?!

–Kobieta nie może nas pamiętać – powiedział po chwili mężczyzna ze ścieżki.

Mnich spod drzewa błyskawicznie ruszył w jej stronę. Krzysztof spodziewał się tego. Przeciął mu drogę i padł na ziemię, podcinając jednocześnie napastnika. Zanim tamten zdążył się podnieść, chwycił jego dłoń, a drugą pięścią uderzył silnie w krtań. Zręcznym, niemal niewidocznym ruchem wytrącił mężczyźnie miecz i kiedy zaatakował go drugi mnich, Lorent był już gotowy, aby odbić uderzenie jego miecza. Walczyli w ciszy. Ola oparła się o mur i przerażona przycisnęła dłonie do ust. Nie mogła krzyczeć, wzywać pomocy ani wypowiedzieć choćby słowa. Krzysztof poruszał się tak szybko, że trudno uwierzyć, iż ktokolwiek może wyrobić w sobie tak niezwykłą zręczność. I choć mnich walczył z ponadludzką, jak wydawało się Oli, precyzją, w pewnym momencie zamarł, widząc, jak miecz Lorenta przebił jego klatkę piersiową i po ułamku sekundy doszedł do serca. Nie było chwili do zastanowienia. Jego ranny towarzysz zdążył już wyjąć długi nóż i próbując złapać oddech, podniósł się ciężko z ziemi. Tym razem cięcie Krzysztofa było krótkie, ale znów prawie niewidoczne dla oka. Z tętnicy rannego trysnęła krew. Padł na kolana, wypuścił nóż z dłoni i osunął się na ziemię. Obaj już nie żyli, kiedy na ścieżce pojawił się trzeci

mnich, biegnąc z mieczem w kierunku Lorenta. Tym razem walka trwała bardzo krótko. Po odbiciu ciosu napastnika, Krzysztof z rozpędu ciął głęboko powłoki brzuszne i zatrzymał się, opierając kolano na ziemi. Zamarł na moment w tej pozycji.

–Jest jeszcze jeden! – krzyknęła lekarka, widząc czwartego mnicha, który wyłonił się zza muru. Lorent podniósł się. Stał do przybysza tyłem, ale wiedział, że mężczyzna tam jest.

–Nic nam nie robi – odparł spokojnie.

–Jak to?!

–Daj mi rękę. – Krzysztof uśmiechnął się ciepło, choć był w jego spojrzeniu czający się głęboko smutek. Widząc, że kobieta jest zbyt zszokowana, żeby wykonać jakikolwiek ruch, wyjął z kieszeni chustkę i wytarł z miecza, którym walczył, krew. Ukląkł na chwilę i się przeżegnał. To samo zrobił mnich stojący do tej pory na ścieżce.

–Daj mi rękę – powtórzył Lorent, wyciągając do lekarki dłoń.

Ola wykonała polecenie. Zaczęli iść w stronę dróżki, mijając nieruchomego mężczyznę, który nawet nie wyjął miecza.

–Dlaczego nas nie atakuje? – spytała szeptem Sambierska. – Gdzie jest reszta?

–Zawsze jest ich czterech – odpowiedział Krzysztof. – Jeśli trzech zginie, czwarty nie walczy, aby zaopiekować się ciałami poległych. Taki zwyczaj.

–Nie zastrzeli nas?

–Nie używają broni palnej. Odkąd tylko ją wynaleziono, strzelanie uważają za dyshonor. Wyjdziemy tędy?

–Tak. Co on robi z ciałami?

–Mają swoje sposoby. Gdzie jest twój samochód?

\* \* \*

–Trochę śmierdzi – powiedział mrukliwie komisarz Michał Kępiński.

–Siarka jaka czy co... – przyznał Guccio Załuska, przez chwilę tracąc nawet charakterystyczny dla siebie jełopowaty wyraz twarzy.

Michał rozejrzał się jeszcze raz po podwórzu.

–Ewa, to jakiś idiotyzm! – krzyknął do koleżanki stojącej na ścieżce między murem a siatką. Mówiła coś do swojej krótkofalówki. Miała około trzydziestu lat, była chuda jak patyk i ostrzyżona na Sinead O'Connor, no... może na Annie Lennox. Ostre rysy, wąskie usta i zacięta twarz sugerowały osobowość jędry, ale w rzeczywistości bił z niej spokój, równowaga i rzeczowość. Dużo klęła, lecz robiła to dość wytwornie, a do tego stosunkowo niewiele w porównaniu ze swoimi kolegami dokuczała Załusce. Nie wnikając w szczegóły, można by stwierdzić, że Guccio był duży i głupi, ale możliwe, iż wielu go krzywdziło. Miał dwadzieścia pięć lat, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, sto kilo wagi i kilkumiesięczne zaledwie doświadczenie w wydziale. Ewa brała to pod uwagę i postanowiła, że da mu jeszcze czas.

–Nie wiem! – odpowiedziała, gdy skończyła tokować do krótkofalówki.

–Gdzie są ci świadkowie? – spytał, podchodząc do niej.

Wzruszyła ramionami.

–Tu. – Wskazała na budynek.

–To jest dom wariatów – przypomniał Michał.

–Szpital psychiatryczny – poprawiła policjantka.

–Ewa... – Komisarz skrzywił się. – Większość z tych ludzi codziennie widuje

Elvisa i Johna Lennona!

–Przynajmniej ich wysłuchaj – poprosiła z uśmiechem. – Popytaj lekarzy...

–Mówiłaś, że lekarze nic nie widzieli.

–Ale opowiadają dziwne rzeczy. Popytaj.

–A czego ty się dowiedziałaś?

–Nie uwierzyłbyś, sam z nimi pogadaj.

–Ale o co chodzi? – włączył się zdeorientowany Gucio.

–Może jego wyślemy? – zaproponował złośliwie Kępiński, wskazując na Załuskę.

–Zaginęła lekarka i jeden z pacjentów, więc może przestań pierdolić, tylko rusz

dupę na górę. Spóźniłeś się, to drałuj – odparła spokojnie i jak zwykle rzeczowo.

Dwóch mundurowych skończyło obchód po podwórzu i zbliżyli się do oficerów, by zameldować, że nic nie znaleźli. Kiedy podeszli, Michał spojrzał błagalnie na koleżankę.

–Proszę cię...

–Szukamy odcisków palców? – spytał znowu Gucio.

–Tak, zbieramy odciski z chodnika, drzew i piasku, po którym depczesz – warknął w jego stronę. – Pomożesz?

–Przestań! – przerwała Ewa.

–To daj mi cokolwiek! Pójdę tam, tylko daj mi coś!

–Świadkowie...

–To znaczy tutejsi pacjenci?

–Zamkniesz się?

–Przepraszam.

–Świadkowie twierdzą, że niska, ruda kobieta i dość wysoki facet wyszli na to podwórko, gdzie spotkali się z kilkoma księżmi, mnichami, cholera wie i...

Przerwała, rozglądając się dookoła i gasząc w sobie zakłopotanie.

–I? – zachęcił Kępiński.

–I zaczęli ze sobą walczyć... na miecze.

–Na miecze – powtórzył Michał.

–Na miecze. Wyglądało na to, że bronili wejścia.

–Jasne. Co dalej?

–Facet zabił trzech z nich i uciekł z kobietą, a czwarty mnich podszedł do ciał, posypał je czymś, potem polał, nakrył jakimś materiałem i podpalił.

–A gdzie zwęglone ciała?

–Podobno ogień był niezwykle gwałtowny. Po kilku minutach pozostał z nich popiół, który on sprzątnął, a resztę rozwiały wiatr. Może znajdziemy resztki.

Nastąpiła bardzo długa cisza.

–I oddalił się z miejsca zdarzenia? – wypalił Gucio.

–Chyba na głowę upadłaś – odezwał się wreszcie Michał, oczywiście ignorując Załuskę. – Mam z czymś takim iść na górę i pytać lekarzy?!

–Oni ci opowiedzą jeszcze ciekawsze rzeczy.

–Słuchaj, bywało już dziwnie, ale to mnie przerasta. Mam podpisać raport o polskich księżach ninja, atakujących szpital psychiatryczny, którego bohatersko bronił paranoik, a następnie nie wiadomo dlaczego uciekł z lekarką? Na jego miejscu przynajmniej odebrałbym medal. Nie ma ciała, nie ma śladów, tylko bajka o jakimś proszku i płynie, który rozpuścił trzech mnichów?

Ewa rozłożyła ręce.

–Kurwa, ja chyba śnię! – jęknął Kępiński.

–Drałuj, tylko zostaw procę. Tu nie wolno wnosić broni bez specjalnego pozwolenia, nawet nam – mruknęła spokojnie.

Michał zdjął kaburę z pistoletem i wręczył ją policjantce. Odetchnął głęboko i wszedł do budynku. Jeden z mundurowych już na niego czekał.

–Poprosiliśmy, aby świadkowie zebrali się w jednym z pokojów lekarskich – zameldował.

–Dobrze, gdzie to jest?

–Poprowadzę.

–No to chodźmy.

Doszli szybko do schodów i wspięli się na drugie piętro. W jednej z sal znaleźli czwórkę lekarzy wyraźnie czekających na kogoś, kto ich przesłucha. Siedzieli na krzesłach, jakby przygotowali się do zwykłego zebrania. Byli jednak wyraźnie zmieszani, przestraszeni i niepewni.

–Witam panów. – Michał przebiegł wzrokiem po obecnych. Sami faceci, jeden łysawy, gruby, drugi siwy, dwaj pozostali trochę młodszy, co najwyżej trzydziestolatek – blondyn i kędzierzawy brunet. Bez zwykłej dla lekarzy pewności siebie, zakłopotani.

–Nazywam się Kępiński, prowadzę tę sprawę, jestem komisarzem policji państwowej.

Gruby wstał, odpowiadając na ukłon policjanta.

–Nazywam się Błażej Kulawik, zastępuję w tej chwili nieobecnego ordynatora, to jest doktor Zenon Jabłoński. – Wskazał na szpakowatego. A koledzy Rosłoniak i Bartnik przyszli do nas z neurologii. Pana koleżanka już tu u nas była...

–Wiem, wspominała. Spróbujmy jednak wszystko uporządkować. Może od początku. – Michał dał znak mundurowemu, żeby wyszedł i dopilnował spokoju.

–Może ja to wezmę na siebie. Wszyscy mieliśmy podobne przeżycia... – zaczął Kulawik.

–Przeżycia? – zdziwił się Kępiński.

–Trochę dziwnie mi o tym mówić, ale część chorych...

–Z chorymi porozmawiamy później – przerwał policjant. – Co panowie pamiętają? Zakłopotany lekarz podrapał się w głowę.

–O to chodzi, że właściwie... nic – wydukał.

–Słucham? – Michał wolno usiadł na najbliższym krześle.

–Kilku kolegów... nie wszyscy są obecni. W tym szpitalu nie można pozostawić chorych bez opieki nawet na chwilę. Ale większość jest na terenie.



–Rozumiem. Jednak dlaczego powiedział pan, że nic nie pamięta? Był pan tutaj cały czas?

–Tak. I nie tylko ja nic nie pamiętam. Nikt niczego nie pamięta, oprócz kilku chorych.

Komisarz zanurzył twarz w dłoniach. Po chwili opuścił ręce, jego spojrzenie powędrowało do Kulawika, a następnie do pozostałych lekarzy.

–Panowie, nie wiem, czy dobrze rozumiem. Macie zbiorowy zanik pamięci?

–Większość z nas obudziła się na podłodze – wyjaśnił jeden z neurologów.

–O... – Michał otworzył szeroko oczy.

–Szedłem korytarzem i... potem obudziłem się po prostu, leżąc na podłodze – dopowiedział ten sam lekarz.

–Ja pamiętam, jak chory... ten, który zniknął, zbliżył się do mnie – wtrącił Kulawik.

– I, podobnie jak kolega, następną rzecz, którą pamiętam, było odzyskiwanie przytomności na podłodze.

–Wszyscy jednocześnie zemdleli w tym szpitalu? – upewnił się policjant.

–Tylko ci będący na korytarzu prowadzącym do wyjścia na podwórko – mruknął niedbale Zenio Jabłoński, który do tej pory nie powiedział jeszcze ani słowa.

–Czyli na drodze, którą pan... – Michał sięgnął po kartkę do kieszeni. – Krzysztof Lorent uciekł ze szpitala?

–Ksiądz Krzysztof Lorent – poprawił Kulawik.

–O...

–Trafił tu z podejrzeniem schizofrenii paranoidalnej. Silne omamy, wizje, lęki depresyjne.

–OK. – Komisarz podniósł do góry ręce, co, jak wierzył, pomagało mu w uporządkowaniu myśli. – Facet porywa lekarkę z oddziału psychiatrycznego, po drodze unieszkodliwia wszystkich, na których się natyka, jednocześnie wymazując im pamięć. Wskakuje na podwórze, gdzie walczy na miecze z kilkoma mnichami, których akurat tam spotkał. Nie miał swojego miecza, więc, jak rozumiem, pożyczył go od kolegów z innego zakonu i zniknął wraz z panią doktor... – Tu ponownie zerknął na kartkę. – Aleksandrą Sambierską, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu. Dobrze zrozumiałem?

–Chce pan nam pomóc? – spytał Jabłoński, którego niespecjalnie rozbawiła tyrada komisarza.

–Oczywiście. Po to tu przyjechałem – odparł Michał. – Tyle tylko że ja nie jestem z *Archiwum X*. Jestem zwykłym, prostym gliną i być może wynika to z mojego niedoświadczenia, ale nie mam wprawy w ganianiu szermierzy hipnotyzerów w habitach. Nie mam pojęcia, jak schizofrenik mógł otworzyć trzy bramy z krat, które tu po drodze minąłem, oraz w jaki sposób umówił się na pojedynek z konkurencyjną parafią. Gdzie się podziewali strażnicy i sanitariusze? Skoro był tak niebezpieczny, dlaczego chodził bez opieki po korytarzu? Jednym słowem, panowie – nie kupuję tej historii. Może będę zbyt obcesowy, ale powiem to: proszę wreszcie zacząć mówić prawdę, bo na razie nic się nie trzyma kupy. Chyba się ze mną zgodzicie, że jak zwali się tu prokurator, będą poważne kłopoty. A więc: co tu naprawdę się zdarzyło?!

–Przyszedłem, kiedy było po wszystkim – zaczął od nowa Jabłoński. – Strażnicy i lekarze leżeli na korytarzu. Kraty były otwarte. Może pan wierzyć w to lub nie, ale taka jest prawda. A teraz najlepsze: wszyscy, z wyjątkiem Błażeja, mieli powbijane igły do akupunktury w tylną część szyi. Kiedy zacząłem im je wyjmować, natychmiast odzyskiwali przytomność. A teraz aresztuj nas pan albo puść do pracy, ale weź się do szukania doktor Sambierskiej, bo bez wątplenia nie wyszła z tego szpitala z własnej woli. A w powietrzu z pewnością się nie rozplynęła.

–Z pewnością? – spytał zaciekawiony tą „pewnością” komisarz.

–Ola ma... – zaczął Kulawik, jednak zatrzymał się i przez chwilę rozważał, czy w ogóle poruszać ten temat -...niechętny stosunek do katolickich duchownych.

–Słucham? – spytał z jeszcze większą ciekawością Kępiński.

–Ma osobisty uraz, wolałbym o tym nie mówić poza jej plecami.

–Czy to możliwe?

–Oczywiście, że możliwe. Wiadomo, że nasi duchowni prezentują bardzo nierówny poziom – włączył się Zenio.

–Nie, nie. Czy możliwe, aby przy użyciu akupunktury pozbawić kogoś przytomności?

Jabłoński rozłożył ręce.

–Nie wiem. Jestem psychiatrą.

–Ale panowie są neurologami. – Komisarz wskazał na dwóch młodych lekarzy.

–Teoretycznie tak, to możliwe – odpowiedział niepewnie blondyn. – Chińska medycyna zna przypadki, kiedy za pomocą akupunktury pozbawiano nawet życia, ale musiał to być ktoś o niesamowitej wiedzy. Takie rzeczy się zdarzają raczej w średniowiecznych legendach, a nie we współczesnej medycynie.

–Skąd pan o tym wszystkim wie?

–Mój profesor ze studiów spędził wiele lat w Chinach, mogę podać do niego kontakt.

–Bardzo bym prosił. A pan. – Tu komisarz wskazał na Kulawika. – Nie miał igły w szyi?

–Nie.

–I jest pan pewien, że zaatakował pana ten pacjent?

–Tak. Tyle pamiętam.

–Żaden z panów nie ma śladów uderzenia w głowę lub innych ran?

–Nie – odparł Kulawik.

–Na pewno?

–Jesteśmy lekarzami – mruknął niecierpliwie Zenio.

–No tak... Pozostaje pytanie, jak on otworzył wszystkie kraty?

–To nie on – stwierdził Kulawik.

–A skąd pan wie?

–Zanim straciłem przytomność, widziałem leżącego strażnika po drugiej stronie. Wtedy bramka była na pewno zamknięta.

–A więc ktoś mu pomógł? – Michał zadał pytanie, na które właściwie nie oczekiwał odpowiedzi.

–Może ci mnisi – podjął niepewnie blondyn neurolog.

–A potem próbowali go zabić na podwórzu? – spytał komisarz.

Wszyscy umilkli.

–Mogę dostać kartę tego chorego? – Michał skierował wzrok na Kulawika.

–Musi mieć pan specjalne pozwolenie z sądu – odparł lekarz. – Nie możemy udostępniać dokumentacji choroby psychicznej osobom postronnym, nawet policji. Michał znacząco zatrzymał wzrok na Kulawiku.

–Koledzy powinni wracać do pracy. – Doktor Błażej uśmiechnął się. – Jeśli to wszystko...

–Na razie tak. Proszę mi zostawić, jeśli to nie sprawi kłopotów, swoje wizytówki. Neurologi i Zenio Jabłoński podnieśli się i ku swojej uldze szybko opuścili gabinet. Kulawik powędrował za biurko i usiadł na fotelu. Wysunął jedną z szuflad i wyjął z niej kartkę maszynopisu.

–Nie jest pan zbyt cierpliwy – podsumował lekarz.

–Zaginęła lekarka porwana przez chorego psychicznie pacjenta.

–Wiem, ale ludzie, których pan przesłuchiwał, też się najedli strachu. – Błażej podsunął policjantowi kartkę. – Napisałem tu panu nazwiska wszystkich poszkodowanych lekarzy oraz chorych, którzy coś widzieli.

–Nie pokaże mi pan karty choroby?

–Nie.

–Wie pan, ile będzie kłopotów, jak zacznie tu węszyć prokurator i ludzie z ministerstwa?

–Dopiero nabawię się kłopotów, jak nielegalnie udostępnię panu dane pacjenta.

–A nieoficjalnie?

–Nieoficjalnie możemy porozmawiać. – Kulawik uśmiechnął się zdawkowo. – Ale nie może pan tego użyć w żadnym sądzie ani traktować jako dowodu.

–Zgoda.

–Robię to, bo chcę, aby znalazł pan Olę... to znaczy doktor Sambierską, jak najszybciej. Powiem panu tylko to, co uważam za ważne dla sprawy.

–Może sobie pan nie zdawać sprawy z tego, co ważne.

–Jednak zaryzykuję.

–Panie doktorze. – Michał nie chciał, aby ryba, która właśnie sama połknęła haczyk, uciekła w najbardziej istotnym momencie, jednak spróbował. – Ja nie uczę pana budowy mózgu, więc niech pan mi zaufa w tym, na czym ja się znam.

–Przykro mi, odpada – odparł bez namysłu lekarz. – Albo się pan zgadza, albo nie było rozmowy.

Kępiński wstał z krzesła i wsunął ręce do kieszeni. Przeszedł się po gabinecie, aby nabrać trochę dystansu.

–W porządku, niech pan mówi.

## Rozdział 3

Jechali szosą krakowską przynajmniej od godziny. Większość trasy pokonali w milczeniu, osuwając się z sytuacją, uspokajając myśli i dając sobie czas na ułożenie istotnych pytań. Ola zdążyła przynajmniej częściowo uporządkować mętlik w głowie, a co najważniejsze – opanować strach. Coś jej podpowiadało, że musi zaufać temu dziwnemu facetowi, który do niedawna był księdzem, a teraz posiadał wiedzę każącą mu robić to, co robi. Najlepiej oczywiście byłoby się natychmiast obudzić, ale skoro chwilowo stało się to niemożliwe, należało przystosować się do sytuacji. To, co zrobił przed szpitalem, było cholernie przekonujące. Tego rzeczywiście nie uczą w seminarium, a urojenia chorych z pewnością nie materializują się w postaci żywych, jak ona sama, ludzi.

–Co teraz? – spytała, przerywając długą ciszę.

–Musimy się ukryć.

–Przed tymi mnichami?

–Nie tylko.

–Nie rozumiem.

Mimo że Krzysztof prowadził, odwrócił się na chwilę w kierunku Oli, licząc na to, że ją uspokoi. Wyglądała jednak na wyciszoną. Pytała rzeczowo i bez cienia podejrzliwości czy panikarstwa.

–Będzie nas szukać policja – stwierdził Lorent.

–Może warto zaufać policji.

–Jeśli nas znajdą, to tak, jakbyśmy napisali ogłoszenie, gdzie i kiedy mają przyjść po nas aurelici.

–Ci z mieczami? – upewniła się Sambierska.

–Tak tych ludzi dawniej nazywano. Od imienia pierwszego z nich – niejakiego Aureliusza Marcellina.

–I o nim, jak zgaduję, też sporo wiesz?

–Był człowiekiem z otoczenia cesarza Konstantyna Wielkiego.

–Trochę dawno.

–Trochę tak.

Ola wyjęła z torebki lusterko, aby poprawić włosy i sprawdzić, jakie spustoszenie w jej urodzie spowodowały wypadki ostatnich godzin. Mimo tych wszystkich ciężkich do zrozumienia zdarzeń nie wypuściła torebki z rąk nawet na chwilę.

–Kim tak dokładniej był ten Marcelim? – spytała, gdy w miarę opanowała sytuację.

–Uczonym, badaczem, poszukiwaczem i... ambitnym politykiem.

–On był... taki jak ty?

–Tak. Jeśli myślisz o tym, na co mnie leczyłaś. – Krzysztof uśmiechnął się, dając sobie i jej szansę na rozluźnienie atmosfery.

–Masz w sobie... jego pamięć?

–Nie. Był z innej linii. O to właśnie w tej całej zabawie chodzi. On wiedział, że nie jest jedyny, że jest nas więcej. Ale chciał osiąść wiedzę wszystkich nas.

–Skromniś.

–Ani ja, ani wielu moich przodków nie potrafiło tego zrozumieć. Zachłanność,

nawet na władzę i wiedzę, musi mieć swoje granice, ale widać człowiek ma nieskończone możliwości.

–Człowiek, który przekracza naturalne granice swojego umysłu – westchnęła Ola – właściwie przestaje być człowiekiem.

–Dziękuję – odparł gorzko Lorent.

–Nie to miałam na myśli, ja... zresztą nieważne, przepraszam.

–Mów – zachęcił Krzysztof. – Nie sądzę, abyśmy specjalnie różnili się poglądem na ten temat.

–Chodzi mi tylko o to, że natura zaprogramowała nas tak, żebyśmy mogli przetrwać i funkcjonować wśród innych, nie zaburzając praw przyrody. To prawda, wykorzystujemy tylko niewielką część swojego mózgu, ale tak ma być. Jeśli sięgamy po coś więcej...

–Podważamy doskonałość boskiego stworzenia i podnosimy rękę na dzieło Stwórcy, a przez to na niego samego – dokończył Lorent.

–Nie wierzę w Boga. Lecz wierzę w medycynę. Wiem, co nami kieruje i co zakłóca porządek rzeczy. To już nie zwykłe niszczenie przyrody, mordowanie milionów zwierząt dla futer i trofeów czy zatruwanie środowiska naturalnego. To zamach na własną naturę. Jestem pewna, że to, co wystąpiło u ciebie, da się cofnąć, może nawet wyleczyć.

Ku swojemu zaskoczeniu, usłyszała nagły wybuch śmiechu Krzysztofa.

–Co cię tak bawi? – spytała urażona.

–Trochę się zapędziłaś. Nie jestem jakimś X-manem czy rycerzem Jedi. Nie zabijam wzrokiem ani nie fruвам w przestworzach. Tylko po prostu... wiem trochę więcej, niż chciałbym.

–Uroczo to ująłeś. Żebyś widział siebie przed szpitalem!

Lorent zmrużył oczy, jakby chciał dostrzec za szybą szczegół, który wydał mu się zbyt mało wyraźny.

–Pamięć ludzka to w dziewięćdziesięciu procentach umiejętności, a nie – jak by się wydawało – fakty. Masz około trzydziestu lat. Ile tak naprawdę z tego pamiętasz? Nawet nie kojarzysz, jak nazywali się twoi nauczyciele w podstawówce, prawda? Pamiętasz od początku do końca jakąś lekcję? Klasówkę?

–Niewiele.

–Właśnie. Jeśli jesteś zwykłym człowiekiem, twoja wiedza nie jest aż tak wielka. Skupiasz się na tym, co potrzebne ci do życia. Umiesz wyrysować wzory cosinusów, sinusów, wzór strukturalny na przykład alkoholu etylowego?

–Alkoholu etylowego tak, z sinusami gorzej.

–Jesteś lekarzem, wiadomo. Ale ludzie zapominają większość wiedzy, którą kiedyś posiadli. Nie jest im potrzebna. Ja też jej nie pamiętam. Nie dziedziczę jej po przodkach. Jeśli oni coś zapomnieli, mnie również trudno sobie to przypomnieć, lecz umiejętności... to zupełnie co innego.

Ola pokiwała głową, uśmiechając się.

–Chodzimy, jeździmy na rowerze, na łyżwach.

–Na łyżwach... nie wszyscy. Ale masz rację. Codziennie wykonujemy tysiące

czynności, z których nie zdajemy sobie sprawy. Dziecko nie umie nawet samo jeść, a później jako dorosły człowiek jest całkowicie samowystarczalne. Nasze życie to suma umiejętności. A mnie dano ich trochę więcej, niż się należało. I tyle.

–No i na nieco wyższym poziomie.

–Ludzie w przeszłości musieli przez całą właściwie historię walczyć o życie, stąd się wzięły umiejętności fechtunku, walki wręcz, instynkt przetrwania. A u mnie zsumowały się po prostu doświadczenia wielu, wielu osób. Dlatego jestem w tym chyba niezły. Właściwie... zdaję sobie sprawę z tego, że to głupie, jednak sam do końca nie wiem, co umiem, a czego nie umiem robić. Na razie... uczę się siebie. Reszta to instynkt.

Ola niespodziewanie położyła rękę na ramieniu Lorenta, patrząc na jego skupioną twarz. Zawstydzona cofnęła ją szybko i podobnie jak on zaczęła obserwować widok za przednią szybą.

–Czego chcą ci ludzie? – spytała cicho.

–Aurelici?

–Tak.

–To dość skomplikowane.

–Mamy chyba trochę czasu?

–Moja wiedza na ich temat kończy się na siedemnastym wieku. Nie wiem, jak to robią teraz, ale kiedyś mieli ogromne wpływy na dworach, wśród władców, w wojsku, w ważniejszych instytucjach, wszędzie. Nie sądzę, aby to się specjalnie zmieniło. Dlatego nie możemy dać się schwytać policji.

–Myślisz, że aż tak? Że to ma taki zasięg? Krzysztof przez kilka sekund nie odpowiadał. Wyprzedził ciężarówkę i delikatnie zwolnił.

–Przez setki lat aurelici byli radykalnie elitarnym bractwem, ale o ogromnych wpływach – wyjaśnił, znów na moment zerkając w stronę Oli. – Ich szpiedzy w większości wypadków nie znali nawet jednej dziesiątej tajemnic swych pracodawców, ale sownie wynagradzani i świadomi surowych kar za zdradę opletli całą ówczesną Europę swoimi mackami. Byli i, jak sądzę, dalej są potężni. Popatrz, jak szybko dowiedzieli się o moim istnieniu. Już w kilka tygodni po... no, wiesz. Czekali gotowi pod szpitalem, a – jak mniemam – zdawali sobie ze wszystkiego sprawę znacznie wcześniej. Myślę, że lustrują i analizują całą światową prasę, szpitale psychiatryczne, więzienia, badają wszelkie skandale i odstępstwa od normalnego porządku społecznego, gdziekolwiek by to się zdarzyło.

–Przestań, Krzysiek! – krzyknęła nagle Ola i odwróciła się w stronę bocznej szyby. – Nie chcę już tego słuchać, chcę odpocząć. Dokąd jedziemy?

–Tak jak mówiłem, w bezpieczne miejsce – odparł spokojnie Lorent.

–Czyli?

–Do przyjaciela.

–Jeśli do twojego przyjaciela, to szybko nas tam znajdą.

–Nie sądzę. U tego przyjaciela raczej nie będą szukali.

Sambierska zrezygnowana machnęła ręką.

–Nie sądzę, aby cokolwiek nam mogło teraz pomóc.

Krzysztof uśmiechnął się tajemniczo.

–Pomoże nam. Taki jeden... Bzdet.

–Co?!

Kiedy skręcili z głównej drogi, zrobiło się zupełnie ciemno. Wiejska droga doprowadziła ich wertepami, muldami i koleinami zapomnianej przez gminę, poszerzanej ścieżyny do przedziwnego domu, stojącego na skraju lasu. Z daleka wyglądał na zwykłą chałupę, ale gdy podjechali bliżej, nawet nocą uderzały w oczy dziesiątki kolorowych esów-floresów wymalowanych na biało, czerwono i zielono po wszystkich ścianach, których tło było... różowe. Dach przypominał raczej obraz Pollocka[46] niż powierzchnię służącą do ochrony przed deszczem, ale nie on wzbudził największy niepokój Oli Sambierskiej, a raczej – kto pod czymś takim może mieszkać?!

Gospodarz nie kazał długo na siebie czekać. Gdy tylko Lorent zatrzymał się przed bramą, z drzwi wejściowych wyłoniła się chuda jak szczapa postać, zakończona niepokojąco podłużną głową z fryzurą nasuwającą skojarzenie z nierówno obciętym mopem. Mężczyzna szedł śmiesznie, wydłużając krok, jakby mijał kałuże. Gdy niespodziewani goście wyszli z samochodu, ujrzeli zdziwioną twarz dwudziestokilkulatka, z niezliczoną liczbą agrafek, kolczyków, a nawet ćwieków w różnych częściach uszu, nosa i brwi. Niewiarygodnie kolorowe spodnie i chłopska koszula dopełniały całości, na której widok każda cnotliwa panna z dobrego domu powinna natychmiast przepisowo zemdleć.

–Krzychu?! – wydusiło z siebie dziwadło. Miało głos wesołej owcy po mutacji.

–Cześć, Bzdet. – Lorent się uśmiechnął.

Ola dostała nagłego ataku kaszlu, ale szybko opanowała sytuację.

–Coś się stało? – spytał gospodarz.

–Mam kłopoty, potrzebuję twojej pomocy.

–Ty masz kłopoty?!

–Tak, właśnie uciekłem ze szpitala psychiatrycznego.

–Cool![47] – przyznał z szacunkiem chuderlak. – Wyrabiasz się. – Nagle spowaźniał. – A tak właściwie... to co ty robiłeś w kwadracie dla trwale uśmiechniętych?! – spytał z niepokojem.

–Odoczywałem od powołania. Wszystko ci opowiem w domu. Jesteście sami?

–Tak. – Gospodarz śmiało wyciągnął dłoń do Sambierskiej. – Bzdet jestem! – przedstawił się z entuzjazmem.

–Ola – odparła odważnie lekarka. – Sambierska. Cześć... Bzdet.

–Cipucha! – wrzasnął punk w stronę domu.

Ola spojrzała błagalnie na Krzysztofa, wyrażając silną potrzebę ucieczki lub przynajmniej puszczenia pawia.

–No?! – odpowiedziała piskliwie gospodyni.

–Żarcia trzeba dać więcej, Krzysiek przyjechał!

–Zajebicie! – wyraźnie uradowała się Cipucha. Wyskoczyła również przed dom, aby rzucić się na szyję Lorentowi. Była niemal idealnym damskim odpowiednikiem stylu Bzdet, choć chyba jeszcze chudszy. Nosiła ogrodniczki, tyle tylko że

zapomniała włożyć jakąkolwiek bluzkę, więc niewielkie piersi przykrywały jedynie paski od spodni.

–Mój księżulo kochany! – Zawisła na Krzysztofie.

–Otworzę bramę, wjedź na podwórze – rzucił Bzdet do Lorenta.

–Wolałbym, abyś wprowadził go do garażu – poprosił gość, uwalniając się z uścisków Cipuchy.

–Stoi tam moja gablota.

–Tego samochodu najpewniej szuka już policja.

Punk zdębiał.

–Hej, koleś, oddaj ciało mojego przyjaciela i powiedz, gdzie on jest!

–Wiem, że to dziwne, ale wszystko ci wyjaśnię. Schowaj ten samochód.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, w czasie której, o dziwo, nawet Cipucha przestała rechotać.

–Pójdę po kluczyki – zdecydował wreszcie Bzdet i ruszył do domu. Dziewczyna pobięła za nim.

–Rany boskie... – jęknęła cichutko Ola, gdy gospodarze zniknęli w chałupie. – Co do jednego masz rację, nie powinni cię tu szukać.

–Nie przejmuj się, to wspaniali ludzie – uspokoił ją Krzysztof. – Może są trochę ekscentryczni, ale wiesz... artyści.

–Trochę ekscentryczni?! Trochę ekscentryczni są działacze PiS-u i Samoobrony, kiedy udają uczciwe i poważne partie, a ci... to Marsjanie!!!

–Nie przesadzaj. – Poklepał ją dobrotliwie po ramieniu – Bzdet to świetny muzyk punkowy, a Cipucha... zobaczysz, bombowa dziewczyna.

–Krzysztof, przecież ty jesteś... byłeś... księdzem! Skąd znasz takich czubów?

–Z podwórka, wychowywałem się z nim na jednym osiedlu. Potem wybraliśmy inne drogi, jednak... nie zerwaliśmy kontaktów. Bzdet raczej rzadko odwiedzał mnie w seminarium, ale... – Przyjrzał się uważnie Oli. – Jak ty sobie wyobrażasz posługę? Myślisz, że księża stworzeni są tylko dla leciwych babć i bogobojnych matek Polek? Nie. My jesteśmy dla wszystkich, także dla takich ludzi jak oni. Punk zdążył już wejść do garażu i odpalić swojego zielono-żółto-pomarańczowego trabanta.

–Bzdet... – mruknęła z niedowierzaniem lekarka.

–On należy do ruchu punkowego – przyszedł jej z pomocą Krzysztof. – „Punk” to w dosłownym tłumaczeniu „śmieć”. Ironiczna kontestacja zakłamanego i egoistycznego, pozbawionego miłości i duchowej wspólnoty układu społecznego. Nasz gospodarz nawet poprzez swój pseudonim włącza się w ten bunt, walcząc o przyszłość, pokój i miłość między ludźmi – zakończył uroczyście.

–A Cipucha spaliła pewnie na demonstracjach już wszystkie staniki, tak że nie został jej żaden na dzisiejszy wieczór? – westchnęła z zadumą Sambierska.

–Oj, czepiasz się! – Lorent uśmiechnął się i pomaszerował w stronę domu. – Idziesz? – spytał na wszelki wypadek.

Opowieść zajęła Krzysztofowi ponad pół godziny. Ku zdziwieniu Oli, nie opuścił żadnego szczegółu i trzymał się faktów, nawet tych najbardziej dziwnych. Bzdet i Cipucha ku jej jeszcze większemu zdumieniu nie przerywali, słuchali z uwagą i



właściwie nie zmieniali wyrazu twarzy. W pewnym momencie punk zaczął, co prawda, poprawiać się z lekkim zakłopotaniem na krześle i drapać się prawą ręką w lewe ucho, ale trzymał fason do końca, a dziewczyna bohatercko mu w tym towarzyszyła. Lorent opowiadał, jak zwykle spokojnie, wyważonym, głębokim tonem, nie unosząc się ani nie egzaltując. Gestykulował oszczędnie, a o walkach na miecze wspomniał z przejściem równym opowieści o zakupach w warzywniaku. Kiedy skończył, sięgnął po przygotowaną przez Cipuchę herbatę, pociągnął łyk i czekał na jakąś reakcję.

–Nooo, to stary rzeczywiście odjechałeś. Miałem zaproponować wszystkim skręta, ale w takiej sytuacji chyba nam starczy – stwierdził Bzdet.

–I poważnie umiesz teraz... tym mieczem i w ogóle? – spytała rzeczowo Cipucha.

–Obawiam się, że tak – potwierdził Krzysztof.

–I jesteś tak obkuty, że nikt ci nie podskoczy? – upewnił się punk.

–No właśnie dlatego wielu będzie próbowało.

–Ale łeb masz jak sklep – rozmarzyła się gospodyni. – Będzie się działo... Masz gdzieś ten miecz?

–W samochodzie. Zabrałem jednemu z nich.

–I gliniarze kupili tę historię? – spytał Bzdet.

–Nie wiemy, ale zaginęła lekarka. Nie sądzę, aby odpuścili, nawet jeśli stwierdzą, że to stek bzdur.

–A Ola nie może wrócić?

–Nie przeżyłaby nawet jednego dnia. Jest świadkiem istnienia tajnego stowarzyszenia, które przez wieki nie tylko miało ogromny wpływ na wielką politykę, ale też umiało pozostać w cieniu. Ślady obecności jego członków w opowieściach pacjentów i niczego niepamiętających lekarzy – to brzmi jak niedorzeczna historia, jednak Ola widziała wszystko. – Lorent uśmiechnął się, starając uspokoić atmosferę.

– Damy radę, ale bardzo potrzebna nam wasza pomoc.

Bzdet rozłożył bezradnie ręce.

–Stary, dla ciebie wszystko, ale co mamy robić? Na razie trochę mi to nie styka pod sufitem...

–Szuka nas policja i aurelici. Gazet nie musimy się bać. Prędzej napisaliby o lądowaniu Marsjan, niż zaryzykowałiby coś takiego. Ale nie możemy na razie się wychylać, choć musimy dowiedzieć się kilku rzeczy. I w tym możecie pomóc. Ja wam powiem, gdzie i czego szukać, a wy nas na pewien czas ukryjecie.

–No to gra gitara! – zapiszczała Cipucha. – Przyjaramy?

–Innym razem – odezwał się lżejszym już tonem Krzysztof. – Muszę teraz odpocząć, pomodlić się... Wybaczcie, robię co mogę, aby tego nie było widać, ale prawda jest taka, że trochę mnie to przerosło.

–Struneczko, pościelisz Krzysiovi na górze? – spytał błyskawicznie gospodarz.

–Okej! – Dziewczyna wyprężyła się i wesoło popiskując, wbiegła na górę. – Chodź, chodź księżulku, zdążysz się umyć i będzie gotowe!

Lorent uklonił się uprzejmie Oli i punkowi, a następnie wszedł wolno po schodach na górę.

–Posiedzisz jeszcze chwilę? – spytał Bzdet lekarki.

–I tak bym nie zasnęła.

–Masz rodzinę?

–Byłą. Nie mam do kogo zadzwonić, jeśli o to pytasz.

–Chyba lepiej na razie nie dzwonić w ogóle do nikogo.

–Wierzysz nam? – spytała nagle Ola.

Gospodarz uśmiechnął się, jakby odpowiedź była oczywista.

–Wiesz... – przerwał na moment. – Znam go od dzieciaka. Był takim... frajerem podwórkowym. Wszyscy z niego robili balona, dawał się wkręcać jak jemiół. Tylko ja chciałem się z nim przyjaźnić. Między innymi dlatego, że nigdy nie kłamał. Nie umiał. Był jak kaleka. Po prostu nie potrafił kombinować. Mówił, co myśli, i to wszystkich... no wiesz, śmieszyło. Więc gdyby nawet przyszedł tu i powiedział, że właśnie widział krasnoludka przelatującego na koniku, też bym mu uwierzył.

–Jaki on jest?

–Ale pytanie! – roześmiał się głośno Bzdet. – Kręcą cię „czarni” albo „ping-pongi”?

–Nie znoszę księży i jeszcze bardziej zakonnicy – przyznała zaskakująco szczerze Ola. – Mam swoje powody.

–Z pewnością, ale wiesz... w każdym środowisku są glisty i wielcy ludzie. Jak by ci to powiedzieć... no, nie uogólniałbym.

–Wiesz, co to jest zakon kontemplacyjny, zamknięty?

Bzdet wzruszył ramionami.

–No, siedzą, modlą się, tracą bezsensownie czas i chcą być święci.

–A więc guzik wiesz.

Punk zauważył, jak Sambierska nerwowo zacisnęła usta i dopiero po chwili zaczęła mówić dalej.

–Moja starsza siostra trafiła do czegoś takiego, gdy miała piętnaście lat.

–Po co?

–Matka ją tam oddała.

Gospodarz uniósł rękę do góry.

–Spoko, nie chcę być wścibski.

–Nie robię z tego tajemnicy. Gdybym mogła, opisałabym jej historię we wszystkich gazetach, żeby ludzie wiedzieli.

Bzdet nie chciał, by jego gość w jakikolwiek sposób miał powody do stresu większego niż to konieczne w zaistniałej sytuacji, ale wzburzenie w jej spojrzeniu nie pozwalało mu przerywać. Chciała się wygadać? OK.

–Marzyła, aby zostać, jak to powiedziałaś, świętą – ciągnęła z pasją Ola. – Kiedy zobaczyła w tym klasztorze uduchowione, ubrane na biało siostry, modlące się, czyste, zapragnęła być taka jak one. Była szczęśliwa. Wstawała, jak kazała reguła, o piątej rano, szła się myć, oczywiście tylko w zimnej wodzie, bo inaczej nie wolno, potem z resztą sióstr modliła się, czytała księgi ascetów, ale tylko te dozwolone. Później w planie dnia był rachunek sumienia – klęczenie godzinami z powrozem na szyi, by zmasać grzechy. Następnie obiad w ciszy, znów modlitwa i wreszcie najbardziej beztroski moment – tak zwana rekreacja, w czasie której wolno

rozmawiać! Ale... – Tu Sambierska uniosła palec, naśladując złośliwie gesty duchownych. – Tylko o wybranych świętych. Nie wolno jej było kontaktować się osobiście z rodziną ani otwierać listów od nas, bo najpierw musiała przeczytać je przełożona. Nie rozumiałam tego, miałam wtedy sześć lat.

–Przepraszam – wtrącił Bzdet. – Ale trochę trudno mi w to uwierzyć, od średniowiecza minęło sporo czasu.

–Nie, kolego. To dwudziesty wiek, Polska. – Ola pokręciła głową z wyraźną złością. – Świętość stanowiła jedyny cel, a dojść do niej można tylko poprzez cierpienie. A więc kiedy ciężko zachorowała, przełożona doradziła jej, żeby była cicho, bo cierpieć należy w milczeniu. Gdy jedna z siostr potajemnie przyniosła jej lekarstwa, została dotkliwie ukarana przez przełożoną. Wiesz, co to jest „dyscyplina”?

–Rozumiem, że poza oczywistym znaczeniem tego słowa?

–To taki pejcz z pięcioma supłami do biczowania się. Wszystkie siostry zakonne musiały codziennie okładać się jak najczęściej, a w czasie tak zwanego *miserere mei Deus*, w czasie bicia dzwonów, nie godziło się przerywać nawet na chwilę, bo mógłby wtedy wstąpić w którąś z nich szatan. Każda przyjemność, nawet w myśli, była straszliwym przestępstwem, wymagającym pokuty za pomocą... dyscypliny. Każda myśl o wolnym świecie, zielonej łące, zapachu lasu to grzech, za który trzeba zapłacić... dyscypliną. We śnie również nie należało szukać przyjemności. Na twardych deskach, w ubraniu, spało się tylko dlatego, że sen był koniecznością. Przyśniło ci się coś „nieprzepisowego”? Musisz pędzić do przełożonej po karę. Nie daj Boże odezwałaś się zbyt wcześnie – biczowanie.

Ola otarła oczy, aby punk nie zauważył, że są mokre.

–Chciała malować, śpiewać... – ciągnęła. – Przełożona powiedziała, że jest zbyt zmysłowa i, niestety, ma w sobie szatana, i musi więcej cierpieć, aby go z siebie wypędzić, więc zaczęła się dodatkowo biczować. Gdy traciła siły, prosiła inne siostry, o ile pozwolono się jej odezwać, by pomogły w tym biczowaniu. Ciągłe było mało: upokorzeń, włosienicy, dyscypliny... Skórę miała tak zrogowaciała, że już nic nie czuła i nagle... po piętnastu latach, któregoś dnia po prostu wstała i wyszła stamtąd. Jakby nigdy nic. Wróciła do nas. Weszła do swojego pokoju i położyła się na łóżku. Nie mówiła nic przez ponad miesiąc. Zachowywała się jak dzikie zwierzę. Nie znała świata, nie potrafiła chodzić ulicami, cud, że w ogóle trafiła do domu. Miałam dwadzieścia jeden lat, ona trzydzieści, właściwie nawet się nie znałyśmy. Ojciec już nie żył, matka zmarła rok później. Zostałyśmy same. Omijała kościoły z daleka, a ja pilnowałam, aby w domu nie pojawiały się żadne symbole religijne. Teoretycznie, bardzo powoli, wszystko wracało do normy. Zaczęła mówić. Opowiadała. Całymi dniami, godzinami opowiadała. Może dobrze, że nasza bigoteryjna matka tego nie dożyła. I tak miała swego czasu skaranie boskie, bo ze mnie nijak świętej się zrobić nie dało.

–Co się z nią stało? To znaczy z twoją siostrą? – spytał cicho Bzdet.

–Żyje. – Ola wypila do końca herbatę.

–Utrzymujesz z nią kontakt?

–Przez pewien czas była moją pacjentką, ale szybko zrezygnowała. Zabroniła do siebie dzwonić, nie chce przyjeżdżać na święta. Dowiaduję się od sąsiadów, co się z nią dzieje. I co teraz powiesz o wspaniałych duchownych i ich religii?

–Ciągle to samo. Odróżniam głupotę i fanatyzm od tego, co naprawdę warto zachodu. Są zakonnice i zakonnice. Są księża i księża. Niektórym ludziom kojarzą się głównie z kazaniami wyrzyganymi głosem umierającego pedała, debilnym moralizowaniem, wygrażaniem palcem wolnomyślicielom, by później obmacywać ministrantów na plebanii. Ale są i byli tacy wielcy duchowni, jak ksiądz Tischner, Jan Twardowski, Arek Nowak, właśnie Krzysztof i wielu innych zajebistych facetów. Tak po prostu jest, ludzie to ludzie.

–Słuchaj, czy ty chodzisz w ogóle do kościoła?

Punk przymrużył zawadiacko oczy.

–Widzisz, ja mam swój kościół tutaj. – Popukał się w czoło. – W moim łbie. I wiele z tego, co tam poukładałem, zawdzięczam Krzyśkowi. On przerastał nas wszystkich już w dzieciństwie, a ja dumny jestem, że potrafiłem to zauważyć. A ty jak go poznałeś?

–W szpitalu psychiatrycznym.

–A, no tak. – Przypomniał sobie. – Ale też dobrze. Romantycznie. Lekarka i geniusz, którego trzeba wyleczyć z mądrości i przystosować do dzisiejszego świata. Ola spojrzała w stronę schodów, aby gospodarz nie widział jej oczu.

–Jak sądzisz, o czym on może teraz myśleć? – spytała, udając obojętność.

–Pewnie zadaje sobie pytanie, czy lepiej być szczęśliwym, czy mądrym.

–Może chce być po prostu normalny?

–Nie ma czegoś takiego – odparł poważnie punk. – Normalność to erzac, miara wymyślona przez hipokrytów dla załatania strachu szarych przeciętniaków. Pierdołę hipokrytów, a życie bym oddał za takich jak on. – Pokazał palcem w kierunku schodów, którymi kilka minut temu wspiął się Krzysztof. – Napijesz się czegoś jeszcze?

Luigi Balea siedział w milczeniu na ławce. Podwórze otoczone było ze wszystkich stron wysokim murem, więc sprzyjało rozmyślaniom. Stare ściany zamczyska gdzieś porastały rozczapierzone pnącza, strzyżone regularnie, ale chyba niezbyt sprawiedliwie. Na wschodniej stronie potraktowano je wyraźnie surowiej, karcąc każdą próbę wybicia się do słońca, podczas gdy południowa ściana żyła zielenią. Przebijały przez nią tylko niewielkie okna w gotyckich kształtach, pilnując, by powaga tego miejsca nie przeistoczyła się w chłodny i ponury smutek. Starzec po chwili wahania zbliżył się do młodzieńca i położył mu delikatnie dłoń na ramieniu.

–Napawa cię to smutkiem – stwierdził, nie zadając nawet pytania.

–Tak, ojciec – odparł cicho Luigi.

–Niepotrzebnie. Tak należało zrobić.

Balea rozłożył ręce.

–Jak mamy go pokonać, nie zwracając niczyjej uwagi. Nie mogę wysłać więcej niż czterech braci.

Aureil pokiwał głową.

–Nie próbuj go pokonać. Mów do niego. – Starzec usiadł na ławce.

–Teraz tak się ukryje, że nigdy go nie znajdziemy. A czekaliśmy na to całe życie.

–O nie, mój chłopcze. – Aureil uśmiechnął się dobrotliwie. – Mylisz się tym razem, choć coraz rzadziej ci się to zdarza. On wie doskonale, że już nigdy się nie ukryje. Prędzej czy później przyjdzie do nas sam, ale cały czas musimy mówić do niego.

–Trzy dusze odeszły w jednej chwili – szepnął ze smutkiem Luigi. – Jakby był nadczłowiekiem. To byli wspaniali rycerze, szkoleni latami...

–Wiem, chłopcze, lecz nie odeszli na darmo. Przynajmniej mamy już pewność, że to on, wiemy, że istnieje. A mimo całej swojej potęgi, Kapłan również zdaje sobie sprawę, że nie opuścimy go nigdy. Potrzeba tylko czasu. Czekaliśmy tyle lat, możemy poczekać jeszcze trochę.

–Martwię się też o Iosifa. Wczoraj w gniewie pobił dotkliwie kilku uczniów. Na treningu. Nie mówi nic i nie chce z nikim rozmawiać, ale coś rozdziera go od wewnątrz.

–Nie martw się Puninem – uspokoił go starzec. – Chyba go przekonałem, aby nie stawał ci na drodze.

–Nie staje, choć sam jest jak chodzący wulkan.

–Taaak. – Aureil dał sobie chwilę na refleksję. – Iosif jest dumny i nieskromny.

–Ale najlepszy.

–Takie odnosisz wrażenie, bo jest w nim gniew, a miecz słucha jego ręki.

Wszelako pamiętaj, gdyby teraz stanął naprzeciwko Kapłana, nie miałby najmniejszych szans. Pozwolimy mu ruszyć, kiedy nadejdzie czas.

–Kapłan będzie rósł w siłę.

–Jednak teraz już bardzo wolno. Pamiętaj, jego umysł jest potężny, ale ciało – niewycwiczone. Każdy wysiłek, taki jak ten w Warszawie, bardzo go wyczerpuje. Zanim zorientuje się, jak wiele musi włożyć pracy w dostosowanie siły swojego ciała do siły umysłu – minie wiele czasu.

–Co mam robić, ojcze?

Aureil był zadowolony. Najukochańszy uczeń nigdy go nie zawodził. Zawsze błędził, szukał i pytał, tak jak tego oczekiwał jego mentor. Jeszcze raz pogładził opiekuńczo głowę młodzieńca.

–Teraz poczekamy. Bądźmy jednak czujni. Kapłan albo ktoś, kogo wyśle, pokaże się prędzej czy później. Na wszelki wypadek jednak zadzwoń do Pietrowa.

–Jak bardzo mam być ostrożny?

–Oszczędź mu szczegółów, ale powiedz, że być może potrzebna nam będzie jego osłona, wpływy w Polsce, no i... satelita.

–Zanim to załatwi, minie sporo czasu.

–Jeśli się dowie, że Kapłan jest wśród nas, pośpieszy się.

–Tak, mistrzu.

–Niech Bóg cię błogosławi, chłopcze, i nie smuć się. Nasze dni już nadchodzą.

Michał Kępiński wszedł do samochodu i padł ciężko na fotel pasażera. Siedząca przy kierownicy Ewa Nowicka postanowiła, że nie będzie go na razie dręczyć. Nie zapalała jednak silnika, czekając na jakąś relację.

–Może ta lekarka to przekupiona jakaś, co? – wydedukował z tylnego siedzenia Guccio.

Michał sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu gumisiów.

–Masz. – Ewa podsunęła mu swoją paczkę. – Co powiedzieli?

–Lekarze zachowują się, jakby ostro przyjarali, a stukniętym jeszcze bardziej odwaliło – wysapał, wydłubując z paczki dwa misie.

–A tak trochę poważniej?

–Nie wiem, czego się złapać. Kiedy przycisnąłem tego ordynatora, opowiedział mi trochę o księdzu. Klecha trafił do nich, bo ubzdurał sobie, że jest nadczłowiekiem i nagle „posiadł wiedzę wszech czasów”. Leczyli go antypsychotycznie, ale – jak widać – swoje urojenia zmaterializował. Jedź, w firmie opowiem ci resztę.

Ewa zapaliła silnik.

–A ci pacjenci? – Nowicka ruszyła i wolno podjechała do bramy.

–Opowiadają, że przed szpitalem odbyła się śmiertelna walka. No, tak jak mówiłaś – ciągnął Kępiński. – Trójka mnichów chciała chyba zabić tę lekarkę, on stanął w jej obronie, trochę porozmawiali sobie, ale chyba się nie dogadali, więc odesłał ich do nieba. Przyszedł czwarty, posprzątał. Jeszcze jedna taka opowieść, a sam się tu zgłoszę na leczenie.

–Odjechali jej wozem – dodała spokojnie Ewa.

–Dałaś to na tapetę?

–Dałam, choć sądzę, że i tak za późno. Zanim chłopcy dostali bibułę, ten ksiądz na pewno schował już samochód. Chyba że to kretyń, ale z tego, co mówił Kulawik, akurat jest cholernie bystry.

Michał niedowierzająco pokręcił głową.

–Bystry wariat, tego jeszcze nam było trzeba – mruknął posepnie.

–Co robimy z tą porwaną?

–Nie jestem pewien, czy ją porwano.

–No mówiłem! – wystrzelił radośnie Guccio. – Dostała pieniądze i zorganizowała cały ten spisek!

–Pacjenci opowiadają, że uciekła z nim z własnej woli – ciągnął Michał. – Mało tego, jeden z nich twierdzi, że słyszał, jak on ją namawiał, żeby została.

–O Matko Boska... – jęknęła Ewa. – Nie ma porwania, nikt nie zgłosił i pewnie nie zgłosi morderstwa. Co my tu robimy?

–Tak czy owak, lekarka zaginęła. Nie mogę opierać się na zeznaniach pacjentów psychiatryka. Poszukamy jej.

–Jak chcesz, to twoja akcja. Co mam robić?

–Daj do lizaków laurkę, zdobądź obrazki i jedziemy popytać sąsiadów. Jak się wychyli, to będziemy go wyjmować.

–A telewizory?

–Nie, na razie nie dawaj do telewizorów. Niech przycichnie. Może ta mała zadzwoni, jeśli sama uciekła. Może tylko boi się tych... mnichów. I trzeba odnaleźć jak najwięcej ludzi znajdujących się wtedy w okolicy. Nie przyfrunęli tu przecież na miotłach. Jakoś musieli przyjechać, może ktoś ich widział.

–Dobra, jedźmy do firmy i rozpiszmy to wszystko.

–Ja mogę zebrać zeznania sąsiadów podejrzanej – zaoferował się Guccio.

–Dasz radę wystukać numer na telefonie? – spytał Michał.

–No, panie komisarzu...

–To zadzwoń do Stepana, żeby zdobył pozwolenie na wejście do mieszkania doktor Aleksandry Sambierskiej.

–Tak jest.

Przez minutę jechali w milczeniu. Michał zamknął oczy, aby odpocząć. Ewa zajęła się jazdą. Po chwili jednak Kępiński, widząc, jak rozradowany Guccio wgapia się beczynn timer w sufit, odwrócił się w jego stronę.

–No i co?!

–Jak to co?

–Miałeś zadzwonić.

–Teraz?

–A kiedy? Jutro?

–No, tak... to dzwonię. Ale... znaczy się... jaki tam jest numer?

\* \* \*

Boże mój, Stwórco wszystkiego, Przyjacielu zbłąkanych... Sen nie minął, a więc muszę dalej iść. Coś podpowiada, że chwile stały się inne, mniej tajemne, a bardziej nieświęte. Nie wolno już być niewinnym. Teraz trzeba bronić, pozbawiać życia i przetrwać. Czy mam rację? Niby ciało takie same, a nieproste i niepojęte. Ten ból głowy... Pojawia się zbyt nagle, chociaż rzadziej. Coraz bardziej ta wyjątkowość układa się i chyba jest już obłaskawiona. Ale oni umarli i tego nie pojmują, a przecież starczyło sił, aby to zrobić. Gdzie jest teraz grzech? Gdzie niebo gwiaździste nade mną, gdzie prawo moralne we mnie? Czy to Ty mówisz do mnie, czy szatan – Światło, największy Urzędnik, Poborca zaległych podatków, Piękny Anioł nieszczęścia i łatwych dróg. Oddałeś mu aż tyle władzy... dlaczego? Nie czuję się winny... dlaczego? Wiedza jest niczym bez zrozumienia rzeczy. Siedzę w ciemnościach i wszystko słyszę. Nie... Jest inaczej. Ja nie widzę, ale we mnie bije wszystko jak potężne oślepiające snopy światła. Jak w ciemnej piwnicy, gdy ktoś z wielką latarką zaskoczy cię i pyta – co tu robisz? Boże mój... co ja tu robię?

–Krzysiek?! – przez uchylone drzwi dobiegł go głos Oli.

–Tak. – Lorent wstał z kolan.

–Nie śpisz jeszcze? Mogę?

–Tak, oczywiście. – Krzysztof wciąż był ubrany.

–Coś się nowego stało?

–Modliłem się – odparł cicho.

Sambierska weszła nieśmiało i rozejrzała się dookoła. Pokój na poddaszu, niemal całkowicie drewniany, miał w sobie znacznie więcej spokoju niż reszta domu.

Możliwe, że zaplanowano go dla gości i tu artystyczne zapędy gospodarzy zwolniły tempo. Był ponadto skromny jak cela mnicha – tylko łóżko, mały stolik i krzesło.

–Mój pokój jest podobny. – Lekarka się uśmiechnęła.

–Wystarczy nam. – Odpowiedział uśmiechem na uśmiech. Spojrzył w jej oczy, jak

zwykle z urzekającym spokojem, łagodnością i zamyśleniem, niepodobnym do niczego, z czym Ola do tej pory miała do czynienia.

–Nie znajdą nas tu? – spytała niepewnie.

–Przez pewien czas – nie. Potem spróbujemy ruszyć dalej.

–Dokąd?! Jak długo będziemy uciekać? Nigdy już nie wrócę do normalnego życia?

–Mnie o to pytasz? – wyszeptał Krzysztof. – Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałbym wrócić do tego, co było dawniej. Patrzę przez okno, rozmawiam z wami, modlę się, a kilka godzin temu zabijałem... ludzi.

Pierwszy raz dostrzegła, jak w jego oczach skromna żarówka zwisająca z sufitu śmieiej zaczęła odbijać światło, w miarę jak stawały się coraz bardziej wilgotne. Zasłonił twarz dłońmi i usiadł na łóżku.

–Broniłeś mnie! – natarła niemal z gniewem, bojąc się nawet chwili jego zwątpienia.

–Przeraża mnie...

–Śmierć?

–Nie. To, że coś wewnątrz mówiło mi, że tak trzeba. Że to jest zaplanowana kolej rzeczy, której muszę się poddać. Nie umiem teraz czuć się winny. I to mnie przeraża.

Ola stała bezradna jak dziecko. Tego nie uczyli na studiach, a nawet w życiu. Ona nie miała Boga ani anioła stróża. Miała tylko jego.

–Krzyś, nie zostawiaj mnie teraz – szepnęła, zaciskając bezradnie dłonie.

Lorent wstał z łóżka, podszedł do niej i mocno przytulił.

–Nie mogę być już księdzem. Ale nie tego akurat się lękam. Wiem, że Bóg tak chce. Jestem tu teraz między innymi po to, aby cię bronić. I wiesz co? Czuję, że chyba mi to będzie dobrze wychodziło, więc – jak mówił kiedyś wielki człowiek – ty też się nie lękaj.



## Rozdział 4

–No i jak profesorze? – spytała uroczyście Anita, śliczna studentka o buzi jak pełna brzoskwinia, jasnoniebieskich, wielkich oczach i dłoniach niczym z obrazów Marguerite Gerard[48].

–Nie zgadzam się z populistycznym poglądem mówiącym, że nie ma głupich pytań. Właśnie zaprezentowałaś przykład – odparł obojętnie profesor Bogdan Wilecki, wybitny historyk kultury, etnograf, antropolog, arogant, buntownik i podrywacz.

–Skoro właśnie przeleciałaś swoją studentkę, chyba nie od rzeczy będzie spytać, jak bardzo ci się to podobało? – nie rezygnowała dziewczyna.

–Nie rozmawiam o antropologii behawioralnej zbliżeń płciowych bez gaci – ofuknął ją oburzony. – A bez podstawy historycznej nie mogę podjąć się dyskusji na ten temat.

Anita podniosła się z łóżka i podeszła do okna.

–W takim razie odmawiam prowadzenia dalszych badań w tym kierunku – rzuciła beztłonie, wyglądając na zewnątrz. – Etap empiryczny – jeśli chodzi o mnie – masz za sobą.

–Zdzira!

–Pedofil!

–Masz dwadzieścia trzy lata!

–A ty dwa razy więcej! Uwiodłeś mnie, bezbożniku!

–Odejdź od okna, ktoś cię zobaczy – prychnął śmiechem Wilecki.

Anita podeszła do łóżka, usiadła okrakiem na profesorze i wplotła palce w jego włosy. Chwilę patrzyła na rozbawiony wyraz twarzy swojej ofiary, po czym mocno wpiła się w jego usta, całując mocno, odważnie i brutalnie.

–Niszczysz moje narzędzie pracy – obruszył się, dotykając palcami lekko skaleczonej wargi. Na opuszku pojawiła się plamka krwi.

–To odpowiedz, czy ci się podobało! – Dziewczyna zmrużyła uwodzicielsko oczy.

–Jasne, do cholery! Mało nie połamałaś mi żeber, a łóżko mogę oddać na złom! Jego „oburzenie” zbiegło się z nagłym i głośnym pukaniem do drzwi.

Iosif Punin mocno zacisnął schowane za plecami pięści. Spuścił wzrok i uspokoił oddech. Przypomniał sobie nagle błogo ludyczne lekcje medytacji, które perwersyjnie kochał, znajdując w nich potęgę i siłę nieporównywalną z żadną cielesną rozkoszą. Rozluźnił wreszcie ciało, i przywołał na twarz pogodę, choć chłodu z oczu nie wydłubałby mu nawet sam diabeł. Zdobył się na odwagę i spojrzał na starca. Aureil wolno spacerował po komnacie, czytając dostarczone mu dokumenty. Punin, jak zwykle w takich momentach, wykorzystywał każdą sekundę na studiowanie jego zachowania, wyrazu twarzy, niedoścignionego opanowania. Potem godzinami w swoim pokoju ćwiczył kolejne zaobserwowane gesty, spojrzenia, pozornie tylko nieważne ruchy.

Iosif nigdy nie czuł się porzuconym sierotą. Opowieści o tym, że znaleziono go na śmietniku zapłatanego we własną pępowinę, traktował ze wzruszeniem ramion. Był silny, przeżył. Lekarz, który nadał mu imię i nazwisko zmarłego tego samego dnia

bezdomnego, oddał go swojemu potężnemu przyjacielowi z dalekiej Francji. Jednak długa podróż do Chatillon trwała aż pięć lat. Mądry starzec pozwolił, by chłopiec otworzył oczy na świat w Giocorno na południu Włoch, w zakonie u surowej siostry Peracci. Tam, co prawda, odnalazł w sobie sens pokory i cierpienia, lecz przede wszystkim – z czego zdał sobie sprawę wiele lat później – bunt przeciwko jednemu i drugiemu. Podświadomie nauczył się ważyć opłacalność kary lub nagrody oraz wykształcił w ciele i umyśle stałą gotowość na każdą z nich. Gdy miał prawie sześć lat, przybył do zamku. Przywitał i przytulił go po raz pierwszy w jego krótkim życiu zagadkowy człowiek – mądry i potężny ojciec Aureil. Dziwne to było uczucie. Duszna szata starca nie pozwoliła chłopcu przez dłuższy czas oddychać, nie wiedział, co zrobić z rękami, jednak starał się z całych sił pokonać strach. Ojciec robił to później wiele razy – głaskał po głowie, chwalił, po męsku przytulał, czasem całował w czubek głowy. Okazało się, że to nie jest groźne i nie trzeba się bać. Aureil uśmiechał się, jednak siostra Peracci też kilka razy się uśmiechnęła. Raz nawet na Boże Narodzenie dostał prezent – piękną Biblię. Już trochę zniszczoną, bo odziedziczył ją po zmarłej siostrze Pinni, ale czuł radość. Szybko nauczył się rozpoznawać szczęście. Było tyle przyjemnych chwil – mycie w ciepłej wodzie, spacer po łąkach dookoła klasztoru, wspaniały ryż rozpyływający się w ustach, zabawa raz w tygodniu na skakance. Prawdy o zasadach cnotliwego życia siostra Peracci nie ukrywała przed Iosifem nigdy, lecz chłopiec, dopiero będąc nastolatkiem, docenił jej wysiłek. Potrzeba wyrzeczeń, cierpienia, pokuty i powagi dawała prawdziwą siłę, a siła, potęga ciała i umysłu – to był cel, do którego młodzik dał się przekonać niemal natychmiast. Tego jednak uczyć umiał prawdziwie tylko ojciec Aureil. Iosif trenował więc ciało i uczył się pilnie z ksiąg mistrza, posłusznie wymagając od siebie największego możliwego poświęcenia. To było szczęście. Gdy skończył szesnaście lat, Jean Paul, złośliwy, starszy brat, opowiedział mu jego historię, by na koniec spytać: „Co byś zrobił swoim naturalnym rodzicom, gdybyś ich teraz spotkał?”. Iosif nic nie czuł i nie miał pojęcia, jak zareagować. Nie wiedział przecież, kim są ci tak zwani naturalni rodzice, a ojca miał jedyne i prawdziwego. Nic więc nie odpowiedział złośliwemu bratu, zbywając go jak zwykle wzruszeniem ramion. W swojej celi myślał jednak o tym długo i zrozumiał, że te obce osoby, które zostawiły go w tak niegodnym miejscu, zachowały się tchórzliwie i próbowały go poniżyć. Z dumą odkrył, że mistrz zdążył już go nauczyć wspaniałomyślności oraz wielkoduszności. Gdyby teraz spotkał ich, nie pozwoliłby cierpieć, zabiłby ich szybko, bez zadawania bólu.

–Rozumiem cię, Iosifie – powiedział łagodnie Aureil. – Jestem pod wrażeniem twojej odwagi, wytrwałości i chęci działania.

–Błagam cię, ojcze. – Punin padł na kolana. – Pozwól mi jechać! Zrobię wszystko, co rozkażesz, podporządkuję się każdemu poleceniu, nigdy już ci się nie przeciwstawię! – Spuścił głowę, prosząc Boga o pomoc.

Starzec nie śpieszył się z odpowiedzią. Patrzył uważnie na potężnego rycerza błagającego go na kolanach o niemal pewną śmierć.

–Nie mogę pozwolić ci umrzeć, mój synu – odparł wreszcie, odkładając raport na wielki stół.

**–Nie zgineę, ojcze! Przygotowywałem się na to całe życie. – Iosif nie wstawał z kolan.**

**Aureil pokiwał głową, zrozumiawszy, że tym razem żadna argumentacja nie da rezultatu.**

**–Obiecuję ci, chłopcze, że nie zostaniesz pominięty Twój czas przyjdzie, i to niedługo. Nasi ludzie szukali go na całym świecie, teraz pozostała już tylko kwestia roztropnej polityki.**

**–Wiem, że zabrał ze sobą miecz Maruttiego – przyznał ryzykownie Punin.**

**–Wiem, że wiesz – odrzekł spokojnie starzec. – Kazałem przekazać ci tę wiadomość.**

**Iosif spojrział na niego zdumiony.**

**–Chciałem wiedzieć, na ile jesteś gotowy – przyznał mistrz. – Widzę, że nasze nauki nie poszły na marne.**

**–Dziękuję, ojcze! – Punin podbiegł do Aureila, ukląkł i pocałował jego szatę.**

**Starzec dobrotliwie poklepał go po głowie.**

**–Pamiętaj, co przyrzekałeś. Twoje emocje nie mogą wydostać się poza kontrolę umysłu.**

**–Tak, mistrzu.**

**–Bez najmniejszego sprzeciwu wykonasz każdy rozkaz, który ode mnie nadejdzie.**

**–Tak, mistrzu.**

**–Swoje umiejętności poświęcisz dla dobra sprawy, nigdy dla własnej tylko chwały.**

**–Tak, mistrzu.**

**–Wstań. – Aureil podszedł do biurka i usiadł w ogromnym fotelu. – Na razie nie zlokalizowano jeszcze sygnału. Wiemy jedynie, że miecz zabrał ze sobą. Dopóki będzie go miał, nie zdoła się ukryć. Wyruszysz, jak tylko dostaniemy wiadomość o sygnale. Pomogą ci nasi bracia w Polsce. Mimo że pochodzisz ze wschodu, nie znasz tamtych języków. Może trochę się przydać twój niemiecki. Po włosku i francusku nikt tam nie mówi. A teraz zadanie.**

**Punin znowu zacisnął pięści za plecami, tym razem ze szczęścia.**

**–Po pierwsze – ciągnął mistrz – nie wolno nawiązywać z nim bezpośredniego kontaktu. Twoim obowiązkiem jest wnikliwa obserwacja i osąd, kto mu pomaga, od kogo jest uzależniony, jakie ma możliwości. To podstawa do późniejszej próby sprowadzenia go do nas. Unikaj przemocy i walki z kimkolwiek. Na razie musisz być niewidzialny.**

**–Tak, ojcze.**

**–Czekaj na dalsze rozkazy.**

**–Tak, ojcze.**

**–Wyjedziesz, jak tylko nadejdzie sygnał. Przygotuj się.**

**–Dziękuję, ojcze. – Podszedł do wielkiego biurka mistrza i ucałował jego pierścień.**

**Gdy wyszedł z komnaty, jego ręce wciąż drżały. To jest prawdziwe szczęście. Iosif potrafił je rozpoznać. To jest prawdziwe szczęście.**

**Bogdan Wilecki otworzył drzwi i oniemiał. Stał przed nim jakiś niedomyty punk – chudy, potargany i zakolczykowany na amen.**

–Kim pan jest, młody człowieku? – spytał dość protekcjonalnie.

–Czy pan Wilecki?

–Tak, czym mogę służyć? Jest pan moim studentem? Ciężko pana nie zauważyć w tłumie, raczej bym zapamiętał.

–Nie, nie jestem studentem. Mam do pana bardzo ważną sprawę.

Profesor przez tych kilka sekund rozmowy doszedł do wniosku, że punk jednak nie był niedomyty, a włosy na głowie miał wyjątkowo starannie ułożone, choć gust jakim się posłużono, nie odzwierciedlał jego poczucia piękna. Nie znaczyło to oczywiście, że zamierzał poświęcić gościowi czas, szczególnie że w jego łóżku wciąż tkwiła bezwstydnie Anita.

–Jeśli ma pan jakąś sprawę, proszę przyjść na mój dyżur na uczelni, tutaj jest moje prywatne mieszkanie. Kto panu dał ten adres?

–Ksiądz Krzysztof Lorent.

–Nie znam takiego duchownego.

–Chodził kiedyś na pana zajęcia – upierał się punk.

–Być może, nie pamiętam wszystkich studentów. Nie mam także pojęcia, skąd ksiądz Lorent mógłby mieć mój adres.

–Proszę mnie wysłuchać – nalegał niespodziewany gość.

–Jak pan się nazywa?

–Bzdet.

–Słucham?

–Używam pseudonimu. Moje tak zwane imię i nazwisko odrzuciłem jako wyraz sprzeciwu wobec przyporządkowania do nienaturalnego, sztucznego i katastrofalnie zindustrializowanego tworu, jakie wytworzyła współczesna populacja tego narodu – wyjaśnił niedbale Bzdet. – Ale nie o tym chciałem z panem porozmawiać...

–Co za ulga. – Wilecki zerknął za siebie, czy przypadkiem jego niesforny gość nie wygramolił się z sypialni. – Jak jednak wspomniałem, panie Bzdet, to jest moje prywatne mieszkanie. Nawet gdyby przysłał tu pana Gotfryd z Bouillon[\[49\]](#), [też odesłałbym pana na dyżur.](#)

–A Aureliusz Marcellin?

Profesor zamilkł, jakby ktoś go nagle zaczarował.

–Skąd pan zna to nazwisko? – spytał, gdy już go odetkało.

–Od księdza Krzysztofa Lorenta.

Wilecki zmarszczył brwi. Był zaskoczony i właściwie nie wiedział, jak zareagować.

–Niech pan mówi – mruknął niechętnie.

–Tutaj? – Bzdet rozejrzał się po klatce schodowej.

–Tak, tutaj – odburknął rozdrażniony profesor.

–Jak pan chce. – Punk wzruszył ramionami i sięgnął po zawinięty w grubą szmatę miecz, który uprzednio położył pod ścianą, aby nie przestraszyć naukowca.

Gdy chłopak pokazał Wileckiemu broń, ten złapał go szybko za ramię, wciągnął do mieszkania i zatrzasnął drzwi.

–Rany boskie! Skąd pan to ma?! – wycedził jak rażony prądem.

–Już mówiłem, od księdza...

–No dobrze, już dobrze – profesor przerwał mu po raz kolejny i przez kilka sekund się namyślał. – Niech pan chwilę zaczeka w tamtym pokoju. – Wskazał palcem pracownię. – Jest u mnie... siostrzenica, muszę się z nią pożegnać, zaraz przyjdę.

Profesor zniknął za drzwiami sypialni, a Bzdet rażno wkroczył do gabinetu naukowca. Podparł się mieczem jak laską i krytycznie zlustrował całe pomieszczenie.

Pustota i próżność jajogłowych nie zna granic. Ściany niemal całkowicie wypełniały zdjęcia, na których widniał zawsze gospodarz i ktoś, kim mógł się w kontekście tła, na którym stali, pochwalić. Jakiś dziki Murzyn, facet z brodą po kolana, kobieta o szyi jak żyrafa, zasłoniętej mnóstwem tajemniczych obręczy, chasyd oraz Ściana Płaczu i modłów w Jerozolimie (jak on dał się tam sfotografować?!).

Kilka stojaków dźwigało muzealne topory, miecze, narzędzia cesarzy, a nawet tortur. Biurko ze stylową maszyną do pisania stało na środku, na nim stos przepisowo starych ksiąg, brakowało jeszcze tylko klatki z ptakiem-feniksem na patyku z *Harry'ego Pottera*. Bzdet nie był specjalnie zainteresowany życiem prywatnym profesora, więc nie zwrócił uwagi na podniesione głosy świadczące niezbicie o jakimś nieporozumieniu z „siostrzenicą”. Przyciągnął jednak jego uwagę... regał z książkami. Kilkanaście tomów o wyprawach krzyżowych, Bizancjum, starożytnym Rzymie, Karolu Wielkim i niemal trzy półki wyraźnie poświęcone historii chrześcijaństwa. Kilka w oryginale.

–*Prieure de Sion* – przeczytał na głos jeden z tytułów. – Coś mi to mówi. – Uśmiechnął się, widząc Wileckiego wkraczającego do gabinetu. – Ksiądz Krzysztof twierdził, że jest pan najlepszym specjalistą.

–Po książce tego Amerykanina z Exeter każdy jest specjalistą z tej tematyki.

–Mówię serio. – Punk spoważniał.

Profesor podszedł wolno do biurka.

–Może rzeczywiście jest pan trochę bystrzejszy, niż by wynikało z wyglądu.

–Potraktuję to jako komplement.

–Mogę obejrzeć miecz?

–Widzę, że jednak pana zainteresowałem.

–Tak czy owak, zapobiegnę w ten sposób zniszczeniu mojej podłogi. To merban, drogi kolego. Bardzo kosztowny.

Bzdet podał broń profesorowi. Ten delikatnie położył ją na biurku, otworzył kluczykiem jedną z szuflad i wyjął notatnik oprawiony w starą skórę. Przekartkował, aż wreszcie trafił na rysunek, którego szukał.

–Niewiarygodne... – jęknął sam do siebie.

–Słucham? – spytał badawczo gość.

–Na osiemdziesiąt procent to oryginał – mówił gospodarz, rozmawiając chyba sam ze sobą, bo na punka w ogóle przestał zwracać uwagę. – Wszystkie szczegóły się zgadzają, rzeźbienia, inskrypcje, kształty i rozmiary. Japoński metal. – Okiem krótkowidza przyjrzał się dokładnie mieczowi. – Z pewnością nie zrobiono go teraz, może mieć ze... dwieście lat. Na Boga, skąd on to ma?! – Teraz dopiero zwrócił się do gościa.

–Od pewnego niemilego pana w zielonym habicie.

Wilecki uniósł brwi i cofnął się o krok.

–To... to niemożliwe – wyszeptał. – Ostatnie dowody na istnienie aurelitów pochodzą sprzed... stu pięćdziesięciu lat, a i to raczej poszlaki. To musi być jakaś mistyfikacja. Tylko po co?!

–Biorąc pod uwagę wiek tego miecza i wiedzę księdza, za którą ręczę, to chyba ostro zajebista mistyfikacja. – Bzdet miał już dość oficjalnej gadki. Czuł się, jakby połknął kij. – Mój przyjaciel chce się z panem spotkać. Zgadza się pan?

–Oczywiście, ale... dlaczego sam nie przyszedł?

–Szukają go.

–Aurelici?!

–Tak. Musi być ostrożny.

Profesor pokręcił niedowierzająco głową.

–Ciężko mi w to... – przerwał na moment. – To jakiś żart?

–Nie. Nie żart, profesorku. Może pan pomóc człowiekowi, którego ściga średniowieczna banda świrów. To mało śmieszne.

–To nie jest banda świrów – zaprzeczył ponuro Wilecki. – Ale jedno z najstarszych, o ile nie najstarsze tajne stowarzyszenie. Jeżeli legendy nie kłamią, skupia absolutnie oddanych, wyćwiczonych do granic możliwości w walce, fanatycznych mnichów oraz setki ich informatorów na całym świecie.

–Skoro jest ich tak wielu, niemożliwe, aby to wszystko nie wydostało się na światło dzienne.

–Możliwe. O całej prawdzie wie garstka wtajemniczonych. Reszta stanowi tylko system. Gdyby ktoś zdołał się wyłamać, kara byłaby straszna.

–A jaka? – spytał zaciekawiony Bzdet.

Naukowiec machnął ręką.

–To tylko legendy. Nikt nigdy ich nie widział, nie ma żadnych dowodów.

–Widział ich mój przyjaciel. Walczył z nimi i... spuścił im niezły łomot.

–Co?! – Wilecki roześmiał się głośno. – Jeśli te legendy mówią prawdę, to tak, jakby rzucił się z widelcem na słońca. Chcesz mi, kolego, wmówić, że katolicki ksiądz był w stanie przeciwstawić się rycerzom aurelickim? To jeszcze bardziej idiotyczne niż twoja fryzura.

–A niby skąd miałby ten scyzoryk?! – wkurzył się Bzdet. – Dali mu w ramach polsko-włoskiej wymiany kulturalnej?!

–Włoskiej?

–Mówili po włosku.

–Nie po francusku?

–Nie. I nie po łacinie ani po węgiersku. Mówili po włosku i chcieli mu zrobić niezłe kuku. A teraz pytanie, profesorku, takie moje prywatne: czego oni, kurwa, chcą poza porwaniem mojego najlepszego kumpla?!

–Czego chcą? – Wilecki znowu się roześmiał. – Otóż mój subtelny, nowy przyjacielu, według legend i skromnej wiedzy, którą udało się zgromadzić badaczom, oni czekają na kolejną, tak zwaną... Noc Kapłanów.

–A co to takiego jest?

Profesor przebiegł dłonią delikatnie po ostrzu miecza.

–Niech pan mnie umówi z tym księdzem. Gdzie i kiedy chce. Może pan to zostawić u mnie?

–Tak kazał Krzysztof.

–Proszę mu podziękować. Od razu mówię, że nie mam takiej wiedzy jak profesor Link, ale z pewnością jestem w stanie pomóc.

–A kim jest ten Link?

–Profesor Eberhard Link, Szwajcar, największy autorytet w dziedzinie, o której mówimy.

–Żyje?

–Tego nikt nie wie. Ukrywa się od wielu lat. Zdaniem kolegów z uniwersytetu w Lozannie, zwariował. Jemu też się wydaje, że próbują go zabić aurelici. Nie wiem, gdzie jest, i nie sędzę, aby ktokolwiek wiedział.

–Mówił pan o jakichś kapłanach. Co to za kapłani? Z jakiego klasztoru?

–Z żadnego. To wolne tłumaczenie z łaciny – Kapłani Ścieżki Wiedzy. Ludzie, którzy przez dar od Boga posiadli Wiedzę Pokoleń. Tak mówi legenda.

–A jeśli mój przyjaciel to właśnie jeden z takich Kapłanów?

–Wtedy ja jestem królem Anglii, Jerzym numer trzy. Chociaż... właściwie nie mam nic przeciwko temu.

\* \* \*

Pytel przeciągnął się, ziewnął i mlasnął oblesnie. Siedzący na zdezelowanym, skrzypiącym krześle Cichy, skrzywił się z niesmakiem. Pytel tymczasem pieszczotliwie pogładził zakurzoną kanapę, na której uwalił się przed chwilą. Był zadowolony.

–Czegoś taki smutny jak jemioł? – rzucił do kolegi wesoło. – Kasa nadjeżdża. „Pej-dej”, jak mówią w Kanadzie!

–Dlaczego akurat tu się spotykamy?

–Nie chcę, żeby ktoś nas zobaczył z nimi, mówiłem ci. Poza tym ładnie tu jest, lasek, niedaleko rzeczka.

–Brudno. To nie jest miejsce do przyjmowania gości.

Pytel z niesmakiem pokręcił głową.

–To jest moja dacza, człowieku, zbudowałem ją za ciężką krwawicę psa, teraz pora na lepszą.

Cichy zaczął bębnić jakiś rytm na ceracie stolika, który stał między nimi.

–Nie wiem, czy mi się to podoba – mruknął pod nosem. – To jakiś lewy interes.

Pytel rozzłoszczony łupnął pięścią w kanapę, aż kurz wleciał mu do gardła.

–Nie lewy interes, tylko po prostu interes! Co cię napadło?

–Nie znam tych ludzi, nie wiem, kim są...

–Tym lepiej.

–Może to jakaś podpucha...

–Pracuję z nimi od kilku miesięcy.

–To znaczy, co robisz?

–Proszę o różne informacje, nic groźnego.

–Nic groźnego?! My jesteśmy policjantami, a ty za kasę donosisz ludziom z zagranicy!

Pytel zmarszczył brwi. Zaczęła irytować go ta gadka.

–Jak brałeś od zbójów z Mokotowa, to było dobrze! – warknął gniewnie. – A teraz jęczysz, choć kasa jest pięć razy lepsza.

–Ale to byli nasi zbójce, z Polski, rozumiesz? A ty spuszczasz nas na jakąś włoską mafię czy chuj wie co!

–To nie żadna mafia, tylko zwykli biznesmeni. Mówiłem ci, że pracuję z nimi ponad pół roku. Marudziłeś, że potrzebujesz sałaty? Marudziłeś. No to wyświadczam ci przysługę. Zobaczysz, jak będzie, zobaczysz, jak to robię i jeśli ci się nie spodoba, wymiksujesz się z interesu.

–Wybacz, Pytel, ale już mi się nie podoba. To twój interes. Przepraszam, że zawracałem ci głowę, spadam.

Cichy wstał, ale gdy zerknął w stronę wyjścia, wrósł zaskoczony w ziemię, jakby zobaczył ducha. W drzwiach pojawił się wysoki blondyn w eleganckim, ciemnozielonym garniturze. Towarzyszył mu śniady, potężnie zbudowany olbrzym, ubrany w identyczny garnitur, choć chyba o co najmniej pięć numerów większy.

–Pan Pytlicki? – spytał wielkolud.

–To ja – zgłosił się jak na lekcji gospodarz.

–Pan Roman Pytlicki?

–Tak.

–Czy jest pan gotowy na rozmowę z nami?

–Jasne, mam wszystko, co trzeba. To jest mój kolega, zawsze współpracujemy. Pomagał mi trochę.

Blondyn spojrzał krytycznie na niespodziewanego współpracownika, ale nie zareagował. Wykonał niemal niezauważalny gest w stronę wejścia i drzwi się zamknęły. Następnie powiedział coś po francusku do wielkoluda i podszedł do policjantów, choć nie zdecydował się ubrudzić garnituru o żaden z mebli. Stał w odległości może dwóch metrów od Cichego, który nadal trwał osłupiały, ale przyglądał się z zaciekawieniem.

–Iosif... – szepnął mu do ucha olbrzym, jednak tak cicho, aby nikt poza nim nie usłyszał. – Jaka decyzja?

–Porozmawiamy z oboma – odparł Punin znów po francusku. – Emil...

–Tak?

–Nie, nic. Sam się tym później zajmę – odparł po sekundzie namysłu Iosif. – Tłumacz.

–Mój przyjaciel nie zna polskiego – zaczął wielkolud. – Będę wszystko tłumaczył.

–Jesteście cisi i szybcy, trzeba przyznać. – Pytel się uśmiechnął. – Nawet nie zaskrzyphiały te drzwi, kurwa, jebane. Miałem je i tak wymienić.

–Proszę mówić na temat, nie mamy zbyt wiele czasu – poinstruował Emil uprzejmie, choć zdecydowanie.

Cichy ku uldze kolegi zdecydował się z powrotem usiąść na krześle.



–Może też usiądziecie? – spytał Pytel, ale jakoś nie zdecydował się na podanie ręki.

–Dziękujemy – odparł chłodno olbrzym.

–No, więc... – zaczął po chwili policjant. – Sprawę prowadzi niejaki Michał Kępiński, komisarz. Nie znam go. Z tego, co wiem, nic nie mają.

Emil tłumaczył niemal symultanicznie.

–Ma pan jego zdjęcie i adres? – spytał Punin.

–Ja nie jestem studio fotograficzne, eleganciku, a adres się znajdzie. – Pytel nie znosił w stosunku do siebie wyniosłości, postanowił więc, że szybko trzeba ustawić tych gogusiów do pionu.

–A wie pan o nim cokolwiek? – ciągnął, nie zmieniając tonu Iosif, kompletnie ignorując arogancję policjanta.

–Pracuje w „ósemce” na Puławskiej. Zwykle z Ewą jakąśtam, nie pamiętam jej nazwiska, i jednym kretynem prosto po szkole. Miałem za mało czasu. Parę dni i mogę wiedzieć więcej. Najważniejsze, że nic nie mają o porwaniu tej lekarki. O to przecież wam chodziło, nie?

–Co pan wie o zeznaniach świadków?

–Jakich świadków? – Pytel rozwalił się na kanapie. – To dom wariatów, gadali jakieś głupoty.

–A lekarze?

–Nic nie wiedzą. Mówili mi to zaufani ludzie.

Punin westchnął boleśnie i zmrużył oczy.

–Niewiele warte są te pańskie informacje – podsumował Iosif.

Tuż po tym, jak Emil przetłumaczył, Pytel wstał z kanapy.

–Słuchaj no, gogusiu – warknął groźnie. – Nie jesteś we Francji, tylko w Polsce, a tu ja jestem policjantem, a ty obcokrajowcem. – Odślonił nieco połę kurtki, aby gość mógł zobaczyć broń. – Chciałeś wiedzieć, kto prowadzi śledztwo, czy coś wie, i dostałeś odpowiedź. Teraz forsa albo inaczej pogadamy!

–Proszę się nie denerwować – Punin nawet o ton nie podniósł głosu. – Nie chciałem pana urazić. Czy jest jeszcze coś, co pan wie, a może nam się przydać.

–Skąd mam wiedzieć, co wam się może przydać?! – prychnął Pytel. – Zadzwońcie do mnie za kilka dni, może coś będę wiedział więcej. Ale to wszystko kosztuje, rozumiemy się?

–Oczywiście. Czy to wszystko, co dzisiaj pan wie?

–Nie wiem, gdzie jest moja forsa!

Punin szepnął coś do Emila, czego tamten nie przetłumaczył i niespodziewanie podszedł do stojącego niecałe dwa metry od niego policjanta, chwycił błyskawicznie go za szyję, drugą ręką wprawnie złapał za czoło i zanim ktokolwiek zdążył zorientować się, co się dzieje, skręcił mu kark. Ciało nie zdążyło gruchnąć o podłogę, kiedy Cichy zerwał się z krzesła, usiłując uciec. Punin wydobył spod marynarki długi sztylet i celnie cisnął nim w szyję policjanta.

–Uważaj na krew – rzucił spokojnie do Emila.

Olbrzym zdążył złapać duszącego się Cichego, zanim tamten upadł.

–Zajmij się ciałami – rozkazał lapidarnie Iosif, wyjął telefon, wystukał numer i szybko wyszedł na zewnątrz.

Przy czarnej lancii z zaciemnianymi szybami stał pięćdziesięcioletni mężczyzna. Był tak samo ubrany jak pozostali, łącznie z kierowcą, ale jego dumny wzrok skierowany był gdzieś na czubki okolicznych drzew. Nie spojrzał nawet na Punina, który krótko rozmawiał przez telefon, a gdy skończył – w zimnych oczach aurelity zagościł gniew i złość.

–Tomaszu! – rzucił do mężczyzny Iosif.

–Mieliśmy nie zostawiać po sobie śladów – odparł tamten niedbale, powoli kierując na niego wzrok. – Takie było polecenie mistrza Aureila.

–Nie zostawiamy – rzekł zdecydowanie Punin. – O to nie musisz się martwić. Ale mam też złe wiadomości.

–Na razie nie słyszałem dobrych – chłodno skomentował Tomasz. Iosif wolno wypuścił powietrze z płuc.

–Ty siedzisz tu, w Polsce, rzadko odpowiadasz przed ojcem. Ja to robię na co dzień. Więc pozwól, że wezmę wszystko na siebie. Od ciebie oczekuję tylko rad dotyczących tego kraju.

–Chcesz rady? Nikt tu nie lubi, jak cudzoziemcy mordują policjantów, nawet skorumpowanych.

–To źródło było nie tylko zbędne, ale przede wszystkim ryzykowne i szkodliwe. Ojciec z pewnością zgodziłby się ze mną. Jeszcze jakieś rady?

–A te złe wiadomości?

–Kapłan oddał miecz jakiemuś profesorowi. – Iosif zacisnął pięści w bezsilnej złości.

–Podaj wszystkie dane, natychmiast weźmiemy go pod obserwację.

–Co za świętokradztwo... – mruczał pod nosem Punin, nie przestając myśleć o tym, co powiedziano mu przez telefon.

Michał zapukał do drzwi doktor Aleksandry Sambierskiej.

–I co myślisz? – spytała zniecierpliwiona Ewa Nowicka. – Że jej chomik ci otworzy?

–Taki przepis, najpierw trzeba zapukać – odparł Kępiński.

–Jasne. Właściwie bardzo przepisowo to załatwiamy. Ale nie uważasz, że może trochę ważniejsze byłoby zezwolenie niż pukanie do pustego mieszkania?

–Gucio załatwia.

–Wiesz, jaki jest powolny i biurokratyczny. Gdyby wypadł z okna, doleciałby do ziemi po dwóch dniach!

–Ale w końcu załatwi. Jeśli to porwanie, nie mamy czasu na zabawę – upierał się komisarz.

Wyjął niezbędnik i zaczął otwierać zamek.

–Nie mogę uwierzyć... – jęknęła Ewa.

–Nie biadol.

Drzwi dość szybko ustąpiły ku zdziwieniu nawet Michała.

–Jezu, można te zamki otworzyć agrafką! Ja mam lepsze nawet w piwnicy.

–Miły blok, czysto, na dole strażnik. – Nowicka wzruszyła ramionami.

–Który spał, kiedy go mijaliśmy – dokończył Kępiński.

Oboje jeszcze raz uważnie się rozejrzeli i weszli do środka. Mieszkanie nie wyglądało na klasyczne lokum samotnej kobiety. Brakowało obrazków, bibelotów, babskich robótek na drutach i miliona szafeczek z szufladeczkami. Surowe wnętrze zawstydzalo praktycyzmem i logiką. Na pierwszy rzut oka trudno było znaleźć tu coś niepotrzebnego, niewspółgrającego z całością. Doktor Sambierska okazała się właścicielką dwóch pokoi, z których pierwszy, mniejszy, stanowił pracownię (biurko, fotel, biblioteczka, i tyle), natomiast w większym znajdowało się łóżko, regał z telewizorem oraz niewielka szafa bieliźniana. W zabudowanym przedpokoju stało kilka par butów, wisiały dwa płaszcze, dwie kurtki w tym jedna... skórzana.

Jedyne, co nadawało się do przeszukania, to oczywiście biurko w pracowni i regał w większym pokoju. Szybko zabrali się do pracy, nie mając zresztą kłopotów z dotarciem do wszystkiego, co tylko mogło się przydać. Żadnych zamków, żadnych tajemnic, żadnego rozsądku zabezpieczającego przed nieuczciwością. Mniej więcej po półgodzinie mieli już właściwie jasność, że oprócz drobiazgów i ogólnego charakteru znaleźsk obnażających zwyczaje i gust właścicielki, w sprawie może się przydać tylko gruby zeszyt, w którym pani doktor prowadziła – jak się okazało – dość dokładne notatki. Sporo miejsca poświęciła Krzysztofowi Lorentowi, co stanowiło dla policjantów dowód na to, że lekarka w czasie krótkiej znajomości z księdzem niemal natychmiast dała się omotać jego urokowi. Tak przynajmniej im się wydawało.

–Zakochała się w nim, czy co? – Michał się skrzywił. – Zboczona jakaś?

–Jak widać, umiał robić wrażenie.

–Przecież to pacjent!

–Ty! – Ewa spojrzała na kolegę z politowaniem. – Ile ty masz lat?

–Zabieramy te notatki. Tak czy owak, mamy tu faceta jak na dłoni. Ksiądz nie ksiądz, trzeba go traktować jak innych.

Ewa przybrała na chwilę refleksyjną pozę i zdecydowała się na głęboką myśl.

–Nie widzę tu przyciągania erotycznego. Była po prostu pod wpływem oryginalności i atrakcyjnej umysłowości podejrzanego.

–Taaa – zadumał się z kolei Michał. – Koniecznie to zapiszmy, bo zapomnimy.

Dostał za to zeszytem po głowie, ale stwierdził w duchu, że warto było. Dzień bez prztyczka dla Ewy był dniem straconym.

## Rozdział 5

–Zatrzymaj tam. – Krzysztof pokazał palcem pobocze. Cipucha wykonała polecenie i zaparkowała samochód.

–Wysiądę i dalej pójdę na piechotę. Nie stój w jednym miejscu dłużej niż to niezbędne – ciągnął. – Pokręć się dookoła, przejedź się, ale nie zatrzymuj nigdzie wozu na dłużej. Dam ci komórką sygnał, kiedy będę wracał. Jeśli nie pojawię się za dwadzieścia minut, jedź do domu i nie czekaj.

–Jaja se robisz? – Cipucha uniosła brwi ze zdziwienia.

–Nie. Mówię najzupełniej poważnie.

–Myślisz, że cię tu zostawię?

–Po prostu zrób, o co proszę. Jeśli nie wrócę, być może będę tak zajęty, że... Nie martw się, nie dam sobie zrobić krzywdy.

Cipucha głęboko westchnęła.

–Wiesz, zwykle nie obrażam się, kiedy ktoś mówi do mnie jak do idiotki, ale teraz chyba przegiąłeś.

Lorent pokręcił z bezradności głową.

–Albo zrobisz to, o co proszę, albo wracamy i nigdzie nie idę.

–OK, OK! – Dziewczyna podniosła do góry ręce, jakby się poddawała. – Jak chcesz. Ty tu jesteś ten mądry.

–Będziesz jeździła tak, jak prosiłem?

–Tak – odparła pewnym głosem.

–Wrócisz do domu, kiedy minie dwadzieścia minut?

–Tak – skłamała gładko.

Krzysztof przez chwilę zatrzymał na niej wzrok, usiłując w ten sposób wyrzucić dodatkową presję, i wysiadł z samochodu.

Iosif Punin zerknął na Tomasza. Elegancki pięćdziesięciolatek, bez śladu siwizny na wypielęgnowanych, gęstych włosach, imponujący męską posturą i zadbanym zarostem, mruknął coś do swojego zegarka. Minęli halę targową przy placu Defilad i zatrzymali się na chwilę. Bezchmurne niebo sprowadziło nad miasto upał i senną atmosferę.

–Nie idzie dalej, usiadł na ławce. Emil ma go na oku. – rzucił krótko Tomasz do Punina.

–Ma miecz?

–Raczej nie. Jest ubrany w lekką marynarkę, nie ma płaszcza. – Mężczyzna poprawił słuchawkę w uchu. – Możliwe, że na kogoś czeka.

–To dobrze – powiedział cicho Iosif.

–A jeśli zjawi się Kapłan? Co wtedy zrobimy?

Punin nie odpowiedział i odwrócił się w stronę Pałacu Kultury.

–Kto wybudował to ogromne straszdyło? – spytał z niesmakiem.

–Rosjanie.

–Po co?

–To był prezent dla narodu polskiego. Tyle tylko że za nasze pieniądze.

Iosif zwrócił się w stronę swojego towarzysza i zmarszczył brwi.

–To żart – wyjaśnił Tomasz. – Choć dość głęboko osadzony w faktach.

–Co za kretyński kraj. – Punin wzruszył ramionami. – Odkąd tu jestem, widzę same idiotyzmy. Jak tutaj mógł się urodzić Kapłan?!

–Nie oceniaj tego, czego nie znasz – mruknął uprzejmie, ale zdecydowanie Tomasz. – To kraj Kopernika, Chopina i Marii Curie. Kraj, który w 1939 roku dwa razy dłużej się bronił przed hitlerowcami niż Francja, przetrwał komunizm i powojenną okupację Sowiec. Przez całą historię ściśnięty między Niemcami a Rosją potrafił zachować tożsamość i wolność. Istnieje ponad tysiąc lat, będąc w czasach, kiedy w Ameryce rządzili Indianie, jednym z najsilniejszych mocarstw w Europie. Więc... trochę więcej szacunku, rycerzu.

Iosif pokiwał z uznaniem głową.

–Imponuje mi twoja miłość do własnej ojczyzny. Wybacz, bracie, że wypowiedziałem się w taki sposób. Sprawy nie idą tak jak powinny i stąd moje rozdrażnienie.

–Kapłan... – Tomasz odetchnął głęboko i zaczął przyglądać się przechodzącym ludziom.

–Nie wstydzę się lęku przed nim – podjął niespodziewanie Punin. – Do tej pory wydawało mi się, że nie boję się niczego, a respekt budzi we mnie tylko ojciec. Aż do teraz. Z tego punktu widzenia czuję się szczęśliwy, Tomaszu.

Mężczyzna przytaknął głową. Usłyszał cichutki sygnał w zegarku i szeptem wymienił z Emilem kilka zdań.

–Cały czas na kogoś czeka. Patrzy na zegarek, rozgląda się – rzucił w stronę Iosifa.

–Czeka na niego – odparł cicho Punin. – Czuję to. Każ Emilowi szybko się wycofać.

–Teraz?!

–Tak, jeśli nie jest za późno.

Łzy płynęły jej już ciurkiem po policzkach.

–No i co, kurwa?! No i chuj z dupą, kurwa!!! Przejebane! – Cipucha po raz kolejny łupnęła niemal z całej siły w kierownicę. Zatrzymała wreszcie samochód na pętli autobusowej między Dworcem Centralnym a Pałacem Kultury. Bezradnie patrzyła na wyświetlacz komórki i wciąż klęła najwymyślniej jak tylko potrafiła, wpadając w coraz większą panikę. Wystukała wreszcie numer do Bzdeta.

–Nie ma go! – wyrzeszczała mu na cały głos, zanosząc się płaczem.

–Ile czasu upłynęło? – spytał nerwowo punk.

–Czterdzieści minut.

–Przecież kazał ci wrócić po dwudziestu!!!

–A ty byś go zostawił, łysolu jebany?!

–Uspokój się, Niuńka. Weź się w garść i wracaj. On tak chciał i na pewno wiedział, co robi.

–Pieprzony czarnuch, żeby go tak przerobili na hot dog! Wcale mi go nie szkoda!

–Czy ty słyszałaś, co do ciebie mówiłem?

–Słyszałam.

–I którego słowa nie rozumiesz? – warknął groźnie Bzdet. – Masz wracać!

Zapalasz silnik, kurwa, i jedziesz! A jak nie będzie cię tu za godzinę, to jak Bóg miły, wkręcę ci cycki w wyżymaczkę, wezmę kawał dechy i przerobię cię na Pigmejkę!

–Niuniek, oni mu coś zrobili!

–Nic mu nie zrobili – Bzdet starał się to powiedzieć spokojnym, wyważonym głosem. – Widocznie zmienił plan. Czy coś się tam dzieje? Czy jedzie jakaś policja? Czy ktoś krzyczy?

–Nie.

–To wracaj! Mam nadzieję, że nie próbowałaś do niego dzwonić?

–Nie. Zabronił...

–To nie próbuj, bo możesz go wpakować w kanał i dopiero będzie. Po prostu zrób, o co prosił.

–Może w stresie zapomniał numeru...

–Nie bój się, on pamięta więcej niż mumia Tutenchamona i wszyscy dalajlamowie razem wzięci. Bierz dupę w troki i do domu!

–Jadę... – jęknęła płacząco Cipucha. – Tylko już nie wrzeszcz.

–No coś ty... – mruknął pieszczotliwie. – Jesteś moją Niunieczką kochaną, Żabeczką, Skarbeczkiem, Bzdecik cię kocha jak nikogo.

–Też cię kocham, Mopiku mój śliczny!

–No już nie bój i jedź do domu. Tylko ostrożnie.

Kiedy podbiegli do ławki, siedział na niej tylko Emil. Jego potężne ciało lekko ugięło drewniane oparcie, a głowa zwisała bezradnie, jakby spał. Iosif zacisnął z bezsilności usta, rozglądając się dookoła niczym dzikie, rozdrażnione zwierzę.

–Boże, jak on to zrobił?! – szepnął kompletnie zbity z tropu Tomasz.

–Niepotrzebnie filozofowałem – mruknął cicho, jakby do siebie, Punin. – Sam tu powinienem być.

–Obserwowało go łącznie z Emilem czterech ludzi!

–I gdzie oni teraz są?

Tomasz jeszcze raz spróbował ich wywołać.

–Żaden nie odpowiada.

–Jasne, jakżeby inaczej. – Iosif usiadł ciężko na ławce obok potężnego Polaka i wyjął mu z karku igłę. Emil po chwili ocknął się zaskoczony.

–Co jest? Co?! – spytał, rozglądając się nerwowo.

–Przymknij się – warknął Punin, nie odwracając nawet głowy w jego stronę. Zamknął tylko oczy i ciężko odetchnął. Dotknął lekko dłońmi do czoła i wsłuchał się w gwar spacerujących dookoła przechodniów. Ich kroki zwały się po chwili w jeden rytmiczny, klasterowy, zagłuszający myśli dźwięk. Nienawidził tego miejsca.

Szli szybko, ale Krzysztof pilnował, aby nie wyróżniali się z tłumu, jednak gdy tylko profesor próbował biec, Lorent chwycił go ostrzegawczo za rękaw marynarki i przypominał o ostrożności. Wilecki zatrzymał się wreszcie pośrodku stacji metra i nerwowo rzucił okiem w kierunku wyświetlacza, gdzie widniał czas odejścia ostatniego pociągu. Nie potrafił opanować drżenia rąk, ścisku w żołądku i bólu

głowy, który pojawił się dość nagle, dosłownie kilka minut temu. Wstydział się, że trochę spanikował, ale chyba, do cholery, miał powody. Ubrany absolutnie po cywilnemu klecha był niewzruszony niczym dąb Bartek, jakby codziennie robił takie numery jak przed chwilą i jakby kompletnie olewał, czy dorwie go ta banda prehistorycznych świrów, czy nie. Prawda jednak była taka, że on również zachował czujność, obserwował cały peron, wsłuchiwał się uważnie w każdy podejrzany dźwięk i niecierpliwie czekał na pociąg. Mieli z pewnością co najmniej kilka minut przewagi. Zanim tamci przykapują, co się stało, uporządkują to jakoś i pomyślą, co robić dalej, minie trochę czasu. Możliwe, że w ogóle zrezygnują i na razie odpuszczą. Trzeba jednak jak najszybciej opuścić to miejsce i nie ryzykować. Krzysztof, zerknąwszy na spoconego i roztrzęsionego profesora, poklepał go uspokajająco po plecach. Pociąg ku uldze uciekinierów wreszcie był uprzejmy wjechać na peron. Niedziela tuż po południu raczej nie obfitowała tłumami w metrze, więc bez problemu znaleźli miejsce, aby odpocząć.

–Jak ksiądz może być taki spokojny?! – spytał chyba trochę za głośno Wilecki.

–Proszę tak do mnie nie mówić – odparł Lorent.

–A jak mam mówić?

–Na imię mam Krzysztof.

–Ma ksiądz rację, bez sensu te ceregiele. Jestem Bogdan. – Podał mu rękę, mając nadzieję, że to choć trochę unormuje sytuację.

Lorent nie zareagował na kolejnego „księdza”, ale zadowolony był, że facet jakoś współpracuje.

–Przejedźmy kilka stacji, później pojedziemy w bezpieczne miejsce – zaproponował powściągliwie.

–Mam nie wracać do domu?

–Przepraszam, nie spodziewałem się, że cię znajdą. Zrobiłem błąd z tym mieczem.

Gdzie go masz?

–W domu.

–To dobrze.

–Jak ty to zrobiłeś?

–Co?

–Z tymi facetami tam przed Pałacem.

Krzysztof uważnie przyjrzał się twarzy profesora. Pot wciąż ściekał mu po skroniach, ale rozmowa chyba go uspokajała.

–Jak się czujesz? – spytał.

–Nie wiem... – Profesor zastanowił się chwilę. – Może trochę lepiej.

Dojeżdżali do Politechniki. Lorent wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji, mógł znowu złapać zasięg. Wystukał szybko SMS-a.

–Co robisz? – spytał Wilecki.

–Sprowadzam transport.

–Tylko nie mów, że tego punka...

–Nie, jego dziewczynę. Ale wygląda podobnie. Nie chciałem go brać, żeby w razie czego nikomu się nie skojarzył, lecz, jak widać, to i tak nie ma znaczenia.

**Spodziewałem się przy tobie raczej policji niż aurelitów.**

**–Jak się zorientowałeś, że to oni?!**

**–Nie wiem. Po prostu wiedziałem.**

**–Jasne, idiotyczne pytanie – jęknął załamany profesor. – Ja jestem tylko głupim Ziemiąninem. Ten rozczochniec mówił nawet, że już raz spuściłeś im porządne manto.**

**–Żadna frajda. Potem ci się tym pochwalę. Teraz udawajmy spokojnych, a może jakoś z tego wyjdziemy.**

**Wilecki znowu rozejrzał się dookoła. Wyglądało na to, że kilku pasażerów, którzy podróżowali z nimi wagonem, miało gdzieś ich rozmowę, kłopoty, wreszcie ich samych. Postanowił pomilczeć kilka minut. Zebranie myśli jednak ciągle stanowiło poważną trudność, więc skupił się na próbie przypomnienia sobie najistotniejszych faktów, które będą potrzebne do analizy sytuacji. Noc Kapłanów, aurelici, Eberhard Link, skarb *unius oculi...* ale o tym powie mu później.**

**Wysiedli na Służewie nad Dolinką. Zapłakana Cipucha czekała przy wyjściu z metra.**

**–Już jechałam z powrotem, podły klecho!!! – wyrzeszczała, witając uprzejmie Krzysztofa i jego towarzysza wsiadających do samochodu.**

**–Jedź szybko do domu – odparł spokojnie Lorent.**

**–Nie mogłeś wcześniej dać jakiejś wiadomości?!**

**–Byłem zajęty.**

**–Był zajęty! – jęknął Wilecki, błagając Boga w myślach, by wreszcie to czupiradło uruchomiło samochód i odjechało stąd w cholerę.**

**Dojechali bez przeszkód. Krzysztof upewnił się, że nikt ich nie śledzi i szybko ułożył w myślach wstępny plan. Aurelici nic nie wiedzą o ich kryjówce, w przeciwnym razie dawno już by się tu pojawili. Znaleźli profesora, a więc źródłem kłopotów był miecz. Cokolwiek w nim jest, co naprowadziło tamtych na trop Wileckiego, stało się groźne od niedawna. Przecież miecz był także i tutaj. Niezależnie od wszystkiego, trzeba szybko opuścić dom Bzdeta. Narażanie jego i dziewczyny nie ma sensu. Profesor i lekarka aż nadto starczą. Trzeba zniknąć. W którąkolwiek stronę by się zwrócili, zawsze będzie ktoś na nich czekał – policja, aurelici, nie daj Boże jakiś wścibiński dziennikarz, nie wiadomo, kto jeszcze.**

**–Witam króla Jerzego! – Bzdet uśmiechnął się z niewątpliwą ulgą, gdy tylko wysiedli z samochodu.**

**Wilecki machnął tylko ręką i z przerażeniem ogarnął wzrokiem dom. Ola stała w progu. Była zdenerwowana jak wszyscy, ale nic nie mówiła. Profesorowi na jej widok dość niespodziewanie zaczął wracać rezon. Co instynkt, to instynkt. Z pewnością już dobrych parę lat temu skończyła studia, ale zawsze to kobieta, w przeciwieństwie do Cipuchy.**

**–Nic się tu nie działo? – spytał na wszelki wypadek Krzysztof, mijając punka.**

**–Dwa niewielkie zawały serca, reszta w normie. Lepiej jej spytaj, jak było fajnie, kiedy zniknęłaś. – Wskazał Sambierską.**

**–Zapędź wszystkich do stołu, musimy pogadać. Ja skoczę na górę i za chwilę**



zejdę.

Wszedł po schodach, zamknął za sobą drzwi i ukląkł, składając ręce w modlitwie. Potrzebował na to chociaż minuty.

–Musimy dzisiaj, najdalej jutro, stąd odejść, nie chcę ryzykować.

–A dokąd chcesz odejść? – spytał Bzdet. – My i tak już w tym siedzimy.

–Mogę dostać szklankę wody? – jęknął Wilecki, opierając bezradnie łokcie na stole. – Powoli dochodziła do niego przerażająca prawda o tym, w jakie kłopoty właśnie się wpakował.

–Przepraszam, teraz dopiero zdałem sobie sprawę, w czym tkwimy – zwrócił się do niego Krzysztof. – Nie wiedziałem, że cię narażam. Staralem się być ostrożny, wysłałem Bzdetą, byłem pewien, że zgubiliśmy policję i aurelitów. Dla mnie to też jest nowe i... trudne. Ale teraz twoja wiedza może być absolutnie niezbędna.

–Jaka wiedza?! – Profesor roześmiał się gorzko. – Jestem wykładowcą historii sztuki i mitów kultury! A to, o co chcesz mnie pytać, traktowałem do tej pory jak bajki. Czego ode mnie wymagasz? Wiedzy o wilku z *Czerwonego Kapturka*? W życiu się nie pozbedziemy tych pomyleńców!

–Lepsze to niż nic – upierał się Lorent.

–Rzeczywiście byłeś moim studentem?

–Słuchałem kilku twoich wykładów. Już jako duchowny. Interesowałem się trochę właśnie mitami kultury krajów romańskich. Teraz, kiedy – ogólnie rzecz biorąc – wiem trochę więcej, jestem przekonany, że możesz pomóc.

–Trochę więcej... – prychnął Wilecki. – Jeśli ten chłopak mówił prawdę, encyklopedia to przy tobie notatki ucznia z podstawówki.

–Niezupełnie tak.

–A jak? Jak to w ogóle możliwe?

–Nie wiem, mogę tylko podejrzewać.

–I co podejrzewasz?

–Człowiek wykorzystuje jedynie niewielką część swojego mózgu. To, co da się zrobić z resztą, pozostaje tajemnicą. Może tam mamy złożoną wiedzę poprzednich pokoleń, zabezpieczoną i zamkniętą dla świadomości. Tyle tylko że u mnie właśnie wszelkie zabezpieczenia zawiodły.

–Wszystko pamiętasz? – Nawet na pierwszy rzut oka widać było wątpliwości profesora.

–Jeśli ci powiem, pomożesz nam?

–Jak tylko będę mógł najskuteczniej – zapewnił Wilecki.

Krzysztof rozejrzał się po twarzach zaniepokojonych, ale i zaciekawionych starych i nowych przyjaciół. Szczególnie Bzdet dawał najwyraźniejsze znaki, że trzeba nawijać, i to na całego.

–Już mówiłem, wszystko pojawia się nagle – zaczął. – Na pierwszy rzut oka wygląda, jakbyście przypomnieli sobie po prostu coś, co zapomnieliście, tyle że jest tego więcej. Na początku kłębi się w głowie straszny nieporządek, psychika nie może sobie poradzić, odnosi się wrażenie obłądu i niewyobrażalnego strachu. Potem, powoli, wszystko nabiera jakichś kształtów. No i zacząłem się do tego jakby...

przyzwyczajając. Część rzeczy ciągle sobie przypominam, a część, o których wiem, że przez chwilę je znałem, wylatuje mi z głowy i na razie ich nie pamiętam. Ta cała wiedza jest... ruchoma.

–Pamiętasz wszystkich swoich przodków? – spytała Cipucha.

–Na początku odnosiłem takie wrażenie, ale oczywiście nie. Mam świadomość wielu, lecz istnieje masa wspomnień ludzi, z których nie zdaję sobie sprawy. Dam wam przykład: o moich rodzicach, a nawet dziadkach nie wiem nic ponad to, co sami mi przekazali. Pierwsze te „nowe informacje” pochodzą sprzed ponad stu lat. Nie pojmuję dlaczego. Ludzi, z którymi jestem w jakikolwiek sposób związany krwią, były tysiące. Wyobraźcie sobie – ktoś za czasów Chrystusa miał kilku synów, oni znowu swoich, każdy z tych potomków założył rodzinę, oni też mieli dzieci, i tak do dzisiaj, jak w postępie geometrycznym.

–To niewyobrażalne – wtrąciła wreszcie Ola.

–Tak – przyznał. – Wierzcie mi, nie życzę wam tego w żadnej formie. Ale choć zdaję sobie sprawę, że pamiętam zaledwie ułamek wspomnień stosunkowo niewielu z tych ludzi, to i tak ich liczba jest ogromna. Ale nie to jest najważniejsze.

–A co może być ważniejszego? – spytał profesor.

–Umiejętności. Podświadoma i świadoma możliwość robienia perfekcyjnie ogromnej liczby rzeczy. To daje mi przewagę nad aurelitami.

–Ja chyba śnię – jęknął znowu profesor.

–Straszny maruda z ciebie – zauważyła zgryźliwie Ola.

–A koleżanka jest...?

–Jego psychiatrą – wyjaśniła dość dumnie, wskazując brodą na Lorenta. – Aleksandra Sambierska, możesz mi mówić po imieniu.

–I tak od razu, jak go poznałaś, droga Aleksandro, było to dla ciebie takie zwykłe i normalne?

–Nie, nie od razu. Ale nie zaczynałam przynajmniej każdego zdania od „ja”. Ciągle jęczysz, że wpadłeś w kłopoty, i nie wiesz, co się dzieje, a wszyscy mamy podobny problem!

–Jestem profesorem uniwersyteckim, trochę więcej szacunku! – obruszył się Wilecki.

–Spokojnie – przerwał im Krzysztof. – Damy sobie radę, zobaczycie. Mam tylko do was prośbę, nie pytajcie mnie ciągle o te rzeczy. Nie wiem, jaki był początek świata, skąd się wziął człowiek, choć jestem przekonany, że to dzieło boże. Najwcześniejsze moje wspomnienia pochodzą... – przerwał na chwilę, robiąc wrażenie, jakby sam szukał odpowiedzi -...z Krety... – dopowiedział ze zdziwieniem w głosie. – Nazywał się... – Lorent zaczął mówić jak w transie, jakby z każdym zdaniem przypominał sobie nowe szczegóły. – Tacjades... był doradcą króla Malii. Był... taki jak ja. Wiem na pewno, że pamiętał, jak ja, swoich przodków, ale nie mogę sobie poza nim nikogo wcześniej przypomnieć...

Nastąpiła cisza, którą przerwał dopiero Wilecki.

–Trochę szkoda – przyznał praktycznie. – Mielibyśmy kilka problemów egzystencjalnych z głowy.

Krzysztof nie śpieszył się z komentarzem. Sięgnął po herbatę i wypił ją niemal do końca, po czym zamiast kontynuować oczekiwane przez wszystkich dalsze wyjaśnienia, zadał po prostu pytanie:

–Kto to jest profesor Eberhard Link?

Wilecki spojrzał przelotnie na Bzdeta.

–Historyk kultury, językoznawca, badacz mitów, legenda środowiska – wyjaśnił krótko.

–Taki nasz Kopaliński? – upewniła się Ola.

–Niezupełnie. Profesor Stefczyk, czyli Władysław Kopaliński, to raczej leksykograf. Zajmuje się teorią i praktyką opracowywania słowników. Oczywiście on również poszukuje, ale Link to przede wszystkim odkrywca. Taki trochę Indiana Jones, tyle że mniej przystojny, starszy i bardziej... ludzki. Nie umie wywijać mieczem i nie chodzi po wodzie, ale zapewniam – miałby ci dużo do zaoferowania. – Spojrzenie profesora spoczęło w końcu na Krzysztofie.

–Dobrze go znałeś?

–Spotkałem go dwa, może trzy razy w życiu. Głównie wymienialiśmy korespondencję. Kontakt mi się urwał jakieś... pięć lat temu. – Wilecki rozłożył ręce. – Skoro – jak widać – nasz drogi gospodarz wyposażył cię w wiedzę, którą mu przekazałem, to pewnie zdajesz sobie sprawę, że zniknął.

–I nie wiesz, jak go znaleźć?

–Ja nie. Ale jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz, to ty wiesz.

Zaciekawione spojrzenia wszystkich utkwiły w Lorencie.

–Nie wiem – odparł zdziwiony.

–Skarb *unius oculi* – rzucił szybko profesor i przymrużył oczy.

–Skąd o tym wiesz? – Zdziwienie Krzysztofa było z pewnością szczere.

–Boże... – Wilecki pokręcił głową zaciekawiony. – Zaczynam naprawdę w to wierzyć.

–Nie odpowiedziałeś na pytanie. Jak to możliwe, że wiesz o czymś, o czym nikt z żyjących obecnie ludzi nie ma prawa wiedzieć?

–Od Linka. Ale rozczaruję cię. Dla mnie to tylko hasło. Nie mam pojęcia, co to jest. Po prostu jeden z jego ostatnich listów brzmiał, jakby autor naprawdę popadał w obłąd. Ostrzegał mnie przed aurelitami, zalecał, aby porzucić badania i trzymać się od legendy Nocy Kapłanów jak najdalej.

Profesor pociągnął kolejny łyk herbaty.

–Oczywiście nie pozwoliłem się zbyć i bombardowałem go mailami, aż odpowiedział – ciągnął. – Wtedy zdradził mi, że musi wyjechać i skontaktuje się ze mną, jak przyjdzie czas. Do dzisiaj tego nie uczynił. Jego ostatni list brzmiał następująco: „Jeśli ktokolwiek przyjdzie kiedyś do pana i powie, że jest Kapłanem Wiedzy, proszę mu powiedzieć, że odpowiedź znajdzie w skarbie *unius oculi*”. Brzmiało to jak dziecinada. Nie potraktowałem tego poważnie. A ty wiesz, o co chodzi?

–Wiem – odparł krótko Krzysztof. – Ale są rzeczy, o których nie powinienem rozmawiać nawet z wami. Jeśli wiedział o tym profesor Link, najprawdopodobniej już

nie żyje. Chyba... że istnieje obecnie jeszcze jeden Kapłan lub on sam nim jest.

Okazała willa stojąca trochę dalej od drogi, za dużym podwórzem, ginęła w otaczających ją drzewach. Wierzby na prywatnych posesjach w Warszawie i w okolicach stanowiły raczej rzadkość, ale dom był stary i od czasu swojego powstania na początku dwudziestego wieku pozostawał praktycznie w rękach jednej rodziny. Przez co najmniej trzydzieści lat niewiele zmieniano w okolicy, a podobne wille nie powstawały w sąsiedztwie od czasów wojny. Ludzi jak dawniej, tak i teraz nieczęsto stać było na tysiącmetrowe posesje na potwornie drogiej ziemi. Dygnitarze starej i nowej władzy upodobali sobie inne miejsca, choć mieszkało tu kilka tak zwanych wpływowych lub znanych osób, ale były to raczej osoby kiedyś wpływowe lub kiedyś znane. Jakiś piosenkarz jednego sezonu, eksdyrektor ogromnej fabryki – dziś bezrobotny. Był dziennikarz, który kiedyś w mundurze czytał dziennik telewizyjny, a teraz, wychodząc na ulicę, zakłada ciemne okulary do złudzenia przypominające te należące do jego dawnego głównego szefa. Od wielu lat nikogo biedaczek już nie interesuje, nikt jakoś nie chce go rozpoznać, z niczego rozliczać, o nic pytać. Nikt, co najgorsze, nawet nie chce go już nienawidzić. Jego samotność jak dusza Eleanor Rigby [\[50\] szuka dziś niemal codziennie odpowiedzi w pobliskim kościele, gdzie kilka lat temu odnalazł wiarę i oddał się jej bez reszty.](#)

W wielkiej willi, pośród rozplakanych jak po każdym mijającym lecie wierzb, Iosif Punin stał w salonie przy oknie, oczekując na obiad. Nie był głodny, mimo że właściwie od rana zdążył zjeść tylko dwa suchary popite zieloną herbatą. Kiedy już wydawało mu się, że opanował złość i gniew, za chwilę zły duch znowu dawał o sobie znać i ścisnął aurelicie pięści aż do bólu.

Drzwi się otworzyły, a młody chłopak w zielonym habicie wniósł tacę z jedzeniem i postawił na wielkim stole. Punin nie poświęcił temu specjalnej uwagi. Wbił wzrok w nieistniejący punkt za oknem i bezskutecznie przywracał umysłowi spokój. Chłopak szybko zniknął za drzwiami, ale pojawili się w nich Tomasz i Emil.

–Won, za drzwi! – mruknął cicho w ich stronę, nie odwracając wzroku.

Emil spojrzał zaskoczony na towarzyszącego mu starszego aurelitę, szukając jakiejś odpowiedzi.

–Opanuj się, młody człowieku! – upomniał go spokojnie, ale zdecydowanie Tomasz.

–Won!!! – wrzasnął na całe gardło, podchodząc szybkim krokiem do obu.

Emil, widząc gniew Iosifa, starał się zasłonić przed uderzeniem, lecz Punin był znacznie szybszy. Z zaskakującą łatwością dwoma błyskawicznymi ciosami powalił na ziemię olbrzyma, odpychając próbującego go chronić Tomasza. W drzwiach pojawiła się jednak trzecia postać. Wściekłość Iosifa skierowała się teraz przeciwko niej, ale przeciwnik okazał się znacznie zręczniejszy od dwójki Polaków. Zablokował uderzenie i wewnętrzną częścią dłoni potężnie uderzył Punina prosto w splot słoneczny, a precyzyjnie przyłożona siła przedramienia podwoiła efekt. Punin cofnął się i ukląkł na kolano, nie mogąc złapać tchu. Po chwili zaczerpnął powietrza. Doskonale wiedział, jak szybko i najefektywniej niwelować skutki takich ciosów, w tym momencie jednak zajęło mu to znacznie więcej czasu niż zwykle. Spojrzał powoli

na przeciwnika. Już wcześniej go poznał, ale teraz upewnił się, czy rzeczywiście miał rację. Luigi Balea stał spokojnie nad nim, mierząc go chłodnym, choć spokojnym wzrokiem.

–Nigdy... więcej... tego... nie rób – powiedział wolno przez zęby Punin.

–Będę robił to, co uznam za stosowne – odparł z wyraźną pogardą w głosie Luigi.

Gdyby Iosif miał przy sobie miecz, najchętniej pozarzynałby wszystkich na tej sali i porozdzierał ich ciała na strzępy. Na szczęście dość szybko doszło jednak do niego, że rzucanie się teraz na Baleę, z pustym żołądkiem, po wyczerpującym dniu i w takim stanie ducha byłoby samobójstwem. Nie tym razem. Jeszcze kiedyś przyjdzie na to pora.

Luigi nie chciał poniżać Punina bardziej, niż to było konieczne. Wzrokiem poprosił Tomasza i ocierającego sobie krew z twarzy Emila, aby zostawili ich na chwilę samych.

–Po co przyjechałeś? – warknął Iosif.

–Miałem pozwolić na to, żebyś zrobił tu rzeź i skierował przeciwko nam polską policję?

–Robię tylko to, co konieczne!

–Zamordowałeś dwóch ludzi, nie upewniając się, czy komukolwiek powiedzieli, z kim idą się spotkać! – Luigi po raz pierwszy podniósł głos.

–Nie ma po nich śladu!!! – wrzasnął Punin. – Nie wiedzieli, z kim byli umówieni!!! Nie mieli o nas pojęcia!!! Mistrz wierzy temu Kasjuszowi i Brutusowi?! – Wskazał na drzwi, za którymi zniknęli Polacy.

–Powiadomili mnie, i takie było ich zadanie, a ojciec o niczym nie wie – odparł spokojnie Balea.

–Nie wie? – Iosif był kompletnie zaskoczony.

–Nie – potwierdził Luigi. Założył ręce z tyłu i przeszedł się po salonie.

Punin roześmiał się nerwowo.

–Pupilek mistrza zaczyna sięgać po więcej... no, no, no. Przyznam, że nawet mnie to zdumiewa.

–Mylisz się, bracie. I niech ci nie przychodzi do głowy, że mógłbym w jakikolwiek sposób zdradzić ojca. Ale zależy mi na tej sprawie, a on z pewnością natychmiast ściągnąłby cię z powrotem.

–Jestem ci potrzebny.

Luigi nabrał głęboko powietrza do płuc.

–Wybieraj. Działamy razem i nie sprzeciwiasz się albo wracasz – podsumował zdecydowanie.

Twarz Iosifa powoli się rozpogadzała. Zdołał już wyrównać oddech, umiejętnie rozmasował nadbrzusze.

–Zjedźmy obiad. – Wskazał na stół.

–Z chęcią. Każ podać jeszcze jedno nakrycie.

Kiedy Bzdet stanął w drzwiach, Lolo nadal nie wiedział, czy dalej przecierać oczy ze zdumienia, czy może tylko śmiać się w duchu z ironii losu. Jego okrągła jak księżyc twarz zajaśniała satysfakcją. Małe, blisko osadzone oczka szukały

odpowiedzi na zagadkę, ale na razie bezskutecznie. Lolo pogładził ręką resztki swego owłosienia i wpuścił dawno niewidzianego klienta do środka. Wylał ręce o znoszony, wyciągnięty sweter, wskazał krzesło – stare i brudne, ale jedyne przy zagraconym stole.

–Tyle lat minęło – szepnął cicho, udając grobową powagę. – A jednak! – wrzasnął wesoło i klasnął w dłonie z satysfakcją.

–Nie obiecuj sobie za wiele – mruknął Bzdet. – To nie to, co myślisz.

–Jasne, czy ja coś mówiłem? Pukniesz rolkę?

–Nie, dziękuję.

–To co? Ścieżynkę?

–Nie po to przyszedłem. Wiesz, że skończyłem z tym – odparł punk chłodno.

–A jednak tu jesteś. – Lolo uniósł brwi. Z jego oblicza niewątpliwie biła ironia, ale chyba jednak bardziej zaniepokojenie.

Bzdet podszedł do krzesła i pokonując niechęć do brudu, usiadł ostrożnie.

–Cały czas masz syf w tym garażu – stwierdził, lekko się krzywiąc.

–Jestem tradycjonalistą – podsumował uroczyście Lolo, rozkładając teatralnie ręce. Przeszedł się dookoła stołu, korzystając z okazji, aby jeszcze dokładniej przyjrzeć się gościowi. – Jak zadzwoniłeś, przyznam, że oniemiałem.

–Przykro mi – odparł Bzdet niechętnie.

–No, dobra. Odezwałeś się po latach, jesteś tu. Co teraz? Mówiąc szczerze, nie mam dzisiaj za wiele czasu na coś innego niż interesy.

Bzdet poprawił się na krześle. Na wszelki wypadek sprawdził, jak bardzo ubrudził już spodnie, i po raz pierwszy chyba odwrócił twarz w stronę gospodarza.

–Mam interes.

–No proszę. – Lolo zachichotał.

–Potrzebne mi dokumenty. Paszporty. I to dobre. Nie te od Fikołka.

–Fikołek już nie robi, zachorował.

–Na co?

–Kiepsko kapował, jaki jest układ, i nogi mu się połamały. A potem źle zrosły.

–I już nie wyzdrowieje?

–Ma szlaban. Wpakował na granicy ludzi z Mokotowa. Dał im takie bibuły, że ślepy by tego nie kupił.

–Muszę mieć oryginały.

–Po co ci? Teraz przez granicę można przechodzić jak przez jezdnię. A oryginały ostro kosztują. Będę musiał pójść do Ministra.

–Słyszałem, że Minister siedział.

–Krótko. – Lolo uśmiechnął się tajemniczo. – Takich pleców jak on nie ma nawet Osama bin Laden. Wolałbym mu nie zawracać głowy głupotami.

–To nie są głupoty. Potrzebne są trzy paszporty dla bardzo ważnych ludzi. Sam nie dostanę się do Ministra.

–To potrwa.

–Mają być na jutro.

–Chyba żeś się z fiutem na głowy pozamieniał! – wybuchnął Lolo. – A niby jak

**mam to zrobić? Jest już druga!**

**–Dzwoń. – Bzdet wskazał na leżącą na stole komórkę.**

**–Pięć złotych.**

**–To chyba tobie przeżarło łeb dragami. Mogę ci dać najwyżej połowę tego. Dwa i pół tysiąca. Koniec negocjacji.**

**–Odpada. – Lolo ostentacyjnie wsadził ręce do kieszeni.**

**–Twój brat też ma dojście do Ministra, za tę kasę da mi oryginały, a z wdzięczności jeszcze zatańczy i zaśpiewa. A wiesz, jak o to trudno ostatnio.**

**–To było poniżej pasa – zauważył z rozżaleniem Lolo.**

**–Nie rań więc moich uczuć wyższych i bierz się za telefon.**

**–Masz zdjęcia?**

**–Dobry żart. – Bzdet uśmiechnął się sztucznie. – Masz załatwić od Ministra bibuły, a wlewkę ze zdjęciem zrobisz na miejscu. Potem pójdziesz do kibla, ja w tym czasie wpiszę nazwiska i skasuję pliki.**

**Lolo przymrużył oczy i zmierzył z sarkazmem punka od góry do dołu.**

**–Bzdeciu... w co ty się wpakowałeś? To nie brzmi dobrze.**

**–Jutro zadzwonię na pięć minut przed przyjściem.**

**–Nie dzwoń przed jedenastą.**

**Bzdet wstał i poklepał Lolo po ramieniu.**

**–Dobry z ciebie kumpel. Ale nie przekombinuj. Jeśli nadwerężysz naszą dawną przyjaźń, możesz zachorować bardziej niż Fikołek.**

**–Bzdeciu, co się z tobą stało? Dlaczego tak do mnie mówisz? – Lolo był tym razem szczerze rozżalony.**

**–Na wszelki wypadek. – Punk podszedł do wyjścia.**

**–Nigdy cię nie zdradziłem, pieprzony gnoju – przypomniał z irytacją w głosie gospodarz.**

**–Ludzie się zmieniają – rzucił przez ramię Bzdet, zamykając za sobą drzwi.**

**Ewa przez chwilę wahała się, ale w końcu uległa.**

**–Są dziewczynki? – spytała na wszelki wypadek.**

**–O tej porze? – Michał spojrział na zegarek. – Jeszcze w kinie. Mamy przynajmniej godzinę, aby się napić.**

**–Jesteśmy wykończeni, zachlamy się i jutro będziemy na kacu.**

**–Należy nam się. Daj spokój, nie chce mi się siedzieć samemu.**

**Ewa przymrużyła oczy zalotnie.**

**–Przecież z tobą nawet przespać się nie można – prychnęła.**

**–Ale chlać umiem za dwóch – zapewnił Michał. Pocałował koleżankę uroczyście w czoło i wyjął klucze. Otworzył drzwi mieszkania i puścił ją przodem. Zapalił światło w przedpokoju, zdjął kurtkę, pomógł Ewie powiesić płaszcz na wieszaku i, niestety, dopiero teraz zauważył mężczyznę siedzącego w półmroku na fotelu pośrodku pokoju... Był elegancko ubrany i z zaciekawieniem przyglądał się parze policjantów. Miał nie więcej niż dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć lat. Oboje szybko sięgnęli do kabur, ale uprzedził ich inny mężczyzna, który nie wiadomo skąd się wziął i gdy tylko wyjęli pistolety, niemal niewidocznymi dwoma ruchami pozbawił ich broni.**

Stali przez chwilę w ciszy, nie tyle przestraszeni, ile przede wszystkim zdumieni.

–Jak to zrobiłeś? – wydukał wreszcie Michał, spoglądając na jasnowłosego napastnika.

Siedzący na fotelu Luigi Balea jeszcze przez chwilę badawczo przyglądał się dwójce Polaków, po czym spytał wzrokiem postać stojącą przy oknie, o co chodzi. Policjanci dopiero teraz zobaczyli pięćdziesięciolatka opartego o ścianę przy balkonie.

–Dziwią się, jak losif to zrobił – odparła spokojnie postać.

Ktoś z korytarza klatki schodowej zamknął za nimi drzwi.

–To jakaś mafia sycylijska, kurwa, mówią po włosku – jęknął Michał.

–To zajebicie, nie ma jak mocny akord na koniec dnia.

–Co oni tu robią?

–Ty się lepiej martw, jak się z nimi dogadamy. Nie zastrzelili nas jeszcze, więc chyba chcą się z nami lepiej poznać – szepnęła teatralnie policjantka.

Balea przeniósł wzrok na Kępińskiego.

–Nie znam polskiego – powiedział spokojnie z oksfordzkim akcentem. – Możemy porozmawiać po angielsku?

–A moglibyśmy po niemiecku? – odpowiedział nieśmiało i raczej niepoprawnie Michał. Niezbyt mocno czuł się w angielskim, ale niemiecki znał płynnie.

Luigi kiwnął głową zadowolony i dał znak starszemu mężczyźnie, że może wyjść.

–A ja co?! – warknęła prosto w ucho Kępińskiemu Ewa. – Mam tu stać jak na tureckim kazaniu?

–Trzeba się było uczyć języków – odparł, cały czas obserwując uważnie „gości”.

–Ale się mądry odezwał. Gdybym jak ty miała babkę z Austrii, też bym była taka elokwentna. Co ty chcesz, żeby cię po hitlerowsku przesłuchiwali?!

–Nie mamy złych zamiarów – odezwał się równie swobodnie po niemiecku, jak przed chwilą po angielsku, Balea, odprowadzając wzrokiem Tomasza, który właśnie zniknął za drzwiami.

–Jasne. – Michał uśmiechnął się z przymusu.

–Musi pan nam wybaczyć najście oraz to, że nie możemy się przedstawić, ale chcemy tylko chwilę porozmawiać i zaraz znikamy.

–To trochę dziwna sytuacja... – odparł niecierpliwie Kępiński.

–Dziwna stanie się dopiero wtedy, kiedy wrócą pańskie córki – zauważył Luigi, nieznośnie świdrując policjanta wzrokiem.

Michał z przerażeniem spojrział na ścienny zegar. Poczuł, jak zimna strużka potu zaczyna spływać po jego szyi. Wiedzą o dziewczynkach, przyjechali z zagranicy, są szybcy, sprawni, świetnie zorganizowani. On i Ewa nie mają szans.

–Negocjujesz nasze uwolnienie? – spytała dla porządku Nowicka.

–Nastrajam się – rzucił przez zęby w jej stronę. – Czego od nas chcecie? – mruknął do intruzów.

–Tak jak mówiłem. Tylko porozmawiać.

–O czym?

–O Krzysztofie Lorencie, katolickim księdzu, z którym bardzo chciałbym się



**spotkać.**

**–Ja też go szukam – przyznał policjant. – Ale nie mam pojęcia, gdzie jest.**

**–Pana żona zginęła w tajemniczych okolicznościach dwa lata temu, prawda?**

**Kępiński mocno zacisnął powieki.**

**–Nie było w tym nic tajemniczego. Lekarska pomyłka w czasie operacji nerek. Nie obudziła się z narkozy.**

**–No tak. – Luigi pokiwał głową. – Współczuję panu. – Jak pan sobie radzi?**

**–Na ten temat też mamy rozmawiać? – Michał zdecydowanie podniósł głos.**

**Włoch wyczuł strach, który zaczął opanowywać policjanta.**

**–To pański wybór – rzekł pogodnie Balea. – Nie chce pan z nami współpracować, więc po prostu bawię pana rozmową w oczekiwaniu na pańskie córki. Może jak one przyjdą, zyskamy inną płaszczyznę do dyskusji.**

**–Nie... – Michał był naprawdę przestraszony. – Porozmawiajmy gdzie indziej, nie tutaj. Zabierzcie nas, dokąd chcecie, ale dzieciaki nie mają o tych sprawach zielonego pojęcia. Nie ma potrzeby...**

**–Gdzie jest Lorent? – spytał bardziej już zdecydowanym tonem Luigi.**

**–Przysięgam, że nie wiem. Aresztowałbym go przecież.**

**–Tak od razu?**

**–Jest oskarżony o porwanie, a być może morderstwo, tu nie ma żartów.**

**Balea niezmiennie świdrował Kępińskiego wzrokiem. Odczekał jednak chwilę, zanim zadał następne pytanie.**

**–Co o nim pan wie?**

**Michał zawahał się, spojrzał na Ewę, zdając sobie sprawę, że nawet ona zrozumiała pytanie. Policjantka kiwnęła jednak głową, wyrażając zgodę. Nie było sensu chojrakować. I tak mieli raczej małe szanse, aby wyjść z tego żywi, ale może Włosi odejdą, zanim dziewczynki wrócą.**

**–Katolicki ksiądz, nigdy nienotowany, przykładny duchowny – rozpoczął Kępiński. – Około dwóch miesięcy temu ciężko zachorował na, jak podejrzewają lekarze, zapalenie mózgu. Inna wersja mówi, że to gwałtowny objaw schizofrenii paranoidalnej, z której do tej pory nie zdawał sobie sprawy nawet sam chory. Spędził w szpitalu ponad miesiąc. Uciekł w tajemniczych okolicznościach, porywając lekarkę.**

**–W tajemniczych okolicznościach? – Luigi zerknął za zegarek.**

**–Ktoś mu pomógł. Sam nie dałby rady. Świadkowie opowiadają, że ci sami ludzie, którzy wyciągnęli go ze szpitala, później na zewnątrz zaatakowali księdza, ale nie mam na to dowodów. Nikt nie zgłosił morderstwa lub zaginięcia, nie ma śladów, są tylko zeznania chorych.**

**–A lekarze?**

**–Nikt z nich niczego nie widział. Większość została obezwładniona przez napastników. Nie jesteście ze służb specjalnych?**

**–Rzeczywiście dziwna historia. – Luigi zignorował pytanie policjanta. – Trudno w nią uwierzyć. Ale niech pan kontynuuje.**

**–To właściwie wszystko.**

**Luigi ponownie znacząco spojrzał na ścienny zegar.**

–No dobrze, byliśmy jeszcze u tej lekarki. Znaleźliśmy notatki o księdzu.

–Gdzie pan je ma?

–W pracy.

–Chciałbym to zobaczyć.

–Panowie... zmuszacie mnie do przestępstwa...

–Zgłosimy się do pana – mruknął Balea, wstając z fotela. – Proszę nikomu nie mówić o naszej rozmowie. I być gotowym.

–Tak... – Michał tępo patrzył na przeciwległą ścianę.

Idąc do wyjścia, Luigi zatrzymał się jeszcze na chwilę przy policjantach.

–Herr Kępiński – szepnął mu niemal prosto do ucha. – Wygląda pan na miłego, dobrego człowieka, więc zdradzę, co się stanie, jeśli nie dotrzyma pan słowa. – Balea odczekał chwilę. – Odszukamy pana i pozbawimy życia. Najpierw jednak znajdziemy pańskie córki, nawet jeśli je pan ukryje, wyrwiemy im paznokcie, połamiemy palce, żebra i nogi, wypalimy gałki oczne. Zadamy im ból, ale dopiero po długim czasie pozwolimy umrzeć. Pojedziemy również do Koszalina, gdzie ma pan rodzinę siostry, i ich także zgładzimy. Na końcu odwiedzimy tę miłą panią, która stoi obok.

Michałowi nie drgnęła nawet powieka, gdy Włoch mówił to wszystko spokojnym, niemal obojętnym tonem. Powróciła rutyna. Nie wątpił, że tak zrobią. Wiedział, że nie żartują, i był przekonany, że mają możliwości przełamujące jakąkolwiek próbę oporu z jego strony. Uspokoił się. Trwał bez ruchu, czekając, aż wyjdą.

Punin i Balea zeszli po schodach do stojącego przed blokiem samochodu. Przy kierownicy siedział Emil; Tomasz otworzył drzwi.

–Twoja metoda to bluff? – Iosif uśmiechnął się, co u niego było raczej rzadkie.

–Nie blefowałem – odparł spokojnie Luigi.

–Nie byłbyś w stanie tego zrobić. Nie jesteś mną – prychnął Punin.

Balea odwrócił się spokojnie do towarzysza i zajrzał mu głęboko w oczy. Iosif spoważniał, zatrzymując się na chwilę. Instynkt, który do tej pory raczej go nie zawodził, teraz sprawił mu zawód. Wyrachowany, nieludzki chłód, jaki bił z twarzy Luigiego, przeraził nawet twardego jak skała Iosifa. Ta myśl, która przez kilka sekund przejęła go wstydem, dała niemal natychmiast do zrozumienia porywczemu aurelicie, że nie znał swojego brata w ogóle, choć przecież dorastali razem tyle lat pod okiem dobrego i mądrego ojca. Ile jednak tajemnic jeszcze krył przed nim Luigi, nie mógł się nawet domyślać.

Michał ciężko usiadł na kanapie.

–Ile z tego zrozumiałaś? – spytał głucho Ewę.

–Piąte przez dziesiąte, raczej średnio uważałam na szwabskim w szkole.

–Jeśli nie zrobię tego, czego chcą, zabiją nas wszystkich. Moją rodzinę, a może i twoją.

Ewa mocno chwyciła Kępińskiego za marynarkę.

–To tylko pamiętnik! – wybuchła z pasją. – Kto o nim wie? Nikt. Jest na dole w samochodzie. Trzeba było go od razu im dać. Prokuratorowi powiemy, że nic nie znaleźliśmy.

–Nie dzwoniłaś do Gucia?

–Nie.

–Nikt na pewno nie wie o notatniku?

–Nie.

Michał odetchnął głęboko. Szukał w umyśle wszystkiego, co mogłoby się teraz przydać.

–A co będzie, jak znajdziemy Lorenta – spytała nagle Ewa.

–Nie znajdziemy.

Nowicka pokręciła głową, wyrażając w ten sposób poważną wątpliwość.

–Ukrycie pamiętnika to jedno, ale sabotowanie śledztwa to już co innego. Nie damy rady tego ukryć.

–Nie musimy. Widziałaś tych facetów?!

–No i co z tego?

Michał puknął się w czoło.

–Myśl! Jak oni mnie znaleźli? Skąd wiedzieli o mojej rodzinie?! Tego nie ma w gazetach! Wiedzieli nawet, kiedy moje córki wracają.

–Mogli usłyszeć. Gadałeś o tym przed wejściem do mieszkania, jakbyś miał w gardle megafon.

–Nie znali polskiego.

–No dobrze. – Ewa rozłożyła ręce. – Mają swojego agenta w kinie.

–Nie rób sobie jaj! – warknął Kępiński. – Tu chodzi o życie moich córek!

–OK, mają spore możliwości, zaskoczyli nas.

–Właśnie! – Michał klasnął w dłonie. – O to chodzi! Nowicka spojrzała na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

–Jesteśmy przy nich jak dzieci – ciągnął Michał. – Widziałaś, jak zabrali nam broń? Jakby facet był jakimś pieprzonym Davidem Cooperfieldem!

–Chcesz zrobić nastrój?! Jestem już wystarczająco wystraszona!

–Nie o to chodzi. Mówię ci, że nie musimy sabotować śledztwa. Oni po prostu znajdą go szybciej. I nic na to nie poradzimy. Będziemy nadal robili swoje, ale mamy to jak w banku, oni będą zawsze krok przed nami. My tylko musimy im pokazać ten notatnik. Może go nam nawet nie zabiorą. Czekaj... – Pomysł, który mu wpadł do głowy, ożywił nagle jego gestykulację.

–Co jest?

–On będzie grał dla nas. Dajmy mu szansę.

–Jak?

–Prędzej czy później będzie chciał uciec przez granicę.

–Za późno. Rozesłaliśmy zdjęcia i dane.

–Ale nieoficjalnie. Przecież jest blokada na prasę. Tylko okularnicy to mają. Zwykli pogranicznicy nie. Przejedzie. Nie jest idiotą i nie wygląda mi nawet na chorego, da sobie radę. A co dalej? Trzeba dopilnować, żeby to się nie dostało do Interpolu.

–To akurat żaden problem. Szef myśli, że to pierdółka niewarta uwagi. Wszystko spuścił na nas. Tylko co mu powiemy, jak się dowie o tej blokadzie na pismaków?

–Że chcemy bronić dobrego imienia pacjentów. Kupi to. A nam chodzi tylko o trochę czasu.

–A tamci?

–Tamci jeszcze nas o to poproszą. Im też nie zależy na reklamie, a gliniarze szukający tego księdza po całej Europie tylko by im bruździli.

Ewa usiadła na fotelu i ukryła twarz w dłoniach. Słysząc było, jak głęboko i ciężko oddycha.

–Kim oni są? – jęknęła, stukając palcami w czoło.

–Na pewno nikt od nas. Mogli zgrywać cudzoziemców, blefować, ale nie wierzę, że to ktoś z miasta.

–Spece? Czarni?

–Nie ich metody. Zresztą po co? Nie musieli mnie straszyć w mieszkaniu, mogli przyjść na komendę. Co to, kurwa, jakaś ukryta kamera?

–Myślisz to, co ja? – spytała po kilku sekundach ciszy Nowicka.

–Że podobni magicy byli pod szpitalem?

–Właśnie.

–Tamci ponoć też nie owijali w bawełnę. Chcą tego gościa po prostu zabić. Spróbujemy uratować mu życie.

–Uwierzyłeś w te bajki z wariatkowa?

–Próbuję przykapować, co jest grane, to wszystko. Myślę, że jeśli nie będziemy zachowywali się jak słonie w składzie porcelany, może przeżyjemy. To nie o nas tu chodzi. Chcesz się napić? – Michał podszedł do barku.

–Tak.

–Co?

–Harcerzyka.

–Jasne. – Kępiński nalał do szklanki wódkę z colą i podał koleżance.

–Dlaczego tak cholernie im na nim zależy? – Ewa pociągnęła dwa łyki ze szklanki.

–To proste. Dowiedział się czegoś niebezpiecznego, pewnie o nich. Być może symulował chorobę psychiczną, aby się ukryć w szpitalu. Kiedy już go i tam znaleźli, nie miał innego wyjścia i uciekł. Reszta to fantazje świrów.

–A lekarka?

–Może wie to, co on. Od niego. Chciał, żeby mu pomogła i ją wtajemniczył. Teraz musi uciekać razem z nim. Dlatego wyglądało na to, że współpracuje. Nie docenili go. Załatwił ich cyngla, a może nawet dwóch, którzy na niego czekali przed szpitalem. Teraz mają kłopot.

Ewa znowu pokręciła niedowierzająco głową.

–Nie kupuję tego.

–Ta teoria ma może kilka dziur, ale brzmi w miarę wiarygodnie.

Nowicka zajrzała koledze głęboko w oczy.

–Co brzmi wiarygodnie? Że młody ksiądz, znany w swojej parafii z łagodności i tolerancji, okazuje się zaplątany w sprawy jakiejś mafii? Że zachowuje się jak James Bond i jest cwańszy nie tylko od nas, ale i od nich? A może to, że – jak mówisz – „załatwił ich cyngli”? – Policjantka machnęła zniecierpliwiona ręką. – Właśnie widziałam jednego z tych „cyngli”, mógłby wyklądać w klasztorze Shaolin – zakończyła gorzko.

**Zgrzyt klucza w zamku wejściowym przerwał ich rozmowę.**

**–Ani słowa dziewczynkom – rzucił szybko Michał.**

**Ewa potwierdziła skinieniem głowy.**

**–Wrócę do firmy i sprawdzę, gdzie klecha był za granicą przez ostatnich kilka lat**

**– szepnęła, widząc, że drzwi już się otwierają.**

**Widok córek przywrócił uśmiech na twarz Michała, a piekący ból w mostku stał się jakby mniej dokuczliwy.**

## Rozdział 6

**Boże mój! Twórco nieznanych dróg... Daj mi pewność i wiarę, że czynię dobrze, lub zawróć mnie z tej ścieżki i pozwól odejść. Postępuję, tak jak chcesz, i będę wierny do końca. Głos Kapłanów z przeszłości mówi już do mnie i słyszę go wyraźnie. Za dużo jednak robię błędów, grzeszę lękiem, wątpliwościami, przywiązaniem do spraw nieistotnych. Dziękuję Ci, że przeprowadziłeś nas szczęśliwie przez tyle granic i nie pozwoliłeś przy tym nikogo skrzywdzić. Dziękuję Ci za przyjaciół, których poświęcenie jest cenniejsze niż oddech i dar bicia serca. Dziękuję Ci za łaskę, obdarzyłeś bowiem nią tych, z którymi podróżuję, i otocz ich Swoją opieką, by nie musieli cierpieć za innych. Błagam Cię, choć nie jestem godzien. Tylko Tyś jest Panem, tylko Tyś najwyższy, Jezu Chryste, zbaw nas od złego. Amen!**

**Krzysztof podniósł się z kolan i spojrzał na parking przy autostradzie. Przy samochodzie stali, opierając się o dach, Ola i Wilecki. Lekarka pociągała z butelki colę, profesor skupił się na rozmyślaniach o... samym sobie. Lorent podszedł do towarzyszy podróży. Autostradą hałaśliwie przemykały kolejne wozy.**

**–Jak to zrobimy? – spytała rzeczowo Sambierska, bekając cichutko po wypiciu ostatniego łyka.**

**–Tak jak powiedział ten człowiek od Bzdeta.**

**–Tak po prostu? – spytał, udając obojętność Wilecki.**

**–Musimy zaryzykować. To już nie jest polska granica, nie trzeba wyprawiać tych wszystkich kretyństw. Tu nikt nie powinien nas rozpoznać. Jeśli źródła tego człowieka mówią prawdę, za granicą nikt nas nie szuka.**

**–Trochę dziwne. – Ola wzruszyła ramionami.**

**–Wcale nie dziwne – prychnął profesor. – Jak niby polska policja miałaby to zlecić Interpolowi? Rycerze, miecze, czary-mary, ksiądz cudotwórca... Samemu wciąż jeszcze trudno mi w to uwierzyć.**

**–Chyba nie tylko o to chodzi – mruknął cicho Krzysztof.**

**–Co masz na myśli? – ożywiła się Sambierska.**

**–Aurelitów – odparł krótko Lorent.**

**–Ale jak...**

**–Nie jestem pewien, jednak coś mi mówi, że będą trzymali policję z daleka od nas.**

**–To nie takie proste, nawet dla nich – zauważył profesor.**

**Krzysztof przytaknął, choć niezbyt przekonująco. Podeszedł do jednego z pobliskich drzew i przyjrzał się konarom, jakby badał ich wiek.**

**–Zauważcie, że nikt się z tym nie reklamuje – westchnął głęboko. – Nie ma tego w radiu, w telewizji, nawet w prasie brukowej. Przecież zawsze jakiś dziennikarz znajdzie sposób na to, aby dotrzeć do takiej informacji.**

**Profesor pokręcił ze zniecierpliwieniem głową.**

**–Bo z ich punktu widzenia to jedna z tysiąca spraw. Ze szpitala uciekł schizofrenik, zaginęła lekarka, i już – cała filozofia. O czym tu mówić w telewizji?!**

**–Na przykład o trzech trupach pod szpitalem – zauważyła beznamyślnie Ola.**

**–Nie ma trupów pod szpitalem! – wyakcentował każdą sylabę Wilecki. – I nigdy nie**

było. Nikt przy zdrowych zmysłach nie widział tam żadnych ludzi, żadnej walki i żadnych ofiar. A dam sobie „prof.” uciąć przed nazwiskiem, że nikt nie zgłosił morderstwa.

–Dlaczego nie mówisz nam, dokąd jedziemy? – spytała z innej beczki Ola.

–Bo tak jest bezpieczniej – odparł Lorent.

–Ale jesteśmy już pięć kilometrów od granicy słowacko-austriackiej, teraz chyba możesz?

–Jeszcze daleko.

–Rany boskie! – Sambierska trzepnęła ze złością rękami o spodnie i wsiadła do samochodu, ale widząc, że żaden z nich nie reaguje, zmarszczyła brwi. – Ty, casanova! Możesz dalej mnie podrywać, niewykluczone, że dzięki tobie podróż była trochę mniej nudna, wsiadaj wreszcie! Robi się ciemno. A ty, Krzysiek, chrzań się! – Trzasnęła drzwiami.

Lokal Pod Słoniem był zadymiony do tego stopnia, że sala dla niepalących straciła właściwie rację bytu. Przy niewielkim stoliku na piętrze od kilku już godzin tkwiła chuda, ostrzyżona na Sinead O’Connor, a może na Annie Lennox – kobieta oraz towarzyszący jej mężczyzna, lekko łysiejący czterdziestolatek, w tym oświetleniu i dymie może nawet trochę przystojny. Między nimi stała butelka coca-coli, sok pomidorowy w kartonie, dwie szklanki i opróżniona prawie do końca butelka siwuchy. Druga. Pierwszą kelnerka zabrała godzinę temu. W pewnym momencie, pod koniec przedłużającej się chwili ciszy, głowa chudej kobiety dość raptownie opadła na drewniany stolik i tam już pozostała. Jej właścicielce blat wydawał się cudownie miękki i wygodny, choć przede wszystkim praktyczny. Towarzyszący damie dżentelmen bohatercko trzymał pion i nawet nie chciało mu się rzygać, więc jeszcze raz uniósł uroczyście szklankę i z wyczuciem policjanta po służbie zaintonował – *Krew naszą długo leją katy...*

Nadludzkim wysiłkiem kobieta uniosła głowę. Był to czyn tyle mężny i heroiczny, co przede wszystkim – altruistyczny, miał bowiem w swojej genezie troskę.

–Ssórki sprawdziłeś? – wypowiedziała się ze szczerą turbacją.

–Są już u dziadków. – Mężczyzna nabrał głęboko powietrza. – Spwdziłem – zameldował z niemalym trudem. – Tellefonisznie.

Myśl o bliskich zawisła nad nimi tak gęstą, ciemną chmurą, że nie zauważyli, iż nad stolikiem z kolei zawisła postać kobieca (choć na pierwszy rzut oka bez biustu), ubrana dyskotekowo, w żywe kolory. Trzeźwa.

–O! – wydobyła z siebie kolejną myśl siedząca przy stoliku kobieta, znajdując wzrokiem nowo przybyłą.

Ta jednak, nie wiedzieć czemu, zwróciła się do mężczyzny.

–Dzień dobry, nazywam się Monkiewicz-Swięcicka primo voto... – Niestety, ostatniego członu jej rozbudowanego nazwiska siedzący przy stoliku nie dosłyszał.

–Srasznie dłuhe nazwisko – zauważył refleksyjnie. – A imię?

–Nazwisko powinno chyba panu powiedzieć, z kim pan rozmawia – głos paniusi wiszącej nad stolikiem stał się piskliwy.

–No, nie mófi – przyznał mężczyzna.

–Jestem dziennikarką, pracuję w tygodniku...

–Spierdalaj – zaproponowała wstępnie siedząca przy stoliku kobieta, z wysiłkiem utrzymując głowę nad blatem.

–To skandaliczne zachowanie jest nie do przyjęcia! – syknęła paniusia. – Przyszłam porozmawiać z komisarzem Michałem Kępińskim lub z podkomisarz Ewą Nowicką!

–Spierdalaj – zachęciła ponownie Ewa. Mimo pokaźnej ilości alkoholu we krwi policjantki, głos pani Monkiewicz-Święcickiej, primo voto coś tam, wdzierał się do jej głowy nieznośnie dźwięcznie. Najgorsze jednak było to, że żurnalistce śmierdziało z ust tak przejmująco, że żaden alkohol złagodzić tego nie był w stanie.

–Nie wolno odmawiać państwu rozmowy z prasą! – ogłosiła przez zęby dziennikarka.

–Jesteśmy po służbie – odparł oficjalnie Michał.

Ewa z trudem podniosła wzrok.

–Jesssu, jaka ty jesteś brzydka – westchnęła ze szczerą troską policjantka.

–Obafiam się – kontynuował oficjalnym tonem Kępiński – że nie moszemy pani w naszym pomós.

–Państwa kolega, podkomisarz Załuska, jest innego zdania.

Michał dość nagle zyskał chęć natychmiastowego wytrzeźwienia.

–Ewa – zwrócił się do koleżanki, usiłując jak najszerzej otworzyć oczy. – Gucio dał tej pani wywiad.

Wzrok Nowickiej stał się gniewny.

–Szego chcesz kaszalocie? – buchnęła parą zmieszaną z alkoholem w stronę dziennikarki, srogo rewanżując się za cuchnący oddech.

–Z szacunkiem proszę! – wyskrzeczwała wkurzona do granic możliwości pismaczka. – Szukam informacji o zaginionej lekarce ze szpitala psychiatrycznego. Państwo prowadzą to śledztwo!

–Myli się pani – odparł uprzejmie Michał. – Nis o takiej sprawie nie syszeliśmy.

–Ty, primo voto, mówiłam ci, żebyś spierdała? – zapytała dla porządku Ewa.

–Mówiłaś – przypomniał Kępiński. – Ale ta pani się po prostu pomyliła.

–Nic nie pomyliłam! – włączyła się pani Monkiewicz-Swięcicka. – Pan podkomisarz zdał mi sprawozdanie oraz pomógł mi państwa znaleźć! Żądam informacji albo w krótkim czasie sprawię, że pożegnacie się z posadami!

–A w jak krótkim? – zainteresowała się Ewa, ale, niestety, nie starczyło jej sił i osunęła się z powrotem na stolik, zasypiając niemal natychmiast.

–Pani chyba nie rozumie – wyręczył niedysponowaną koleżankę Michał. – Podkomisarz Gucio mija się z prawdą i nie moszemy pani pomós.

Uśmiech ukazany przez policjanta pod koniec tego zdania był przejmująco miły.

–Państwa postawa jest skandaliczna! – niepotrzebnie uniosła głos pani primo voto coś tam. – Zgłoszę to odpowiednim organom! Nie są w stanie państwo nawet trzeźwo rozmawiać!

Obserwujący od pewnego czasu zdarzenie pan Zenek, szerokobarczysty ochroniarz, podszedł do stolika.



–Czy ta pani państwu przeszkadza? – spytał oficjalnie.

–Obawiam się, że tak – przyznał Kępiński.

–Proszę natychmiast opuścić lokal. – Wzrok pana Zenka skierowany w stronę dziennikarki był groźny i zdecydowany.

Paniusia prychnęła z oburzenia, ale szybko wycofała się i podreptała w stronę drzwi.

–Chamstwo, drobnomieszczaństwo i prymitywizm! – pomstowała, znikając za oparami dymu.

Pan Zenek nachylił się nad policjantem.

–Michał, kontaktujesz jakoś?

–Kiepsko – przyznał Kępiński.

–Mam kogoś wysłać, żeby ją przepytał?

–Nie, ale sprawdź, czy ktoś za nią poszedł.

–Załatwione.

–I każ mi przynieść mocnej kawy.

–Co?! – Bogdan Wilecki z wrażenia prawie usiadł na chodniku. Stali przed katedrą wiedeńską o nieocenionej austriackiej wartości historycznej, pokrytą dziwnym, niezrozumiałym, a zdaniem wielu – idiotycznym dachem. – Targałeś nas przez pół Europy, żeby teraz lecieć do Skandynawii?!

–Taki był plan – odparł szczerze Krzysztof.

–Po co nas narażałeś na telepanie się samochodem taki kawał, skoro to nie miało sensu? – spytała spokojnie, ale jednak głosem niepozbowionym niepokoju Ola.

–Miało – odparł Lorent. – Tak było naprawdę najbezpieczniej. W skrytce na tutejszym dworcu kolejowym czekają na nas bilety na samolot i pewne dokumenty. Lecimy za trzy godziny.

–Nie pytam nawet, co to za dokumenty – westchnęła Ola.

Profesor osunął się w końcu na najbliższą ławkę i ukrył twarz w dłoniach.

–Nie bój, Boguś. – Lekarka poklepała go po ramieniu. – W czasie podróży byłeś tak rześki, że przeżyjesz.

–Nienawidzę latać! – warknął przez zęby Wilecki.

–Jak ty się ślicznie złościysz. – Posłała w jego stronę zalotny uśmiech.

–Przecież jesteś naukowcem, musisz latać – zdziwił się Krzysztof.

–Staram się unikać.

–Boisz się? – spytała rozbawiona Ola.

–Nie boję się latać! Boję się spadać! – wycedził przez zęby Wilecki.

–Tym razem nic się nie stanie – oznajmił spokojnym i pewnym głosem Lorent.

–A ty skąd to wiesz?

–Wiem. Możesz mi zaufać. – Twarz Krzysztofa była elegijnie poważna. – Mówi do mnie mądrość wieków.

Profesor podniósł głowę i uważnie zmierzył wzrokiem Krzysztofa.

–No dobrze, jak trzeba, to trzeba. – Wstał i otrzepał ręce. – Wstąpmy jednak może do jakiegoś sklepu i kupmy chociaż ubrania na zmianę, to naprawdę dość krępujące... ta nieświeżość.

Lorent uśmiechnął się dobrotliwie.

–Na to z pewnością mamy pieniądze.

–No więc idziemy. – Wilecki wstał i rażno pomaszerował w stronę ulicy.

Ola podeszła dyskretnie do Krzysztofa

–Skąd wiesz, że z tym samolotem będzie wszystko w porządku? – spytała

szeptem. – Masz wizję czy coś w tym stylu, zdolności, które...?

–Boisz się latać? – przerwał Lorent.

–Nie.

–Nie mam najmniejszego pojęcia, co się stanie z nami za pięć minut, a co dopiero podczas lotu, ale to jedyny pomysł, jaki mi wpadł do głowy. Widzisz, jaki szczęśliwy?

– Wskazał na idącego kilka metrów przed nimi profesora. – W życiu przecież by nie wsiadł do tego samolotu.

–Dokąd lecimy?

–Do Kopenhagi, resztę powiem ci w drodze.

–A do grobowców cesarza zdążymy?! – krzyknął z oddali przez ramię Wilecki.

–Jasne! – Lorent uśmiechnął się. – Jeszcze ci się znudzą krypty i grobowce – dodał cicho pod nosem, ale Sambierska go usłyszała. Bała się jednak zapytać, co miał na myśli.

Trzy godziny później samolot wystartował o czasie z całą trójką na pokładzie. Nie popsuł się, nie odpadły mu skrzydła, a co najważniejsze, ponad wszelką wątpliwość nie spadł. Nie mieli także kłopotów z odprawą paszportową. Wszystko szło na razie dobrze, więc nawet nieznośny profesor stał się spokojniejszy. Gdy tylko samolot wpadał w niewielkie turbulencje, Wilecki natychmiast spoglądał na Lorenta, ten dawał mu znak, że wszystko idzie zgodnie z przeznaczeniem, więc opierał z powrotem głowę o fotel i uśmiechał się, choć za bardzo nie wiadomo do kogo.

Ola siedząca przy oknie wciąż patrzyła w dół, Krzysztof cicho się modlił, a profesor... się uśmiechał.

–A więc? – spytał wreszcie Wilecki.

–Tak? – Lorent wyrwany ze skupienia spojrzał pytająco na profesora.

–Miałeś powiedzieć, dokąd lecimy.

–Do Kopenhagi.

–A dalej?

–Do Roskilde, to trzydzieści kilometrów od lotniska.

–Wiem, gdzie jest Roskilde – mruknął niecierpliwie profesor.

–A ja nie wiem. – Ola wreszcie odwróciła się od okna. – Skoro już lecę z jajogłowymi mądralami, może ktoś mi wyjaśni.

Błysk w oku Wileckiego dał do zrozumienia Krzysztofowi, że ma przez pewien czas siedzieć cicho, aby dać szansę mu się popisać.

–To pierwsza stolica Danii – wyjaśnił łaskawie, nie rezygnując z uwodzicielskiego uśmiechu. – Już w epoce wikingów to był ważny ośrodek władzy. Pierwszy chrześcijański król, Harald Sinozęby, ufundował tam drewniany kościół, w którym zresztą został pochowany. Potem zastąpiono go pierwszą w Skandynawii budowlą murowaną. Wkrótce tamtejsze biskupstwo stało się najbogatsze i najpotężniejsze w

całym kraju. A od czternastego wieku w katedrze byli i są chowani władcy duńscy. Na pewno znajdziemy czas, aby ją zwiedzić, pokażę ci... – nagle przerwał i spoważniał, po czym spojrzał na Lorenta.

–Dobrze mówisz – upewnił go Krzysztof, z uznaniem kiwając głową i nie zwracając uwagi na duszącą się ze śmiechu za plecami Wileckiego, Olę.

–Skarb... *unius oculi*... – profesor zaakcentował każdą sylabę. – Czy to jest to, co myślę?!

–Możliwe – odparł spokojnie Lorent.

–A moglibyście tak bardziej po ludzku? – burzyła się Sambierska.

Wilecki odwrócił się w jej stronę.

–Skarb *unius oculi*, czyli...

–Znam łacinę, jełopo, jestem lekarką – mruknęła gniewnie. – Skarb Jednego Oka, to tylko nazwa. No i co z tego?

–To nie tylko nazwa. – Profesor uśmiechnął się, nie zważając na ściągnięte brwi i jej ślicznie zaciśnięte, jak uważał, usteczka. – Jak podejrzewam, nasz drogi ksiądz, przepraszam, były ksiądz, wiezie nas do katedry w Roskilde do grobowca Chrystiana IV, mam rację?

Krzysztof przytaknął z uznaniem, a Ola zamieniła się w jeden wielki znak zapytania.

–Gdzie jest ten skarb? – spytał rozemocjonowany naukowiec. – W grobowcu, gdzieś obok?

–Pod podłogą w pobliżu jego trumny – wyjaśnił spokojnie Krzysztof.

–Jakiego Chrystiana?! – Sambierska się buntowała.

–Poczekaj chwilę! – upomniał ją profesor i odwrócił się do Lorenta. – Jak chcesz się do niego dostać? Przecież uzyskanie pozwolenia zajmie całe tygodnie!

–Nie poczekam! – oświadczyła zdecydowanie Ola.

–Chrystian IV – wyjaśnił niecierpliwiej lekarce Wilecki – w bitwie ze Szwedami w Zatoce Kilońskiej w 1644 roku stracił oko. Duńczycy nawet śpiewają o tym w swoim hymnie. Pod jego trumną ukryto skarb, tylko co w nim jest?

–Teraz sam nie wiem – przyznał Krzysztof. – Skoro powiedziałaś, że profesor Link o tym wiedział, liczę na jakąś wiadomość od niego. Nie mam tylko pojęcia, jak to możliwe...

–W tym ci nie pomogę. Wiem, że zasugerował taką właśnie „skrzynkę kontaktową”. Być może zostawił tam po prostu swój adres.

–A więc ma do nas ważny interes.

–Ma do ciebie ważny interes – poprawiła Ola. – Ja tylko miałam cię wyleczyć ze schizofrenii, a on powinien dalej podrywać swoje studentki. Wciąż nie mogę uwierzyć, że siedzę w tym samolocie.

–Ale ci się zebrało... – skrzywił się Wilecki. – A właśnie! – Uniósł palec, jakby przypomniał sobie coś szczególnie ważnego i znów spojrzał na Lorenta. – Nie odpowiedziałaś na pytanie. Jak chcesz zdobyć pozwolenie na rycie podłogi w największym zabytku Skandynawii?!

–Nikommu nie możemy o tym powiedzieć – przyznał spokojnie Krzysztof. – Nie

**będzie żadnego występowania o pozwolenie.**

**–Nie... – Szczęka opadła profesorowi tak spektakularnie, że jego miny w żaden sposób nie można było określić mianem inteligentnej. – Nie myślisz chyba...**

**–O włamaniu? – upewnił się Lorent. – Właśnie o tym myślę – dokończył beztrasko.**

**Kac na tyle mocno dawał się we znaki, że nie obyło się bez stosownych proszków. Michał zwlókł się z kanapy i niepewnym krokiem doszedł do sypialni. Ewa w ubraniu i w butach spała na łóżku jednej z jego córek. Kępiński podszedł do policjantki i potrząsnął lekko za ramię.**

**–Ewa...**

**–No? – chrapnęła, niechętnie się budząc.**

**–Właściwie jest rano – powiadomił ją, spoglądając dla pewności przez okno.**

**Zasłona była tylko częściowo zasunięta i prześwitywało przez nią słońce.**

**–Jest niedziela, darujmy sobie – rzekła z wysiłkiem. – Twoje córki są u dziadków, mamy dziś wolne.**

**–Niezupełnie – przyznał markotnie Michał. – Trochę się boję o tę dziennikarkę.**

**–Nie rozumiem.**

**–Śledzili ją. Nas zresztą też.**

**–To oczywiste, a czego się spodziewałeś?**

**Michał poszedł do kuchni, aby nalać sobie szklanek zimnej wody, pociągnął dwa łyki i wrócił do sypialni.**

**–Pamiętasz, z jakiego tygodnika była ta kobieta?**

**–Nie. W ogóle jej nie pamiętam.**

**–Trzeba zadzwonić do firmy.**

**–I co im powiesz? Że chroniąc własne tyłki, spowalniamy śledztwo i oddajemy dowody przestępcom?**

**–To niekoniecznie musi być tak. – Michał raptownie złapał dłonią za czoło.**

**Gwałtowny ból na szczęście po chwili minął.**

**Ewa pokręciła tylko z dezaprobatą głową.**

**–Wiem! – wybuchnął nagle Kępiński. – Zadzwonimy do firmy i poprosimy do telefonu Gucia. Nie na jego komórkę czy nawet do pokoju, tylko do „szklarni”, do dyspozytora.**

**–A jak nas po prostu połączy?**

**–To znaczy, że wszystko jest OK. Umówimy się z tym jemiółem i zmusimy jakoś do milczenia. Jeśli dziennikarce coś się stało, z pewnością wszyscy już będą o tym wiedzieli.**

**–A jak nie?**

**–Gdyby coś jej zrobili, na pewno postaraliby się, abyśmy się szybko o tym dowiedzieli. W ten sposób próbują nas szantażować.**

**–Pewnie tak – przytaknęła Nowicka. – Ale jeśli ta dziennikarka wyszła ze wszystkiego cała, zacznie szaleć i wtedy leżymy.**

**–W razie czego znajdziemy ją.**

**–I przyznasz się?**

Michał podniósł krytyczny wzrok na koleżankę. Do tej pory wpatrywał się w podłogę, próbując coś wymyślić, ale teraz destruktyny kac Ewy zaczął go wkurzać.

–Czego trujesz?! Przecież nawet jej nie pamiętasz! – zauważył cierpko.

–Pamiętam pytania, a to wystarczy. – Machnęła ręką. – No dobra, dzwoń.

Michał podszedł do telefonu i wystukał numer. Gdy się połączył, usłyszał znany mu głos Karola Pędzicha, często dyżurującego w „szklarni”.

–Hej Karol, jak życie? – spytał, udając bez troskę.

–Będziecie dzisiaj?

–Co jest grane?

–Gucio jest w szpitalu.

Michał bezradnie zwiesił głowę.

–Dlaczego nie zadzwoniłeś? – jęknął, zaciskając zęby.

–Wszyscy wiedzą, że wczoraj ostro łykaliście. Po cholere wasze mordy miały obsmarować telewizory?

–Teraz jesteśmy trzeźwi. Mów, gdzie on jest!

–Na Stępińskiej.

–O mój Boże... w tym śmietniku?! Dlaczego nie na Wołoskiej? Jak jest?

–Nieźle. Tylko trochę poturbowany, wyjdzie za dwa, trzy dni.

Michał ciężko wypuścił powietrze z płuc.

–Jedziemy do niego – rzucił do Pędzicha i rozłączył się. – Słyszałaś?

–Głuchy by usłyszał – mruknęła Ewa. – Gada, jakby miał megafon w gardle.

–Wsadź łeb pod kran i zapieprzamy do gnoja.

–A dziennikarka?

–Zgadnij, co się z nią mogło stać, skoro Guccio leży w szpitalu, a ona ganiała po mieście z wypisanym na czole nowym tematem?!

Krzysztof zszedł z pomostu, przy którym stała pięknie odrestaurowana, długa, czarna łódź, z żółtawym pokładem. Kiwała się na wietrze, udając prawdziwy normański okręt, radując zwiedzające muzeum dzieci i Japończyków z aparatami. Prawdziwe jednak muzeum zaczynało się za przystanią w wielkim budynku Vikingeskibsmuseet. Tam właśnie skierował się teraz Lorent, idąc w skupieniu, milczący i jakby smutny. Ola przyglądała mu się od dobrych paru minut, nie miała jednak odwagi o cokolwiek zapytać. Dreptała tylko za nim, bojąc się odstąpić nawet o krok. Profesor biegał oczywiście po wszystkich chatkach zrekonstruowanych na potrzeby turystyczne i z łapczywością ciekawego wszystkich szczegółów dziecka zapisywał w kajeciku każdą myśl, komentarz, uwagę dotyczącą ekspozycji. Najwięcej jak do tej pory czasu spędził w chacie, gdzie rzemieślnik rzeźbił zamówione przez gości pamiątki, a nawet – jak się okazało – był w stanie ze swoim zespołem wybudować całą łódź, jaką zażyczył sobie pewien bogaty przemysłowiec z Francji. Wilecki wbiegł potem do szalasu z sieciami, grotami i mapami, a następnie przemaszerował po pomoście, gdzie stały przycumowane repliki, ale oczywiście siedział przy każdej z nich pół godziny dłużej niż reszta.

–Roskilde – mruknął cicho Krzysztof.

–Byłeś tu kiedyś? – spytała niepewnie Ola.

–Dawno temu – odparł smutno.

–Jesteś jeszcze młody. – Lekarka próbowała rozładować atmosferę. – Nic nie może być aż tak dawne, żeby wywoływało smutek.

Lorent przeniósł wzrok na Olę i uśmiechnął się delikatnie.

–Może – powiedział po chwili, odwracając się ponownie w stronę fiordu.

Ola ważyła w myślach opłacalność następnego pytania. Dać mu spokój, co być może odsunie na pewien czas bolesne wspomnienia, czy zaspokoić potworną ciekawość, ryzykując pogorszenie stanu pacjenta? Niemal natychmiast wybrała zdecydowanie mniej szlachetną opcję.

–Jak dawno temu tu byłeś ostatni raz? – spytała odważnie.

Krzysztof ponownie zamyślił się. Odczekał chwilę, zanim odpowiedział.

–To było niezwykle – zaczął wreszcie. – Nie zrozumiesz. – Jego wzrok ponownie utkwił gdzieś pośrodku fiordu.

–Daj mi szansę i opowiedz wszystko! – podjęła z pasją. – Zrozumiem.

–Nie sądzę.

–Sprawdź mnie, chyba wreszcie nadszedł czas, żebyś mi zaufała!

–No dobrze... – zgodził się, popadając znowu w coś w rodzaju melancholii. – Gildenlöv... Hallgren...

–To twoi przyjaciele z czasu Normanów?! Byli wikingami?!

–Nie – odparł spokojnie. – Są członkami grupy rockowej Pain of Salvation, mojej ukochanej. Grali tu na Roskilde Festival dwa lata temu. To było przeżycie... Ta niesamowita gitara Hallgrena, śpiew Daniela Gildenlöwa. Mówiłem, że nie zrozumiesz...

–Ty potworze! – Rzuciła się wściekła z pięściami na Lorenta. – I ty byłeś księdzem?! Nienawidzę cię!

Krzysztof roześmiał się, bohatersko odpierając ciosy.

–Żałuj, że nie byłaś. Przyjechałem tu z bratem Albertem Ponudzkim i oczywiście z Bzdetem. Ale oni woleli Opeth. Szczególnie kawałki z płyty *Damnation*.

Zajęta okładaniem swojego pacjenta, Sambierska nie zauważyła, jak dołączył wreszcie do nich profesor.

–Dlaczego go bijesz? – spytał rzeczowo.

–Jego poczucie humoru właśnie zważyło mnie z nóg, więc odzyskuję formę – warknęła przez zęby.

–Idziemy tam? – spytał z nadzieją, wskazując wielki, białawy i raczej biurowato wyglądający budynek głównego muzeum, po czym, nie czekając na odpowiedź, rażno ruszył w tamtym kierunku.

–*Animae partus*[\[51\]](#) – mruknął pod nosem Krzysztof, gdy już darowano mu resztę kary i podążył za Wileckim.

Słoneczna, letnia pogoda sprzyjała sielskiej atmosferze i zapominaniu o kłopotach. Przynajmniej na pewien czas. Pieniądze Bzdetę powoli kończyły się, ale nikt nie śmiał odmówić profesorowi kupna biletów, choć sporo kosztowały. Zapłacili prawie dwieście koron, ale przerwa w przynudzaniu była z pewnością warta znacznie więcej.

–Tyle razy miałem tu przyjechać – wzdychał Wilecki, chodząc między gablotami z pozostałościami broni, ubrań, a nawet szkieletów wikingów. – Nigdy nie starczyło czasu...

–Srutututu – burknęła pod nosem wciąż rozdrażniona Sambierska. – Jak by się chciało, to by się przyjechało, zamiast pieprzyć studentki w przerwach między modlitwami do własnego portretu.

–A oto i słynne statki! – wyrecytował profesor, który na szczęście nie usłyszał uwagi pani doktor. Wyszedł na coś w rodzaju balustrady, na piętrze, gdzie zebrano większość drobnych eksponatów, i wskazał ręką na dół. Z tego miejsca, kilka metrów ponad salą okrętów, doskonale było widocznych pięć wraków łodzi normandzkich, każdy z nich innej wielkości, wszystkie jak na swój wiek niezłe zachowane. Drewno szerniało, wyschło, ale w wielu miejscach zachowało oryginalny kształt, jaki nadali mu mistrzowie sprzed dziesięciu wieków. Na szczęście ręce konserwatorów nie zniszczyły tego, co najwartościowsze, nie odebrały, nachalnym uzupełnianiem brakujących elementów, pierwotnego charakteru okrętów, nie starały się być mądrzejsze od historii. Na szczęście.

Zgodnie z przewidywaniami, profesor, schodząc po schodach, przejął rolę przewodnika.

–Te statki wydobyto na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, a w 1969 roku udostępniono je zwiedzającym – zaczął wesoło. Humor miał wyśmienity, nie było sensu mu nawet dokuczać, bo i tak dzisiaj by tego nie zauważył. – Przez całe lata uważano, że zatoneły w pobliskiej zatoce w czasach Małgorzaty[52], w [tajemniczych okolicznościach. Później jednak odkryto prawdę. – Profesor zawadiacko uniósł brwi. – Statki powstały i poszły na dno znacznie wcześniej, bo w jedenastym wieku. Dziś już także wiemy, dlaczego zatoneły. Zapobiegając atakowi Norwegów z tej strony fiordu, celowo to zrobiono, aby stworzyć barierę ochronną. Gdzie je zbudowano, też już dokładnie wiemy – przerwał na sekundę, aby odpowiednio uwypuklić znaczenie ostatniego zdania. – W 1042 roku na Islandii.](#)

–No i widzisz, jakie to proste? Stworzyć i dostosować do odpowiednich teorii, pasujących robiącym akurat wtedy doktoraty naukowcom, historię, która będzie obowiązywała przez wieki. – Krzysztof uśmiechnął się, choć niezbyt entuzjastycznie.

–To poparte dogłębными badaniami teorie. Można już je potraktować jako fakty historyczne. – Wilecki zmarszczył brwi.

–A jeśli ci powiem, że te statki są jeszcze starsze i nie zatopiono ich ze strachu przed Norwegami? Że zbudowano je tu, no może z wyjątkiem jednego, o tamtego. – Lorent wskazał na trzydziestometrowy wrak.

Wilecki skrzywił się, ale ciekawość była silniejsza od chęci wdawania się w sprzeczkę.

–Rzeczywiście sprowadzono go z Islandii – ciągnął Krzysztof. – Ale nie w 1042, a w 966 i należał do świty samego wielkiego Haralda Sinozębego. Stary król uwielbiał ten statek jak swojego mauretańskiego szakala.

–Jakiego szakala? – zdziwił się profesor.

–Nareszcie – szepnęła do siebie Ola i słuchała jak urzeczona, licząc, że Wilecki w

końcu się zamknie i przestanie przeszkadzać.

–Nieważne. – Lorent uśmiechnął się. – Harald wprowadził chrześcijaństwo na te ziemie, uczynił Danię potężną, wielką i posłuszną Bogu. A kiedy tego dokonał... zdradził go własny syn. Chciał całej władzy jeszcze za życia sędziwego ojca. Pragnął panować w Danii, Norwegii i Szwecji, a nawet na ziemiach Anglów i Sasów. Ich konflikt na całe lata zatrął krew wielu braci, aż wreszcie tu, w miejscu, w którym stoisz, Tveskaeg, syn Haralda, został ostatecznie ojcobójcą. Kazał zatopić stojące w Roskilde statki, aby nikt nie mógł uciec, i podstępnie wymordował niemal wszystkich, którzy stali tej nocy przy królu. Garstce wikingów cudem udało się uciec i schronić w Jumne, mieście na wyspie dzisiaj zwanej Wolinem.

Na twarzy Lorenta pojawił się nigdy niewidziany przez profesora i lekarkę gniew.

–Co było dalej?! – spytał niecierpliwie Wilecki.

–Stary król przebywał wśród uciekinierów. Ciężko ranny dotarł do Jumne, gdzie zaopiekowali się nim Słowianie. Byli jeszcze poganami, ale dusze mieli szczerze i szlachetne. Niektórzy historycy mówili później, że ta garstka Normanów założyła tam miasto Jomsborg. To oczywiście nieprawda. Królowi, nawet jeśli tego chciał, nie starczyłoby życia. Wkrótce umarł z wycieńczenia i ran. Jomsborg to po prostu imię szakala, ukochanego zwierzaka Haralda, podarowanego mu przez księcia Maurów. Wierny sługa Godfred sprowadził w tajemnicy ciało swojego pana z powrotem do Roskilde, a nie – jak myśli wielu – do Jelling, i pochował. Tveskaeg dowiedział się o tym tydzień później, ale nie śmiał ruszyć grobu. Harald spoczywa tu do dziś. Jednak już wtedy istnieli słudzy szatana na Ziemi. Straszny Palnatoke, niegdyś nauczyciel Tveskaega, a później najbliższy doradca, odnalazł Godfreda i z zemsty zgładził go, przybijając do krzyża. Palnatoke nienawidził chrześcijan i wszystkiego, co chrześcijańskie. Od wczesnej młodości księcia wpajał mu niechęć do nowej religii, aż wreszcie doprowadził do buntu przeciwko ojcu. W rezultacie na pewien czas sprowadził na dwór władcy dawnych bogów. Nikt tak naprawdę nie ma pojęcia, skąd pochodził, ale bez wątpienia nie był wikingiem. Wielu historyków, z tego, co wiem, nie ma nawet pewności, czy w ogóle istniał. Ale istniał. W domu Bzdeta przeczytałem w Internecie, że badacze podejrzewają, iż przybył z Polski. *Toke Pallesen, den Polske tolke* – w wolnym przekładzie „tłumacz z Polski”. To oczywiście nonsens. Nazwa „Polonia”, a później „Polska” pojawiła się ponad sto lat później. Mówimy dziś o plemionach Polan i Wiślan. To także uproszczenie, dwa największe plemiona tych ziem również nosiły oczywiście trochę inne nazwy. Palnatoke rzeczywiście przybył z Polski, skąd wypędzono go, podejrzewając o szpiegowanie na rzecz Niemców. Nawet ja nie wiem, czy to była prawda. Gdyby przyboczni Mieszka mieli co do tego pewność, drań nie uszedłby z życiem. Palnatoke nie był Polakiem. Pochodził ze wschodu, z ziemi Rusów, ale skąd dokładnie, nigdy nikomu nie powiedział.

–A ty? – spytała nieśmiało Ola.

–Ja?

–Tak, ty. Skądś przecież to wiesz...

Krzysztof zszedł wolno po schodach i usiadł na drewnianej ławce naprzeciwko jednego z wraków. Nabrał głęboko powietrza do płuc i utkwiał wzrok w podziurawionej



**jak sito burcie.**

**–Pewien młody wiking – zaczął ponownie, lecz trochę jakby ciszej – wychowany na dworze Haralda, wiódł beztrudne życie, pełne zabaw, malowniczych wypraw, romansów.**

**Świat był prosty, kolorowy, bujny i pusty... aż pewnego dnia do Jelling zjechała świta młodej żony króla Szwecji Eryka VIII – Sygrydy. W jego umyśle, znudzonym zbyt spokojnym życiem dworskim i nieistotnymi miłostkami z prymitywnymi dziewczątkami z okolic Jelling, pojawiła się nieznana mu do tej pory... iskierka. Bóg chciał, by nigdy już nie zgasła.**

**Sygryda była córką Dagome, czyli... Mieszka, księcia Polaków. Przyjechała, aby zawrzeć sojusz przeciwko Norwegii, a w rezultacie wyjść za Tveskaega, gdy Eryk odejdzie już z tego świata, na co potajemnie godził się stary i schorowany szwedzki władca, lecz ona... pokochała rycerza króla Haralda. Dla tej miłości młody wiking poświęcił wszystko; dotychczasowy spokój, przywiązanie do króla, a nawet... honor. A więc kiedy wybuchła wojna między ojcem i synem, młody wiking opuścił swojego starego króla, aby być bliżej ukochanej. Dla tej siedemnastoletniej bogini spalił wszystko, na czym opierał się cały jego dotychczasowy świat. Patrzył, jak niszczonego wielkiego Haralda, jak niweczono jego dzieło, i nie zrobił nic. Sprawiedliwe przeznaczenie przygotowało jednak dla niego straszliwą karę. Tveskaeg dowiedział się o potajemnej miłości kobiety, która miała zostać jego żoną, i młody wiking musiał uciekać przed jego gniewem. Pomógł mu kochający go nad życie starszy brat, szczególnie że rycerz od ponad tygodnia ciężko chorował. Co mu było? Lorent uśmiechnął się smutno.**

**–Ktoś wszechpotężny otworzył przed nim jakąś bramę, straszną i piękną, a pamięć sięgnęła wszystkich czasów. Zaczął żyć tam i wszędzie jednocześnie, a jedyne, czego nie wiedział, to kim naprawdę był i dlaczego...**

**Kapłan wstał i wolno poszedł w stronę wyjścia. Ola i profesor tkwili jeszcze przez pewien czas nieruchomo przy ławce, nie wiedząc, co zrobić ani o co zapytać.**

**–Kochałem ją... – szepnął cichutko do siebie Krzysztof, znikając w tłumie turystów. Ale nawet jeśli ktoś go usłyszał, z pewnością nie miał szans niczego zrozumieć. Powiedział to w starym języku Danów.**

**Białe, brudne ściany szpitalne, nieodnawiane od wieków, straszyły szpetotą nie tylko pacjentów, ale przede wszystkim członków odwiedzających ich rodzin. Coś śmierdziało od strony korytarza, i to raczej nie lekami, lecz Ewa i Michał mieli poważniejszy problem. Z okutaną bandażami głową, z nogą w gipsie na wyciągu, patrzył na nich jeszcze bardziej niż zwykle głupkowskim spojrzeniem wciąż wystraszonego podkomisarza Załuska. Leżał na sali sam, choć trudno powiedzieć, jak to załatwiono, ważne, że mogli dzięki temu spokojnie porozmawiać.**

**–Jak leci? – spytał bez sensu Kępiński, ale wiedział, że Guccio bez „gry wstępnej” w życiu niczego nie wyduka.**

**–No... tak... nie za dobrze, panie komisarzu. Potknąłem się...**

**–A tak na poważnie?**

**–Ja nic nie widziałem. To jakieś łobuzy pewnie, dużo ich było i ciemno było.**

**Właściwie nic nie pamiętam. I broni nie zdążyłem wyjąć...**

**–Na twoje szczęście – mruknął do siebie Michał.**

**Ewa zauważyła, że ręka Gucia spoczywająca na prześcieradle po ich stronie coraz wyraźniej mu się trzęsie, a rozbiegany wzrok wskazuje, że jeszcze chwila i zsika im się tu ze strachu.**

**–Spokojnie. – Uśmiechnęła się przepisowo. – Czasem tak się zdarza, nieważne. Ważne, że żyjesz. Mamy tylko do ciebie jedno pytanie.**

**–Ale ja nic nie wiem! – wyskamdła gwałtownie Gucio.**

**–Jeszcze nie zadałam ci pytania.**

**–Ale ja i tak nic nie wiem, wydaje mi się, że coś mi w głowę zrobili, myli mi się wszystko, nic nie pamiętam...**

**–Weź się w garść do cholery! – przerwał groźnie Michał. – Skup się i odpowiedz jak najprościej: co powiedziałaś dziennikarce?**

**–Jakiej dziennikarce?**

**–Srakiej! Takiej, która trafiła dzięki tobie do nas do Słonia! Młoda, upierdliwa i bystra mniej więcej tak jak ty. Przypominasz już sobie?**

**–Chciałbym, ale nic nie pamiętam – jęknął Załuska.**

**–Guciu – podjęła łagodnie Ewa. – Tu chodzi o jej życie.**

**Musimy ją znaleźć i ostrzec.**

**Olbrzym wyglądał komicznie w przykrótkim łożku i koszuli, która opinała potężne ramiona policjanta niczym skafander pletwonurka. Patrzył teraz bezradnie to na Michała, to na Ewę i, jak zgadywali, trawił wszystko w swojej wielkiej, biednej, skołatanej łepetynie.**

**–Nic nie wiem – rzekł po chwili, odwracając głowę do okna.**

**Bogdan Wilecki najpierw stał się purpurowy, potem siny, później nawet trochę zielony, a na końcu klasycznie poczerwieniał.**

**–Nie, nie, nie, nie, nie!!! – wydusił, wszystkimi kończynami oraz głową podkreślając swój sprzeciw.**

**–Ciszej! – upomniał go Krzysztof, rozglądając się konspiracyjnie dookoła. – Jesteśmy w domu bożym.**

**–Jesteśmy w jednym z najważniejszych zabytków Europy! – warknął przez zęby „krzyczącym” szeptem. – A ty chcesz mnie namówić, abyśmy tu przyszli w nocy, rozborowali czterystuletnią posadzkę, zbeczcścili grób Chrystiana IV i ukradli stąd coś, co ty uważasz za swoje?! Chyba naprawdę do końca ci się pomieszało w głowie!**

**–Sam przecież mnie tu doprowadziłeś, mówiąc mi o skarbie Jednego Oka.**

**–Nie miałem pojęcia o tym, co to jest! Jesteś pomyłony tak jak Link! Obaj macie nie po kolei pod sufitem! Zabierz go z powrotem do szpitala, nic tu się już nie da zrobić! – Spojrzał błagalnie na Olę. – A ja idę utopić się w fiordzie Roskilde.**

**Przynajmniej zginę śmiercią bohaterskiego naukowca w miejscu jak najbardziej mnie godnym!**

**–Wiesz, że nie ma innego wyjścia – odparła spokojnie Sambierska. – Inaczej nie znajdziemy profesora, a bez niego ani rusz!**

**Lekarka rozejrzała się po katedrze Domkirke, pośrodku której stali.**

–Naprawdę tu ładnie. – Pokiwała głową z uznaniem.

–Ładnie?! – oburzył się Wilecki. – Tu spoczywa trzydziestu dziewięciu władców Normanów i duńskich. To miejsce kultu od ponad tysiąca lat! Ołtarz, który tam widzisz – wskazał w stronę prezbiterium – powinien od prawie pięciuset lat być w Polsce! W 1560 roku płynął z Antwerpii statkiem do Gdańska, ale w Helsingor jakiś kretyn celnik wymyślił sobie, że kapitan chce go oszukać, zaniżając wartość arcydzieła, i skonfiskował wszystko. Jakoś do dzisiaj sprawy nie odkręcono. W kaplicy Chrystiana IV, przypomnę, że to właśnie ta, którą mamy okraść, jest unikatowy posąg władcy, dłuta Thorvaldsena[53]. Fenomenalny, bo nie upiększający, jak to zwykle bywało, ale całkowicie realistyczny. Dzięki temu wiemy, jak wyglądał! Na sarkofagu Małgorzaty I...

–O! Tu jest fajnie – przerwała mu karygodnie Ola, wchodząc do pierwszej po prawej stronie kościoła kaplicy. Stała naprzeciwko ogromnego nagrobka z białą rzeźbą jakiegoś króla, leżącego z dłońmi złożonymi do modlitwy. Grób otaczały liczne kolumny wyrzeźbione w różnych stylach. Cztery z nich, frontowe, przypominające układ dorycki, z fioletowo-białego marmuru, cztery podwójne, czworokątne, grafitowe, wspierały marmurowe zwieńczenie, na których osadzonych było kilka białych rzeźb. Czyich? – Ola nie miała pojęcia. Obok wyrastał bardzo podobny grobowiec, równie okazały i piękny.

–Kaplica Trzech Króli – przyszedł oczywiście z pomocą profesor, podążając za lekarką. – To grobowce Chrystiana III i Fryderyka II. Oba z drugiej połowy szesnastego wieku.

–Naprawdę niezłe. A gdzie ten trzeci król?

Wilecki roześmiał się pod nosem. Sambierska umiała poprawić mu humor w każdej sytuacji, nawet jak mu dokuczała.

–Nie przejmuj się trzecim królem – zaproponował dobrotliwie. – Lepiej zwróć uwagę na to.

Podszedł do brązowej marmurowej kolumny stojącej niemal pośrodku kaplicy.

–Przez całe lata mierzono tu znamienitych gości. Taki zwyczaj – wyjaśnił. – Popatrz, czerwoną farbą zaznaczono wzrost na przykład Piotra I, cara Rosji, rycerza z Edynburga – Marka, wielkiego władcy Syjamu, czyli Tajlandii, Bhumibola, który – jak widać – taki wielki nie był...

–W przeciwieństwie do Piotra – zauważyła z uśmiechem Sambierska.

–Miał prawie dwieście dziesięć centymetrów wzrostu w butach, ale nawet on musiałby zadzierać głowę, gdyby chciał pogadać z Chrystianem I. Facet mierzył prawie dwieście dwadzieścia centymetrów. Nie sądzę, aby dorównywał mu którykolwiek z dzisiejszych koszykarzy.

–Małgorzata Dydek – wtrącił Krzysztof, wolno wchodząc do kaplicy.

–Kto?

–Nasza koszykarka. Ma dwa metry dziewiętnaście centymetrów wzrostu, i to bez butów na koturnach.

Wilecki machnął ręką i ponownie wpadł w zły humor. Widok Lorenta i wspomnienie planowanego „skoku” na katedrę każdorazowo powodowało dotkliwy

**ścisk w żołądku.**

**–Kiedy żył ten Chrystian? – spytała wesoło Ola, próbując za wszelką cenę rozładować atmosferę.**

**–W piętnastym wieku. – Profesor uśmiechnął się łaskawie. – Nie mogli się znać z Piotrem Wielkim. Rosjanin urodził się blisko dwieście lat po śmierci Duńczyka.**

**–Pomożesz nam? – spytała znienacka.**

**–I ty Brutusico?! – oburzył się Wilecki.**

**–Mówiłam ci, nie mamy wyjścia. Tylko tak możemy uratować życie.**

**–Akurat! Złapią nas i wsadzą do więzienia na wieki. Wolę skoczyć w wody fiordu Roskilde! – zadeklarował dramatycznie profesor.**

**–Odwdzięczę się – zaproponował Krzysztof ze śmiertelnie poważną miną.**

**–No, wspaniale! – jęknął Wilecki. – Ta Ewa wciska mi jabłko, udając zainteresowanie sztuką, ale to jeszcze nic, okazuje się, że mamy do pomocy węża kusiciela, i to księdza! Tylko mi nie mów, że byłego! Książdz to książdz! A wszystko się rozgrywa w jednej z najznamienitszych katedr świata! Nie dam rady dotrzeć do fiordu, zaraz tutaj padnę trupem!**

**–Nie udaję zainteresowania sztuką! – oburzyła się Ola. – Jestem dumna, że mogę tu być!**

**–Dam ci wiedzę, o której nawet ci się nie śniło – kusił dalej Lorent.**

**–I co z nią zrobię?! Zabiorę, jak ty, do grobu? Nie rozumiesz, że nigdy nikt poważny ani tobie, ani mnie nie uwierzy bez dowodów?! Jesteś tylko wybrykiem natury, pomyłką, a dla wszystkich, którym będziesz chciał opowiadać te łzawe historie o wikingach, pozostaniesz wyłącznie szaleńcem!**

**–To prawda – zgodził się Krzysztof. – Ale wiedza nie służy tylko chwale i sławie. Pomyśl, będziesz wiedział! Tylko ty. To, czego nikt nigdy już się nie dowie. Nie warto dla czegoś takiego popełnić małego przestępstwa?**

**–Dla czegoś... No, na przykład dla czego? – spytał nieśmiało.**

**–Za to, co tutaj zrobisz, zdradzę ci na przykład... skąd przybył do Polski Mieszko I, pasuje?**

**–Mieszko I?**

**–Tak. Pierwszy władca Polski. Mieszko numer jeden.**

**–A skąd miał przybyć? Był na ziemiach polskich od urodzenia. Tam urodzili się jego ojciec i dziad.**

**–Czyżby? – Krzysztof zawadiacko przymrużył oczy.**

**Żołądek profesora ponownie dał znać o sobie, mimo że Ola od pewnego czasu starała się znieczulić obolałą duszę Wileckiego, głaszcząc go opiekuńczo po głowie.**

**\* \* \***

**Michał wyszedł na korytarz i ze złością kopnął rozwalającą się listwę przypodłogową.**

**–Co tu się robi?! – podniosła wrzask starszawa pielęgniarka gotowa ciałem i duszą, co widać było od pierwszego wejrzenia, do „robienia porządku”. Jej twarz zdradzała nieograniczoną miłość do władzy, choćby tej najskromniejszej, poprawiania świata i karania nieposłusznych. Wyniosły wzrok miał z miejsca**

wzbudzać strach i podkreślać, kto tu jest górą. Warto sobie uzmysłowić, ile szczęścia zafundował ciężko pracującej funkcjonariuszce kulejącej służby zdrowia taki gość jednym, niefrasobliwym kopnięciem w ścianę, akurat kiedy tędy przechodziła. Nudny dzień natychmiast nabrał kolorów.

–Ja będę to później naprawiała?! – kontynuowała pokaz siły pielęgniarka. – I co teraz będzie?! Natychmiast do pokoju przełożonej pana proszę! Proszę szybko!

–Niech pani nam wybaczy – poprosiła Ewa. – Mamy ciężki dzień.

–A co mnie to obchodzi?! Do pokoju proszę, bo ochronę wezwę!

–Już wychodzimy, nie chcemy kłopotów – uspokajała Ewa.

–Czy ja nie powiedziałam?! – Pielęgniarka założyła ręce na biodra i jeszcze raz zmierzyła wzrokiem swoje ofiary. – A pani to się uczesać powinna! Nie wstyd tak chodzić jak czupiradło?! I młodzież patrzy!

Ewa westchnęła głęboko, bo, niestety, wiedziała, co się dalej stanie. Mogłaby scenariusz następnych kilkudziesięciu sekund napisać teraz na kartce i raczej bez ryzyka wszystko by się zgadzało. Zamknęła więc na chwilę oczy, licząc, że starucha jakoś przeżyje.

Michał wysunął się przed koleżankę.

–I co?! – warknęła pielęgniarka. – Na co pan czeka?

–Zamknij się, starucho... – Kępiński zaczął cedzić przez zęby słowa. – Bo jak powiesz jeszcze jedno słowo, wetknę ci szczotkę, która stoi tam pod ścianą, w tę twoją obleśną dupę, a następnie wyczyszczę tobą sufit. Zrozumiałaś, jędo?

–Ja... ja... – Przerazenie w oczach pielęgniarki zmieszało się z nieopisaną wściekłością. – Ja wezwę... policję...

Zabrakło jej słów, więc zaczęła nerwowo tupać nogami.

–Daj spokój, Michał – próbowała powstrzymać kolegę Ewa. – Ona zaraz zacznie toczyć pianę, a nie chcę na to patrzeć.

–Zrozumiałaś?! – wrzasnął nagle na cały korytarz, aż niektórzy chorzy się obudzili.

–Pooooliicjaaa! – wycharczała starucha, wciąż tupiąc ze złości.

Kępiński szybko wyjął z kieszeni legitymację i podsunął pielęgniarce tuż pod nos.

–Ja jestem policja, czarownico! I lepiej zejść mi z oczu... – Michał zaczął iść w jej stronę, więc, chcąc nie chcąc, funkcjonariuszka służby zdrowia musiała się cofać. – W tym szpitalu zmarła moja żona, przez takich jak ty! – kontynuował z pasją Kępiński. – Ktoś coś źle podłączył, ktoś nie podał narzędzia, ktoś zaniedbał... Módl się od dzisiaj, żebym nie sprawdził, czy akurat nie miałaś wtedy dyżuru, stara jędo, bo wiem, gdzie trzymacie skalpele, a wielu biednych ludzi czeka na narządy...

–Ratunku!!! – zaczęła wrzeszczeć wniebogłosy pielęgniarka, decydując się na natychmiastową ucieczkę. Biegła korytarzem do pokoju pielęgniarek, drąc się, jakby ktoś ją obdzierał ze skóry.

Awantura oczywiście wywołała ciekawość pacjentów, których głowy pojawiły się w kilku drzwiach. Parę metrów dalej dwóch starszusków obserwujących zdarzenie zaczęło z entuzjazmem bić brawo.

Ewa nie miała zamiaru czekać na kłopoty. Mocno chwyciła kolegę za ramię i

wyprowadziła z oddziału. Jak zwykle w takich momentach nie robiła mu wymówek, choć za każdym razem obiecywała sobie, że w końcu, kiedyś tam, zorganizuje mu opierdół, jakiego jeszcze nie przeżył. Michał wiedział o jednym i o drugim i za to szczerze ją kochał. Tak rozumiał przyjaźń i tak rozumiał lojalność.

Wychodząc ze szpitala, byli przekonani, że dzisiaj nic przykrego już ich nie spotka. Nieszczęścia chodzą przecież parami, a nie trójkami czy szóstkami. Jednak, jak to często ostatnimi czasy bywało, tym razem również się mylili.

Plan, który przedstawił Krzysztof, był prosty. Nietrudno się domyślić, że Wileckiemu żaden z elementów nie przypadł do gustu; od punktu: „wchodzimy północnym oknem o 2.30”, aż do punktu: „opuszczamy kościół jak najszybciej i oddalamy się niezauważeni”.

–Ja chyba śnię... – jęczał po swojemu. – To nie ma szans powodzenia!

–Wiem dokładnie, gdzie to jest – przekonywał Lorent. – Wiem, jak to szybko i bez hałasu zabrać.

–To może być dwa metry w tę, dwa w tamtą...

–Bogdan! – przerwał lekko już zniecierpliwiony Krzysztof. – Sam to tam wkładałem. To znaczy, no... nie ja, ale ktoś, kogo myśli pamiętam jak swoje. Nie musimy niczego rozwiercać ani kuć. Wiem, gdzie i co podważyć, jak zdjąć mocowanie...

–To było czterysta lat temu! – nie ustępował profesor. – Wiesz, ile rzeczy mogli od tego czasu z tym zrobić?

–Wygląda na to, że niczego nie ruszali, dobrze się dzisiaj przyglądałem.

–Jesteś pewien?

–Tak – skłamał Lorent, choć nie przyszło mu to z łatwością.

–Bogdan – podjęła Ola. – Potrzebne są nam pieniądze, potrzebny jest nam kontakt z Linkiem, musimy to zrobić!

–A tak w ogóle, nie możemy iść do hotelu? – Wilecki zmienił nagle temat. – Siedzimy na tym kempingu jak jakieś dzieciaki.

–Tak jest bezpieczniej – wyjaśnił nie wiadomo już który raz Krzysztof.

–Co chcesz? Ten domek jest wygodny. – Sambierska się uśmiechnęła.

–Jestem uciekinierem i złodziejem dzieł sztuki, mieszkającym w domku kempingowym – płakał dalej profesor.

–A nie chcesz posłuchać tego, co ci obiecał Krzysiek? – zachęciła Ola, puszczając oko do Lorenta.

–Po co? Żebym się dowiedział, że Mieszko to nie piastowski z dziada pradziada zwycięzca spod Cedyni, tylko jakiś kosmita znikąd?! O nie! Wolę spać spokojnie – oświadczył z godnością profesor, położył się na swoim łóżku, ostentacyjnie odwracając się do ściany.

–Jak chcesz. – Krzysztof wzruszył ramionami.

Nastąpiła błoga, spokojna cisza. Jakieś ptaszyska nieznanych przybyszom gatunków świergoliły za oknami, wiał delikatny wiatr, a słońce właściwie powinno nastrajać optymistycznie. Jednak nadzieja, że Wilecki przestanie mendzić, umarła bezpowrotnie już po kilku sekundach.

–Było mi tak dobrze – buczał do ściany. – Wykładałem na uczelni jak Pan Bóg przykazał, pisałem sobie książeczki, robiłem sobie badania, Napoleon był cesarzem Francuzów, Leonardo twórcą *Mony Lizy*, a Kaligula obrzydliwym psychopata, i było pięknie, a teraz...? Wszystko się popieprzyło! I komu to przeszkadzało? A miałem przyjaciół...

–I przyjaciółki – dopowiedziała Ola.

–A żebyś wiedziała! – Odwrócił się gwałtownie w jej stronę. – Dajcie mi spokój!

–Żartowałem – odezwał się nagle Krzysztof.

–Nie chcesz już się włamywać?

–Nie. Żartowałem, że mam jakieś rewelacje o pierwszych Piastach. Po prostu chciałem cię namówić na tę nocną wyprawę. Przepraszam... – Lorent podniósł się z krzesła i wyszedł z domku. Odszedł kilka kroków i spojrzał w stronę zatoki. Słońce nadal topiło promienie w wodzie, a kompletnie nieduńska pogoda pozbawiła większość turystów chęci działania. Widać ich teraz było porozkładanych na kocach i materacach na wybrzeżu. Po drugiej stronie zatoki górowała zaś nad miastem sylwetka katedry Roskilde Domkirke.

Po dwóch, może trzech minutach drzwi domku kempingowego ponownie się otworzyły. Profesor zszedł wolno po dwóch schodkach i stanął przy Lorencie. Ola również się pokazała, ale została w progu. Uznała, że tym razem chłopcy muszą sami pogadać. Wkroczy, jeśli sprawy... wymknęłyby się spod kontroli.

–Nie żartowałeś, prawda? – spytał poważnie Wilecki.

–To nie ma sensu, Bogdan. – Krzysztof pokręcił głową. – Masz rację, jestem wybrykiem natury. To, co wiem, nikomu nie jest potrzebne, a tylko wnosi chaos. Kupczę tym jak żebrak, któremu skończyły się rozwiązania i wybory. Nie wiem, jak żyć, Bogdan. Nie wiem, co ze sobą zrobić, a najważniejsze, że nie wiem, jak was uratować.

–Sami się uratujemy – odparł spokojnie, kompletnie zmienionym tonem profesor. – Ty nam tylko trochę pomożesz. Nie przejmuj się mną, dla mnie to też nowe. Ciężko zmienia się miejsce w życiu, każdy z nas to wie. Przejdziemy się?

–Z chęcią.

Ola zmarszczyła brwi.

–Chyba wam odbiło, jeśli myślicie, że to przegapię – mruknęła pod nosem do siebie, zamknęła drzwi i podreptała za „chłopcami”.

Malowniczy kemping Vaddelev, siedem kilometrów od Vikingeskibsmuseet, był ogromny. Zajmował kilkanaście hektarów tuż nad fiordem, ze wspaniałym widokiem na Roskilde po drugiej stronie i dziesiątkami spacerowych ścieżek.

–Znam teorię Schultego i Holtzmanna – zaczął Wilecki.

–Ja nie – przyznał Lorent.

–To hipoteza wysnuta z badań Maciejowskiego, Bielowskiego, Szajnochy i Piekosińskiego, mówiąca o najeździe germańskim, będącym tak naprawdę początkiem państwa polskiego. Na czele najeźdźców stał właśnie późniejszy Mieszko I, który osiadł na naszej ziemi, przyjął kulturę Słowian i zapoczątkował dynastię. Miał oczywiście inne imię, niż sądzimy, ale jakie, to tylko domysły.

–Widzę, że tworzenie współczesnych teorii historycznych to jak granie w głuchy telefon. – Krzysztof uśmiechnął się. – Ale mów dalej.

Wilecki westchnął ciężko, jednak ciągnął pewnie, wyraźnie pogodzony z losem.

–Albert Brackmann, niezwykle wpływowego mediewista niemiecki, żyjący w czasach międzywojennych, poparł tę teorię. My niezbyt ją lubimy, bo pomijając wątpliwości historyczne – spodobała się ona również nazistom. Udowadniali w ten sposób, że Słowianie nie byli w stanie sami stworzyć własnego państwa. A tu nagle dowiaduję się od ciebie, że być może mieli rację...

–Nie mieli – Krzysztof uśmiechnął się, klepiąc po ramieniu profesora. – Nie mieli...

–Ale nasz pierwszy książę... nie był Słowianinem?

–Był. Ale to nie był Mieszko.

Ola wepchnęła się między „chłopców”.

–Mnie też się należy bajka! – zażądała wesoło.

–Bajka... – prychnął cicho Wilecki.

–Jesteście pewni? – Krzysztof uniósł znacząco brwi.

–Jasne! – krzyknęła niemal natychmiast Sambierska.

–Bogdan? – upewnił się Lorent.

–Myślę, że jestem gotowy. Mogę zaczynać?

–Tak.

–Lestek, Siemomysł, Siemowit, przodkowie Mieszka? Piast, Popiel?

–To raczej legendy. Wiem, że wspomina o nich Gall Anonim, ale zaczerpnął je niemal w całości z Zachodu. Nie wiem, kim dokładnie był Gall, urodził się w czasach, o których z „autopsji” wiem niewiele. Legenda o Popielu, którego zjadły myszy, to po prostu plagiat nadreńskiego mitu o niejakim Hattonie, właśnie zeżartym przez myszy. Życiorys Piasta jest niemal przepisaną francuską legendą o świętym Germanie. Siemowit, Lestek i Siemomysł? Nie słyszałem o takich facetach. W tamtych czasach mało kto interesował się rzetelną historią. Oczywiście, książę miał rodziców, dziadów i tak dalej, ale ja pojawiłem się na tamtych ziemiach dużo później i jakoś nigdy nie rozmawiałem z nikim na ten temat. Gdybym wiedział, że znajdę się w takiej sytuacji jak dziś, nic innego bym nie robił, tylko zbierał informacje. Jasne, że przy biesiadach, ucztach czasem opowiadano o dawnych czasach, ale zwykle to były plotki. Nie istniała żadna tradycja historyczna. Nie dbano o nią. Zachodni i południowi handlarze przybywający na ziemię Słowian przywozili oprócz kramarskich świecidełek także opowieści o starożytnej Grecji, Rzymie czy Karolu Wielkim, lecz słuchano tego tak jak dziś opowieści o Conanie Barbarzyńcy. Może się zdziwisz, jednak bywało, że wielu moźnych ówczesnej Polski nawet nie wiedziało, jak nazywał się ich dziad, jeśli go osobiście nie znali. Potem się to oczywiście zmieniło, choć musiało minąć sporo czasu.

–Kto rządził wtedy zjednoczonymi plemionami?

–Książę Czcibor. Jego imię brzmiało prawie tak jak teraz je wymawiam, ale z pewnością zdajesz sobie sprawę, jak bardzo ich język różnił się od współczesnego. Nie dogadałbyś się z ówczesnymi Słowianami.

–Brat Mieszka?



–Nie był bratem Mieszka. To znaczy... nie w sensie dosłownym. Później to wytłumaczę.

–Mieszko...

–Nigdy nie najechał na słowiańskie ziemie.

Profesor zatrzymał się i rozłożył ręce.

–Więc jak? – spytał bezradny.

Krzysztof gestem zachęcił go do dalszego spaceru.

–Czytałeś Grammaticusa[54]?

–Tak.

–To będzie mi łatwiej. Jego dzieje kraju Danów są oczywiście w większości legendami, szczególnie że o Haraldzie Sinozębym wspomina dopiero w dziesiątej księdze. W pierwszych dziewięciu opisuje ponad pięćdziesięciu jego poprzedników. Musimy jednak zacząć od tej kroniki. Czy nie zastanawiało cię nigdy dlaczego Grammaticus tak wiele miejsca w swoim dziele poświęcił Słowianom? Właściwie przecież nie powinni go obchodzić. Mógł opisywać Polaków ze swoich czasów, choć z pozoru nie było wtedy zbyt zażyłych kontaktów.

–Jakieś tam były...

–No, właśnie – przyznał Krzysztof. – I to nie „jakieś”. Ale zacznijmy od początku. Na ziemiach Czcibora w pierwszej połowie dziesiątego wieku była bardzo trudna sytuacja polityczna. Zjednoczony kraj o żyznych ziemiach stanowił obiekt zazdrości i sól w oku sąsiadów. Stosunki z Czechami, którym Czcibor zabrał ziemie po Bug i Styry, układały się fatalnie. To oni chcieli jednoczyć południowych i zachodnich Słowian, a księżę stał im na drodze. Węgrzy, którzy wciąż łupili południowe ziemie księstwa, przysparzali sporo kłopotów, a panowie sascy ostrzyli już miecze na nasze zachodnie tereny. Plemiona pruskie były wtedy małe i słabe, więc nie stanowiły problemu, ale rosnący w siłę Rusini to zupełnie innej wagi problem. Niewiele lepiej działo się w tym czasie w kraju Danów. Wieczne kłopoty z Norwegami, a przede wszystkim z Niemcami, nie dawały spokoju Haraldowi. Trzeba było dogadać się ze Słowianami. Zaczął od Abaterenów[55], ale szybko się okazało, że ten sojusz nie wystarczy. Harald i jeden z jego młodszych braci, Dagr, wpadli na pomysł, aby zwrócić się w kierunku Czcibora. Wiedzieli o nim, że to wyjątkowo roztropny polityk, wiedzieli także, że jego krajowi potrzebna jest pomoc. W wielkiej tajemnicy wszyscy oni spotkali się w Gnieźnie, aby ustalić szczegóły. Czcibor niemal natychmiast przystał na propozycję. Pozostał jeszcze problem, jak zjednoczyć oba kraje. Dagr i Harald córek wówczas nie mieli. Ich siostrę z kolei wydano za króla Norwegii i choć było to niezbyt skuteczne politycznie małżeństwo, to jednak było. Thyra[56] dopiero miała się urodzić. Doszło do trochę komicznej sytuacji – zabrakło odpowiedniej kobiety do poślubienia Czcibora. Wtedy Czcibor zaproponował rzecz niesłychaną. Wpadł na pomysł, aby Dagr rządził wraz z nim na wzór rzymskiej republiki, kiedy to swego czasu wybierano dwóch konsulów. Dagr, którego starszy brat często nazywał Björnem, miał na stałe zostać w przyszłej Polsce i znormalizować stosunki z Rusią, Czechami, Norwegią, Szwecją, a przede wszystkim z Niemcami. Mądrość Czcibora na zawsze pozostała w pamięci Harald. Mało kto w tych czasach potrafił dzielić się

władzą, a przecież ten wielki Słowianin zrobił to absolutnie z własnej woli, dla dobra swojego ludu. A więc Dagr, zwany Björnem, został w kraju Lachów jako „brat krwi” Czcibora, a jak się później okazało także założyciel nowej dynastii, bo Czciborowi żadna z żon dzieci nie dała. Nie rozgłaszano tego po Europie. I choć było niemożliwe, aby na dworach krajów ościennych nie dowiedziano się o przymierzu, Czcibor i Dagr zostawili potomnym niewyraźne ślady, których przyszli kronikarze – jak widać – rozszyfrować nie umieli. Najbardziej ten sojusz rozdrażnił cesarstwo, ale tam również zadbano, aby do kronik nie przedostało się to, co stało się w Gnieźnie. Dla nich wygodniejsze było uznawać za władcę tylko Dagra, z którym – jak sądzili – łatwiej im w przyszłości się będzie dogadać. Nowy brat księcia bardzo szybko znalazł wspólny język z przybocznymi drużyny i jej otoczeniem. Nazywano go tu „pocziwym niedźwiedziem” (w języku Danów – Björn znaczy niedźwiedź), czyli Miśkiem lub Mieszkiem. Za granicą jednak znany był tylko jako Dagome, jak w ocalałym do dziś dokumencie *Dagome iudex* – oddającym Gniezno pod opiekę stolicy Piotrowej.

Gdy tylko dwaj bracia rozpoczęli rządy, szybko w porozumieniu z Haraldem podjęli starania o przyjęcie chrześcijaństwa w obu krajach, co nastąpiło później niemal jednocześnie. Mieszko umiał pozyskać sobie Czechów, żeniąc się wkrótce z ich księżniczką Dobrawą, oraz wykorzystać ich do zlikwidowania uciążliwego awanturnika saskiego, Wichmana. Wreszcie obaj bracia rozprawili się z margrabią Hodonem pod Cedynią 24 czerwca 972 roku, utrwalając władzę i dając w przyszłości synowi Mieszka wielkie możliwości umocnienia państwa. Skutecznie zajęto się również sprawą norweską. Harald przy pomocy Mieszka i Czcibora opanował południową Norwegię, zaczęto starania, aby uniezależnić od cesarstwa i Danię, i Polskę. To temat rzeka, Bogdan. Kiedyś może ci jeszcze o tym poopowiadam.

Profesor zmierzył Lorenta surowym wzrokiem, ale zaraz szczerze się roześmiał.

–I jak teraz? Lepiej, gorzej? – spytał kapłan.

–Może nawet trochę lepiej – przyznał wesoło Wilecki. – Mówiłeś jak polityk.

Jakbyś osobiście był blisko związany z tymi sprawami.

–Byłem – odparł z nieodłącznym uśmiechem Krzysztof. – Dobrych parę lat

później, ale byłem.

–No, taaak. W każdym razie ciężko będzie dziś w nocy zasnąć.

–Masz rację. Nawet nie położymy się spać – przypomniał Lorent.

Ola, którą zachwyciła opowieść Krzysztofa, wołała w kwestii nadchodzącej nocy raczej się nie odzywać.

## Rozdział 7

Kiedy wyszli ze szpitala, gorące powietrze późnego popołudnia, zmieszane z dusznym zapachem ulicy, uderzyło w nich jak ruchoma ściana. Nieprzyjemna woń spalin, miękkiego asfaltu i zmęczonego dniem miasta, wykrzywiła twarz Ewy. Michał nie miał czasu na uzalenie się na pogodę. Zauważył, i to dobrych kilka sekund przed Nowicką, stojącego w pobliżu ich samochodu po drugiej stronie jezdni mężczyznę, który dwa dni wcześniej odwiedził go w domu w towarzystwie swoich niemiłych kolegów. Szturchnął łokciem mruczając coś pod nosem policjantkę i gdy się upewnił, że jest przygotowana, zaczął iść w jego stronę.

Luigi Balea przechadzał się spokojnie po chodniku, udając, że nie widzi policjantów. Jedynie jego elegancki, ciemnozielony garnitur mógł zwracać czyjąś uwagę, poza tym nie wyróżniał się spośród innych przechodniów. Widać było wyraźnie, że chciał, aby policjanci go szybko zauważyli, a jednocześnie nie chciał, aby dostrzegli jego niemiłych kolegów, którzy z pewnością i tym razem mu towarzyszyli. Kępiński, nie bawiąc się w ceregiele, podszedł do samochodu, otworzył go pilotem i czekał, aż elegancki Włoch podejdzie.

–Jeśli pan chce, nie musimy tutaj rozmawiać – rzekł po niemiecku Balea, gdy już się zbliżył.

–Jeśli ktoś miał nas razem zobaczyć, z pewnością już to zrobił. Proszę mi podać rękę na powitanie.

Luigi szybko spełnił prośbę policjanta, wyczuwając w jego dłoni niewielki kluczyk. Zabrał go dyskretnie, nie dając po sobie poznać, że cokolwiek się stało.

–Gdzie znajdę notatki? – spytał, przyjacielsko się uśmiechając.

–Na Dworcu Centralnym, skrytka numer 154.

–Rozumiem i dziękuję. Jeśli miałbym jeszcze jakąś sprawę, skontaktuję się z państwem. – Tu spojrzął na Ewę, która stanęła za Michałem.

Słowa: „...skontaktuję się z państwem”, zabrzmiały jak: „jeśli myślicie, że to koniec kłopotów, to sorry, ale nic z tego”.

–Co się stało naszemu koledze? – spokojnie spytał Kępiński.

–Przykro mi, to nie nasza wina. Usiłowaliśmy z nim porozmawiać bez użycia siły, ale próbował wyjąć broń i nas zaatakować. Staraliśmy się wyrządzić możliwie najmniejsze szkody.

–A dziennikarka? – zaryzykował policjant.

–Nic jej nie jest – odparł Balea, kiwając z uznaniem głową. – Zapewniam pana, na mój honor.

–Spotkaliście się z nią?

–Tak. Nie będzie ani nam, ani wam przeszkadzać. Wykazała znacznie więcej rozsądku niż pański młody przyjaciel.

–Mogła już komuś przekazać jakieś informacje.

–Nie przekazała – upewnił go aurelita. – Jeszcze to sprawdzamy, ale nie sądzę, abym się mylił.

„Jasne, że nie sądzisz...” – pomyślał zgryźliwie Michał.

Rozmowę przerwał dzwonek telefonu Luigiego.

–Przepraszam – rzucił Włoch do policjanta i odszedł kilka kroków w stronę swojego auta.

–Tak – powiedział cicho w ojczystym języku.

–Mam ich – usłyszał w słuchawce.

–Mów.

–Są w Kopenhadze, mam zdjęcia z lotniska. On i profesor. Kobiety nie udało się sfotografować.

–Dobrze. Nie mów nikomu.

–Oczywiście. A Pielgrzym?

–Sam się z nim skontaktuję. – Luigi przerwał połączenie. Ponownie podszedł do policjantów.

–Coś z księdzem? – spytał Michał, celowo siląc się na bezczelność.

–Niestety, nie – odparł Balea, poważnie traktując zainteresowanie Kępińskiego. – To zupełnie inna sprawa.

–Czy interesy między nami dobiegły końca?

–Obiecuję nie niepokoić państwa bez potrzeby. Na razie współpracuje nam się doskonale, niepotrzebnie stresował pan swoją rodzinę zbędnymi podróżami.

„Gównu cię obchodzi, co ja robię ze swoimi córkami!” – krzyczał w myślach policjant.

–Musimy jechać – rzucił do aurelity, podając mu rękę jakby nigdy nic. Luigi przytrzymał jednak przez chwilę jego dłoń.

–Mam nadzieję, że mogę liczyć na dalszą dyskrecję? – spytał.

–Oczywiście, jakże by inaczej – odparł gorzko Michał i wsiadł do samochodu.

Gdy tylko wóz policjantów zniknął za rogiem, Luigi Balea niemal niezauważalnym gestem przywołał czarne volvo z przyciemnianymi szybami, stojące kilkadziesiąt metrów dalej. Auto podjechało do miejsca, gdzie stał aurelita, tylne drzwi się otworzyły i Luigi wsiadł do środka. Kierowca ruszył bez słowa. Na tylnym siedzeniu obok Balei siedział tylko Tomasz.

–Dobrze poszło? – spytał Polak.

–Tak. Sprawdziłeś, gdzie jest Punin?

–W domu z Emilem, tak jak chciałeś.

Luigi zamyślił się na chwilę.

–Długo nie da się tak zwodzić, musimy się go szybko pozbyć – mruknął cicho.

–Tak jak ustalaliśmy?

–Tak. Mam wiadomość o Kapłanie. Jest mało czasu.

–Co na to Pielgrzym?

–Jeszcze z nim nie rozmawiałem, ale zaraz zadzwonię. Da sobie radę.

–A policjanci?

–Ten mężczyzna jest inteligentny i dość opanowany jak na twojego rodaka. Nie chcę, żeby stała mu się jakaś krzywda. Nie sprawi nam kłopotów. Dlatego przyśpiesz sprawy z Puninem.

–Myślisz, że już się nie przyda?

Balea ponownie wyjrzał przez okno. Długo nie odpowiadał, przyglądając się

szarawym blokom Mokotowa.

–Luigi... – przypomniał się Tomasz.

–Nie mamy innego wyjścia – odparł wreszcie.

Profesor Wilecki stał pod oknem, co chwila nasłuchując, czy w środku wszystko idzie zgodnie z planem.

–Co za idiotyzm! – jęczał do siebie płacźliwie. – Co za kretyńska sytuacja! Co ja tu robię?!

Podreptał nerwowo w tę i z powrotem.

–Nie wierzę... – zaczął znowu biadolić. – Złapią nas i zastrzelą albo wtrącą do lochu, i będą mieli rację! – Zacisnął bezradnie pięści. – Szybciej! – teatralnym szeptem rzucił w stronę okna.

Ola i Krzysztof oczywiście nie mogli go usłyszeć. W razie niebezpieczeństwa miał dać sygnał specjalnym biperem, załatwionym jeszcze w Polsce przez Bzdeta. Małe pudełeczko, które profesor dostał, posiadało tylko jeden guzik, którego przyciśnięcie, gdyby coś się zdarzyło nieprzewidzianego, zapalało czerwoną lampkę w odbiorniku Krzysztofa. Proste, łatwe, ciche.

Włamywacze skryli się za szeregiem ławek, czekając na strażnika.

–Jak ci się udało otworzyć to okno z drugiej strony? – szepnęła podniecona Sambierska.

–Cicho bądź – skarcił ją Lorent.

–Otworzyłeś okno od zewnętrznej strony. Jak to zrobiłeś?

–Otworzyłem od wewnętrznej – warknął zniecierpliwiony kapłan. – Tuż przed zamknięciem tylko docisnąłem, bez klamki, aby cichy alarm wyzwolił się, dopiero jak wejdziemy.

–Zrobiłeś to, gdy wyszedłeś do kibla w czasie kolacji?

–Tak.

–Dlaczego nie powiedziałaś?!

–Zamilkniesz, czy mam cię potraktować igłą? – Krzysztof zmarszczył brwi.

–Akurat! I kto ci wtedy pomoże? – Lekarka uśmiechnęła się złośliwie.

–Na razie tylko przeszkadzasz. Cicho! – syknął, przytykając jej usta ręką.

–Może nie przyjdą?

Jednak jak na zawołanie dwóch ubranych po cywilnemu strażników wyłoniło się z mroku, aby przejść w stronę otwartego okna, na górze, przy schodach. Ola wiedziała, że ona i Lorent na ten właśnie moment czekają w ukryciu, ale widok ochroniarzy na tyle ją przestraszył, że ręce zaczęły jej lekko drżeć. Mężczyźni byli spokojni i raczej przekonani, że nic się nie dzieje. Może wiatr, może ktoś nie domknął okna albo czujnik się zepsuł? Otworzyli drzwi, którymi Ola i Krzysztof dostali się do wnętrza nawy głównej, i weszli na spiralne schody. Kiedy zniknęli, Sambierska przeżegnała się i uniosła wzrok ku niebu. Napotkała po drodze przepiękny sufit Domkirke, lecz w duszy błagała niebiosa o pomoc.

–Możemy iść do kaplicy – szepnęła jej do ucha Krzysztof.

Profesor dreptał wciąż pod oknem, nie wiadomo, w jakim celu co pewien czas wyciągał biper, jakby ciągle upewniał się, czy go nadal ma. Rozglądał się dookoła,

czy przypadkiem nikt nie idzie, ale w małym miasteczku o drugiej w nocy, w środku tygodnia panowała względna cisza, przerywana spokojnym szumem słabego wiatru, dalekim pogłosem silnika jakiegoś samochodu, ledwie rozpoznawalnymi, pojedynczymi głosami rzadkich w Roskilde balangowiczów.

–Co za amatorszczyzna! – pomstował wciąż Wilecki. – Bez planu, bez porządnego rekonesansu, bez jakichś ustaleń, cholera! Ksiądz, szef bandy, napada na katedrę, a mnie, wybitnego naukowca, stawia się pod oknem, wchodzi się po moich ramionach, o niczym się nie informuje! Pieprzę taki interes!

Lorent szedł ostrożnie i cicho, cały czas na wszelki wypadek spoglądając w stronę drzwi prowadzących do schodów.

–Idź ostrożnie za mną – szepnął prosto do ucha lekarki. – Tylko dokładnie za mną, bo cię złapią kamery. Są wymierzone w ważniejsze obrazy, rzeźby, relikwie i ołtarz. Tu jesteśmy bezpieczni.

–A grób tego Chrystiana czy jak mu tam?

–Kamery są przy jego posągu i obrazie bitwy w Zatoce Kilońskiej. Damy sobie radę. Dawaj worek ze sprzętem.

Profesor po raz kolejny wyjął biper. Przyjrzał mu się dokładnie, jakby widział go pierwszy raz w życiu. Pokręcił z dezaprobatą głową i wtedy właśnie poczuł chłód długiego sztyletu na swojej szyi.

–Freeze! Ani drgnij! – szepnął po angielsku głos z tyłu. – Oddaj pudełko. Jak naciśniesz guzik, zginiesz.

Przerażony Wilecki wolno podał biper napastnikowi. Oddech właściciela sztyletu i wielkość dłoni, która ostrożnie wylądowała na ramieniu profesora, wskazywały, że był to naprawdę potężny gość. Wilecki miał metr osiemdziesiąt wzrostu, przeciwnik z pewnością przerastał go niemal o głowę.

–Prowadź! – zarządził głos.

–Ale dokąd? – spytał głupkowato profesor.

–Do środka.

–Chyba jest zamknięte, a ja tu jestem pierwszy raz, nie wiem, o co chodzi...

–Prowadź do swoich współników.

–Nie mam żadnych współników, proszę pana. Jestem naukowcem, przyjechałem na badania.

Wilecki poczuł, jak druga postać, równie imponujących rozmiarów, chwyta go za drugie ramię i zaczyna prowadzić ku bocznemu wejściu.

–Nie daj się prosić – przekonywał drugi głos.

Krzysztof rozłożył skromne narzędzia. Dłuto, niewielką wiertarkę na akumulator, młotek, mały odkurzacz samochodowy. Zatarł ręce i ostrożnie zbliżył się do grobu Chrystiana IV. Ola przykucnęła przy wejściu do kaplicy. Lorent wymierzył miejsce uderzenia dłuta, ale szybko odłożył narzędzia. Zaniepokojony odwrócił głowę i zaczął nasłuchiwać.

–Co jest? – spytała Sambierska.

–Cicho! – szepnął zaniepokojony Kapłan.

–Strażnicy?

–Nie. – Wstał i szybko podszedł do lekarki. Wyrzwał w stronę północnego wejścia i zobaczył to, czego się obawiał. Dwóch potężnych mężczyzn prowadziło Wileckiego. Dwóch pozostałych, niewiele ustępujących poprzednim posturą, coraz szybciej podążało w ich stronę. Wyjęli sztylety i uważnie wpatrując się w Krzysztofa, planowali w myślach ruchy.

–Znasz ich? – spytała przerażona Ola.

–Jeszcze nie – odparł spokojnie Krzysztof, idąc im na spotkanie.

–Uważaj! – pisnęła Ola.

Lorent nie zareagował. Szedł, jakby śpieszył się na samolot, a nie na spotkanie morderców, z którymi właśnie za chwilę miał stoczyć walkę na śmierć i życie.

–Boże drogi... – szeptała Sambierska.

Gdy mężczyźni się zbliżyli, zaatakowali niemal natychmiast. Szybko, fachowo, bezszelestnie. W mroku, rozświetlonym tylko wpadającym przez okna i witraże światłem księżyca, Ola mogła dostrzec co najwyżej cienie i błyski szybkich ruchów sztyletów.

Walczyli krótko. Po kilku sekundach było jasne, że nie mają z nim szans. Krzysztof zablokował kilka uderzeń obu napastników, wreszcie złapał nadgarstek jednego z nich. Niezauważalnym, szczególnie w ciemnościach, ruchem zabrał mu sztylet. Drugą ręką uderzył jego towarzysza silnie w żebra, z lewej strony, pod pachą. Podciął pierwszego, blokując jakąkolwiek możliwość jego dalszych ruchów. Upadł z nim na ziemię, odrzucił sztylet napastnika daleko na podłogę i zaatakował kolano drugiego mężczyzny. Ten również runął na ziemię, wiedząc, że dalsza walka raczej nie ma sensu.

–Tak! – usłyszeli nagle donośny głos w prawej strony. Zza kolumny wyłonił się niewielki człowieczek z siwą, niepokaźną bródką. Do złudzenia przypominał Johna Hammonda, właściciela Parku Jurajskiego, granego przez Richarda Attenborough, ze słynnego filmu.

Krzysztof raptownie odwrócił się w jego stronę. Był zły na siebie, że zajęty walką tak późno dostrzegł jeszcze jednego gościa w katedrze. Ten z kolei dał znak dwóm mężczyznom, aby natychmiast podczołgali się w jego stronę. Lorent świdrował starca wzrokiem, czekając na wyjaśnienie.

–Wiedziałem, że nie będziesz w stanie zabić w świątyni – odezwał się człowieczek, z satysfakcją kiwając głową.

–Profesor Link?! – teraz dopiero odezwał się Wilecki. Śmiało wyrwał się z objęć olbrzymów i podbiegł, nie zważając na wciąż groźnych drabów. – Ale jak...?!

–Musiałem się przekonać, że to naprawdę on – wyjaśnił, choć raczej nie do końca, Link.

–Przecież pan...

–Zabieram was stąd. Musimy szybko opuścić katedrę. Zostawcie skarb. Przyda się komuś za kilkaset lat.

Aureil odłożył słuchawkę. Przez dobrych kilka minut siedział w milczeniu, wreszcie wstał i przeszedł się po komnacie. Właściwie nigdy nie rozsuwano tu ciężkich, czerwonych zasłon, a skąpe światło zapewniało tylko kilka świeczników. W gabinecie

mistrza nie było ani elektryczności, ani światła dziennego. To sprzyjało skupieniu i modlitwie. Nie męczyło wzroku, wprowadzało spokój. Starzec ponownie usiadł przy biurku, westchnął głęboko i nacisnął przycisk interkomu.

–Pierre... – wezwał doświadczonego aurelitę z działu kontaktów z zagranicą.

–Tak, mistrzu.

–Mógłbyś sprawdzić mi jedną informację?

–Oczywiście. Słucham.

–Dowiedz się, co publicznie wiadomo o śmierci lub zaginięciu dwóch policjantów w Polsce. Ostatnio widziano ich w miejscowości Urle pod Warszawą. Ile ci to zajmie?

–Podstawowe informacje do godziny. Pełny raport na dwudziestą trzecią.

–Dobrze. – Aureil przerwał połączenie. Sięgnął po staroświecki, czarny telefon.

Przysunął go do siebie i zdjąwszy słuchawkę, wykręcił numer.

–Tak, słucham! – usłyszał po polsku.

–Witaj, Emilu! – przywitał go dobrotliwie w języku francuskim. – Czy mógłbyś łaskawie poprosić do telefonu Iosifa?

Chwila niepewności po drugiej stronie nie zdziwiła starca.

–Oczywiście, mistrzu! – usłyszał po kilku sekundach.

Punin musiał być w tym samym pomieszczeniu, bo niemal natychmiast przejął słuchawkę.

–Tak, ojcze... – Aureil jak mało kto umiał wyczuć niepokój, nawet w głosie tak wyćwiczonego żołnierza jak Punin.

–Proszę, abys jutro przybył do Chatillon.

–Ależ... – Iosif był kompletnie zaskoczony. – Ojcze... jesteśmy na tropie Kapłana. Od osiągnięcia celu dzielą nas dni, może godziny!

–Przykro mi synu. Ostrzegałem cię przed błędami.

–Przecież wszystko idzie zgodnie z planem...

–Nie, Iosifie – odparł zimno starzec. – Chciałbym usłyszeć to z twoich ust: zgładziłeś tych policjantów?

Cisza w słuchawce wystarczyła za odpowiedź.

–Ojcze... błagam cię! – Punin mówił z zaciśniętymi zębami, powstrzymując gniew.

–Každy, kto zabija bez potrzeby, godzien jest potępienia – bezlitośnie kontynuował Aureil. – Zawiodłeś mnie, synu.

–Mistrzu! Nie było innego wyjścia! Wiesz, że Luigi zawsze robił wszystko, aby podcinać mi skrzydła.

–Nie rozmawiałem z Luigim na twój temat! – przerwał gniewnie starzec. – On również mnie zawiódł, choć w znacznie mniejszym stopniu. Za ukrywanie tego morderstwa poniesie konsekwencje. Ale wiem, że mimo pewnej rezerwy, którą czuje do ciebie, uważa, iż jesteś niezbędny do tego zadania! Niestety, tu różnimy się w sądach. Luigi dokończy misję. A ciebie chcę widzieć jutro rano. Nie radzę zawieść mnie po raz drugi.

Aureil odłożył słuchawkę. Chwilę później aparat wypadł z rąk Puninowi.

–Wypalę ci oczy, wyrwę krtań i będę patrzył, jak zdychasz... – warknął przez zęby.



Odepchnął Emila i wszedł do sąsiedniego pokoju, jakby chciał wyważyć drzwi. Został Luigiego jedzącego zupę z lagenarii[57].

–Ostrożnie, Iosifie – zwrócił mu uprzejmie uwagę Balea. – Nie jesteśmy u siebie. Poza tym, jak widzisz, spożywam posiłek. Przyłączysz się?

Punin zacisnął pięści i oczy. Szybko się jednak opanował, nie chcąc odpowiadać na zbędne pytania.

–Coś się stało? – spytał mimo wszystko Luigi.

–Nie, nic ważnego. Nie wiesz, gdzie jest Tomasz? Chcę się go o coś poradzić.

–Chyba u siebie w domu. Zegnał się godzinę temu.

–A, tak. Smacznego. Wrócę niedługo, ale nie czekaj z obiadem.

–Chcesz, żebym ci towarzyszył?

–Zjedz spokojnie. Jeśli pozwolisz, po prostu przejdę się. A z Tomaszem porozmawiam jutro, po jego przyjeździe.

–Może zadzwoń?

–Nie, to może poczekać.

–Jak chcesz. – Luigi wrócił do jedzenia.

Iosif wolno wyszedł z domu. Kiedy tylko minął próg, zaczął biec w kierunku postoju taksówek.

Luigi sięgnął po telefon. Odłożył na chwilę łyżkę i wystukał numer Tomasza.

–Tak, słucham? – usłyszał w słuchawce.

–Zbieraj się. Jedź do ciebie – poinformował spokojnie.

–Już mnie nie ma – odparł Tomasz i przerwał połączenie.

–Podgrzej zupę! – krzyknął Balea do Emila. – Myślę, że Iosif za chwilę wróci!

Weszli do skromnego, ale gustownie i starannie urządzonego domu. Parter i poddasze nie miały w sumie więcej niż sto pięćdziesiąt metrów. Spory salon na dole, połączony z kuchnią, graniczył z pracownią. Na górze, o czym powiadomił ich już w czasie jazdy profesor Link, były po prostu trzy sypialnie. Całość, zdaniem Krzysztofa, została pomyślana idealnie tak, aby nie rzucać się w oczy.

Jak zwykle bywa, kiedy rodzi się zbyt wiele pytań, trwa cisza. Nie powinien więc dziwić fakt, że z wyjątkiem chrząknięć, westchnień czy głębokich oddechów oraz uprzejmych uśmiechów – odkąd wszyscy usadowili się w samochodach – przez pierwszych kilka minut nikt nie odezwał się nawet słowem. Po mniej więcej półgodzinnej jeździe, kilkanaście kilometrów za Roskilde, dwa samochody – biała, duża toyota i ciemnoniebieski nissan primera wjechały na podwórze. Noc stawała się coraz jaśniejsza, ale do wschodu słońca zostało jeszcze trochę czasu. Goście pośpiesznie weszli do domu, a większość chłopców Linka zniknęła na podwórzu, być może sprawdzając, czy przypadkiem nikt za nimi nie jechał, lub po prostu parkując pojazdy w garażu. Tylko jeden z nich wszedł z nimi do domu i zaraz zniknął w kuchni.

–Profesorze, to już trzy lata! – wybuchnął Wilecki, siadając na wskazanej przez gospodarza skórzanej kanapie.

–Chyba tak. – Starzec uśmiechnął się, wyraźnie rozradowany dzisiejszym spotkaniem. Gestem zachęcił pozostałych gości, aby usiedli na fotelach lub kanapie.

–Herbata? Kawa?

–Poproszę zimną wodę – odparła zmęczonym głosem Ola.

–A ja herbatkę – zarządził Wilecki.

Lorent wciąż milczał, wpatrzony w jakiś nieistniejący punkt, dwa, może trzy metry przed jego nosem.

–Krzysiek, co jest? – Lekarka szturchnęła go.

–Nie, nic – rzekł, udając uśmiech. – Ja również poproszę wodę.

Link zatrzymał na nim wzrok.

–Nie mogę uwierzyć, że to ty – westchnął, nie potrafiąc ukryć radości. – Wybacz mi ten teatrzyk w katedrze. Musiałem się przekonać. Nie mogło być pomyłki.

Obserwowaliśmy katedrę, odkąd się pojawiłeś.

–Odkąd się pojawiłem? – spytał, marszcząc brwi Krzysztof.

–Ja również o tym wiedziałem. Nie tylko aurelici. Jak wycoczysz, wszystko ci opowiem.

Lorent skinął głową.

–Jak zaplanowałeś ten skok na *unius oculi*?

–Pomógł mi znajomy mojego przyjaciela z Polski. Skontaktował mnie z pewnym człowiekiem z Austrii, który dostarczył plany zabezpieczeń. Czekają na mnie na dworcu w Wiedniu.

–Plany? – roześmiał się głośno profesor. – Musiały być niezłe...

–Nie rozumiem. – Krzysztofa jakoś nie rozbawiła uwaga rozentuzjasmowanego staruszka.

–Po prostu zastanawiam się. Biegaliście przed ekranami jak na pokazie mody, więc... tak pytam.

–Niemożliwe. – Lorent nadal miał kiepski humor. – Miałem mapy...

–To te duże koperty z lotniska? – wtrącił Wilecki.

–Widzę, że nikomu nie ufasz, Kapłanie, nawet przyjaciom. – Link wciąż patrzył na niego jak urzeczony.

–To nie jest kwestia zaufania – poprawił Krzysztof. – Woląłem te sprawy rozpatrywać w samotności, tak jest bezpieczniej.

Szwajcar uśmiechnął się dobrotliwie.

–Jesteś mistrzem pamięci, ale kiepski z ciebie włamywacz. – Włożył ręce do kieszeni spodni i przeszedł się po salonie. Był jak na swój wiek ubrany dość nowocześnie: w dżinsy, brązową koszulę, welwetową marynarkę.

–Na mapach – bronił się Lorent – miałem wyrysowane ustawienia kamer, są...

–Są wszędzie i z pewnością mysz by się nie prześlizgnęła. Są także niewidoczne i raczej nikt postronny nie wie, gdzie je zamontowano. – Uśmiech nie zniknął z twarzy Linka. – Twoje mapy to jakiś żart, przykro mi. Obserwujemy was od wczoraj, na szczęście nasz wspólny przyjaciel, profesor Wilecki – tu ukłonił się dawnemu towarzyszowi twórczych dociekań – niewiele się zmienił i łatwo go było rozpoznać. Dopilnowaliśmy, abyście to okno rzeczywiście mieli otwarte i aby... – przebiegł tajemniczym wzrokiem po wszystkich obecnych – nagrania z wami w roli głównej znikły z odpowiednich komputerów.

–Jak? – spytała wprost Ola.

–Powiedzmy, że nie tylko aurelici mają swoje wpływy.

–Kim pan naprawdę jest, profesorze Link? – dociekał z lekka zniecierpliwiony już Krzysztof.

–Kim naprawdę jestem... – powtórzył jak echo gospodarz. – Nie ufasz mi, Kapłanie.

–Wiedział pan o skarbie Jednego Oka, może pan też jest Kapłanem, może aurelitą, a może tylko ich szpiegiem.

–Wiesz doskonale, że nie. Nie wierzę, żebyś się nie domyślał, skąd mam tę wiedzę.

Wilecki trzymający od pewnego czasu szklanekę z herbatą podaną mu przed chwilą, postawił ją na stole zdecydowanie zbyt głośno.

–Ależ to jest profesor Eberhard Link! – wykrzyknął. – Jak możesz tak mówić, Krzysztofie?!

–Ty sam jeszcze do niedawna twierdziłeś, że staruszek zwariował – przypomniała mu Ola, ale na szczęście szeptem i wprost do jego ucha.

–I co z tego?! – zaczął zbyt głośno Wilecki, ale szybko obniżył ton.

–Mam ci do zaproponowania układ, Kapłanie – powiedział poważnie Link.

–Podobnie jak aurelici – zauważył Lorent.

–Ale oni chcą zmusić cię do uczestnictwa w obrzędzie Nocy Kapłanów, a ja chcę ci zwrócić... wolność. A tego przecież szukasz. Zainteresowany?

Nastąpiła zaskakująco cisza. Wyraz twarzy Krzysztofa nie wskazywał na specjalny entuzjazm.

–Tak bezinteresownie? – spytał po chwili.

–Oczywiście, że nie. Ale ten mój interes zdecydowanie pokrywa się z twoim. Moim interesem są aurelici. Bez ciebie nie dam im rady.

–Niewiele pomogę. Nie mam pojęcia nawet, jak się do tego zabrać.

Profesor usiadł z powrotem na fotelu i uniósł palec do góry.

–Jak, to ja ci powiem. Ty tylko musisz zaufać i wykorzystać swoją potęgę.

–Właśnie widziałem, jaką mam potęgę – zauważył zgryźliwie Krzysztof. – Nie jestem nawet w stanie zabrać mojej własności z katedry żeby nie zaskoczył mnie siedemdziesięcioletek.

Wilecki już się zbierał do kolejnego protestu, jednak Ola go powstrzymała.

–Czego chcesz, Medeo [\[58\]!](#) – [syknął szeptem do jej ucha.](#)

–Chcę, żebyś raz w życiu nie przeszkadzał. Ty też byś był wkurzony, jakby ktoś zrobił z ciebie idiotę.

–Mówiłem, żeby nie okradał kościoła!

–O czym rozmawiacie? – rzucił nagle w ich stronę Link.

–Aaa, nic. – Wilecki machnął ręką. – Takie tam.

–Zastanawiamy się po prostu, skąd pan wiedział o skarbie – wystrzeliła Ola, wykręcając jednocześnie pod stołem palec Wileckiego, aby nie zdążył zaprzeczyć.

Eberhard Link podniósł do ust szklanekę i bez specjalnych wstępów zaczął opowiadać.

–Skarb w katedrze umieścił Michał Kotwicz, polski szlachcic, poddany króla

Władysław IV Wazy. Cesarzem i królem Węgier był wtedy Ferdynand III, w Moskwie panował Aleksy, we Francji Ludwik XIV, w Szwecji królowa Krystyna, a w Danii umarł właśnie Chrystian IV. Wierny laufer [\[59\] Kotwiczą, Maciej Ezsterhas pochodził z rodziny przybyłej z Węgier. Polak ufał mu niemal bezgranicznie. Tylko Maciej wiedział o „chorobie” Kotwicza i tylko on mógł wiedzieć o ukryciu „skarbu” mającego pomóc następnemu Kapłanowi.](#)

–A aurelici? – spytał Wilecki.

–To chyba jedyny Kapłan z mojej pamięci, o którym aurelici dowiedzieli się bardzo późno – westchnął posępnie Krzysztof. – Kotwicz i Maciej umieli utrzymać wszystko w całkowitej tajemnicy.

–Przecież żona, dzieci. – Ola rozłożyła ręce. – Nie da się takich rzeczy ukryć.

–Da się – zaprzeczył Lorent. – Michał ożenił się zdrowo po trzydziestce, a więc ponad dziesięć lat po pierwszych objawach „choroby”. Mimo swojego wykształcenia, obycia i odwagi, on również długo nie umiał zrozumieć, co się z nim dzieje. Potrafił za to powstrzymać się od fanfaronady charakterystycznej dla ówczesnej szlachty. Nie szukał rozgłosu, sławy, przyziemności. Szukał sprawiedliwości.

Wilecki złożył ręce jak do modlitwy.

–Ideal... – rzekł nabożnie, ale natychmiast otrzymał kuksańca od Oli.

–Nie możesz choć raz się powstrzymać – warknęła w jego stronę, marszcząc brwi.

–Kotwicza zdradziły oczywiście niezwykle umiejętności. Nie dało się tego ukrywać latami – kontynuował Lorent. – W czasie jednej z potyczek w Szwecji zbyt wielu ludzi widziało, co zrobił.

–W Szwecji? – Nawet Ola uznała, że to trochę zbyt wielki skrót.

–Był szpiegiem króla – wyjaśnił bezceremonialnie profesor Link. – Władysław nigdy nie zrezygnował z pretensji do szwedzkiego tronu i potajemnie, poprzez swoich agentów, zaangażował się w wojnę trzydziestoletnią. A bywało, że popierał nawet Danię w licznych wówczas zatargach ze Szwecją. – Link pokiwał głową, jak to się zwykle robi, gdy godzi się z losem. – Takie to już przeznaczenie większości Kapłanów: szybko zginąć albo samotność zamienić na służbę. Zwróćcie uwagę – tu spojrzął na Olę i Wileckiego – jak wielu z nich w szybkim czasie znalazło się w otoczeniu swojego króla lub księcia. Kotwicz świetnie władał językami, z czego pewnie zdajecie sobie sprawę, a ziemie skandynawskie, zwyczaje i mentalność tamtejszych ludów dobrze znał... także z dalekiej przeszłości. Skarb, zdecydował się ukryć tu, bo...

–Dosyć – urwał cicho, ale stanowczo Lorent. – Już dosyć.

Zachmurzona twarz Krzysztofa przygasiła dyskusję na co najmniej kilka łyków herbaty.

–Wierzyłem mu – odezwał się wreszcie ponuro Kapłan. – Przysięgał, że zabierze tajemnicę do grobu.

–Ezsterhas zrobił to z miłości do swojego pana – powiedział poważnie Link. – Przekazał tajemnicę tylko swojemu najstarszemu synowi, ten z kolei swojemu i tak przez pokolenia aż do mnie. Tradycja nigdy nie pozwoliła zrobić z niej złego użytku, a

przygotowanie tych, którzy ją posiadali, było imponujące. Zauważ, aurelici do dzisiaj nie mają o tym pojęcia. Ścigają mnie ze względu na to, czemu się poświęciłem – na moją pracę naukową.

–Srutututu – swoim zwyczajem mruknęła pod nosem Ola. – Ludzie są tylko ludźmi – dodała głośniejszym głosem. – To nie roboty. Ludzie to istoty stadne, mające silną potrzebę dzielenia się uczuciami, informacjami, a już szczególnie takimi rewelacjami jak ta. Chcą być zauważeni, docenieni, zapamiętani!

–A pani, przepraszam bardzo – zwrócił się do niej urażony profesor – skąd tak dogłębnie zna się na ludziach?

Ostatnie zdanie było wypowiedziane dość zgryźliwie.

–Ze studiów, drogi panie profesorze – odparła bojowo. – Ostro na nich wkuwałam. A teraz jestem psychiatrą z ponaddziesięcioletnim stażem. I jestem w tym dobra.

–A uczyli tam panią o świętych tradycjach rodzinnych, dyscyplinie, honorze, przygotowaniu?!

–Właśnie widzę, jaki to był honor. Już pierwszy kolega z tego łańcuszka „głuchego telefonu” zdradził swojego pana i wypaplał wszystko.

Link poczerwieniał ze złości.

–Jestem cicho – zameldował Wilecki, unosząc ręce do góry.

Staruszek dał sobie czas na ochłonięcie.

–Michał Kotwicz pod koniec życia walczył z aurelitami niemal w całej Europie – zaczął ponownie po chwili. – Wymordowali jego rodzinę, a on sam zmarł na cholera. Jego sługa musiał na to patrzeć. Wtedy podjął decyzję. Wiedział, że to się nigdy nie skończy, że przyjdą następni Kapłani i muszą mieć coś, co pomoże im w dalszej misji. Tym właśnie był skarb ukryty przez nich, na kilka lat przed śmiercią Kotwicza! Być może Maciej Ezsterhas potrafił przewidzieć, że kiedyś dojdzie do takiego spotkania jak to, kiedy nasze rodziny znowu połączą siły. Był tylko zubożałym szlachcicem, ale jego mądrość pozwoliła nam dzisiaj przeciwstawić się najpotężniejszemu bractwu wszech czasów!

–Jak? – przerwał Wilecki.

–Powiem wam.

Krzysztof nie słuchał sporu przy stole. Od pewnego już czasu stał przed domem, przypatrując się czarnej, rozpostartej nad światem przestrzeni, upstrzonej świecącymi punkcikami sprzed wielu tysięcy lat.

–Trzeba odpocząć – mruknął sam do siebie.

Już od wielu dni wiedział, kim jest Link. Teraz tylko dostarczono mu ostateczny dowód. Ale choć przecież minęło ponad trzysta lat, nie umiał pozbyć się nowego, przemożnego, tak dalekiego jeszcze do niedawna uczucia... gniewu.

–Panie Boże... – zaczął szeptać. – Jestem Krzysztof Lorent, twój sługa w habicie i ten, który musiał habit odrzucić. Nie jestem Tacjadesem – myślicielem i przywódcą nieszczęsnej Malii, nie jestem Godfrydem ani Tytusem Gastulusem. Nie jestem Devirkiem, synem Denavala – duszą Chrobrego, ani Leonardem – malarzem wszech czasów. Nie jestem też Michałem z Kotwiczów, choć jego nieszczęścia odczuwam jak

swoje. To tylko wspomnienia... Panie mój! Dlaczego nie umiem ich nie pamiętać?  
Przyjmę z pokorą każde cierpienie, ale błagam, pozwól mi pozostać sobą!

Iosif Punin od kilku godzin siedział na ławce w ogrodzie, wpatrzony w porośnięty jałowcem płot. Zacięta mina, niezmiennie gniewna od wczoraj, nie znikwała z jego oblicza nawet na sekundę. Pogoda znów dzisiaj dopisała. Gorące lato spadło na miasto już ponad miesiąc temu i z niewielkimi przerwami na skromny deszcz opanowało z pełną potencją aurę. W takie dni Warszawa mogłaby pod tym względem śmiało konkurować z Rzymem czy Barceloną, z tą tylko różnicą, że innego roku z kolei zmienny i kapryśny klimat nadwiślański mógłby równie dobrze upodobnić się do na przykład... moskiewskiego, a wtedy byłoby już znacznie mniej romantycznie.

Romantyzm nie był główną cechą umysłowości i duszy Iosifa Punina. Aurelita wolał od niepewnego i nieokreślonego abstraktu konkret, dyscyplinę i odwagę w działaniu. Nie rozumiał młodych kobiet, ich pretensjonalnej głupoty, lekkomyślności i egzaltacji. Tak. Romantyzm nie jest niczym innym jak zręcznym usprawiedliwieniem nierozumności, złej oceny sytuacji, słabości.

Luigi Balea zamienił kilka słów z Emilem, po czym wyszedł z salonu do ogrodu i podszedł do Punina.

–Co cię trapi, Iosifie? – spytał z niemal szczerą troskliwością.

–Ależ nic. Po prostu czekam, podobnie jak ty.

–Siedzisz tu od szóstej rano. Jest prawie jedenasta.

Twarz Punina nieznacznie wypogodniała.

–Czas poświęcony na medytację nigdy nie jest stracony. – Odwrócił się do Balei.

–Tomasz już przyszedł?

–Nie wzywałem go dzisiaj. Kiedy nadejdą wiadomości, na które czekamy, wtedy to zrobię.

–Ach tak... – w głosie Iosifa zabrzmiało coś w rodzaju roztargnienia. – A więc pozostaje nam czekać.

–Podobno rozmawiałeś z ojcem? – spytał spokojnie Luigi, wpatrując się uważnie w oczy Punina. – Emil mi mówił.

–Tak – odparł krótko.

–Mogę wiedzieć, na jaki temat?

–Wolałbym o tym nie mówić, Luigi. Ojciec nie lubi, kiedy jego słowa przekazywane są z „drugiej ręki”. Jeśli miałby ci coś do przekazania, z pewnością porozmawiałby z tobą bezpośrednio.

–Między nami miało nie być sekretów.

Punin odwrócił się i surowo, ale po przyjacielsku, spokojnie poprosił:

–Uszanuj to, Luigi. To nie jest kwestia sekretów. Nasza rozmowa dotyczyła mnie, nie musisz się niczym martwić.

–Jedziemy na tym samym wozie. Tysiące braci na całym świecie czeka na nasz sukces.

–Wiem. Nie zawiodę cię. Obiecuję, że nie zawiodę.

Ciężko to było nazwać porankiem. Wstali niemal równocześnie, ale... około południa.

–Jak spałeś? – spytała Ola.

–Nieźle.

–O czym zwykle śnisz?

–Lepiej nie pytaj.

Krzysztof roześmiał się smutno i posłał jej swoje dawne, łagodne spojrzenie. Sambierska rozparła się na fotelu i założyła nogę na nogę. Nikt oprócz nich nie zszedł jeszcze na dół, tylko po podwórzu i ogrodzie krzatali się znani im już z wczorajszej akcji ochroniarze.

–Ładny dom – stwierdziła. – Skromny, ale ładny. Lubię, kiedy nie ma zbyt wielu mebli, przestrzeń jest wykorzystana i nie chodzę po skórkach martwych zwierząt.

–Racja – odparł Lorent, kierując wzrok na schody. Dochodziła z nich rozmowa dwóch profesorów, pełna eleganckich zwrotów, wzajemnych uprzejmości, prowadzona po angielsku, jak wczoraj. Schodzili powoli, gestykulując i, co ciekawe, prowadząc łagodny spór na temat ołtarza z Domkirke.

–O! Nasi przyjaciele już na nogach! – zauważył bystro Wilecki, jakby urwał się nagle z jakiejś powieści Jane Austen.

–Chłopcy podadzą zaraz śniadanie – ogłosił Link. – No, właściwie lunch. Wrażenia pozwoliły zasnąć?

Ola machnęła tylko ręką, a Krzysztof zrobił minę w stylu: „no wie pan, jak to jest...”.

–Tak więc, dobrze. – Gospodarz uśmiechnął się do wszystkich i klasnął w ręce. – Siadajmy, jedzmy, pijmy, bo później... pora działać.

Oli i Wileckiemu na dźwięk hasła „pora działać” zrobiło się zimnawo i cokolwiek nieswojo, ale oboje przepisowo trzymali fason.

–Kto jeszcze oprócz nas wie o tym miejscu? – spytała Sambierska.

–Bardzo niewiele osób – odparł profesor, sadowiąc się na fotelu.

Ochroniarze, znani już wszystkim z wczorajszego skoku, występowali dziś równie zręcznie, ale tym razem w roli kelnerów i kucharzy. Na stole szybko wylądowało kilka talerzy z rybami, serami, pieczywem i sałatkami.

–Może nam pan powiedzieć, co to za osoby? – zainteresował się Wilecki.

–Myślę, że na tym etapie trudno byłoby państwu to zrozumieć.

–Ależ dla świata jest pan...

–Wariatem? – dokończył wesoło Link. – To dobrze. Proszę pamiętać, że – jak uczy nas historia – wariaci, głupcy czy ułomni zawsze cieszyli się największym bezpieczeństwem, nawet w tak „miłych” miejscach jak dwory cesarskie.

–Widzisz? Nie masz się czego bać, wyjdiesz z tego – szepnęła Ola do ucha Wileckiego, głaszcząc go kojąco po szyi.

–Proszę się nie śmiać – upomniał dobrotliwie profesor dwójkę flirtującą po drugiej stronie stołu. – Wielki cesarz rzymski – Klaudiusz, z dynastii julijsko-klaudyjskiej, uważany był w dzieciństwie i młodości za opóźnionego, kalekiego głupca, a przecież właśnie dzięki temu przeżył. Niemal całą jego rodzinę wymordowano. Objął tron i na długo stał się najpotężniejszym człowiekiem ówczesnego świata. A przeżyć czasy Kaliguli, będąc arystokratą z rodziny cesarskiej, to była sztuka! Takich przykładów

**jest sporo.**

**Wilecki rozłożył ręce.**

**–No dobrze, panie profesorze, ale co dalej? Jak długo chce pan się ukrywać? Co my mamy robić?**

**Link skinął na jednego z ochroniarzy i po duńsku zaordynował butelkę wina. Potężny blondyn szybko wrócił z bordeaux rocznik 1985. Wilecki na jej widok pokiwał z uznaniem głową.**

**–Nie mamy zbyt dużo czasu na długie wstępy – rzekł gospodarz. – Przejdę więc do sedna. Znaleźliście się, chcąc nie chcąc, w centrum potężnego konfliktu między bardzo wpływowymi siłami tego świata.**

**–Oj... – Sambierska skrzywiła się. – Ostro brzmi.**

**–Pani – wskazał na nią Link – a nawet pan, profesorze – przeniósł wzrok na Wileckiego – jesteście tu przypadkowo, ale Kapłan – uśmiechnął się do milczącego Krzysztofa – jest sednem tego konfliktu, a my, tak czy owak, musimy odegrać w nim swoją rolę, jeśli chcemy przetrwać.**

**–Konflikt? – Ola z niedowierzaniem uniosła brwi. – Między kim a kim? Chyba pan nie powie, że między aurelitami a panem! Przy całym szacunku... nie chce pan chyba zadzierać z tymi szaleńcami, mając u boku tylko nas i tę sympatyczną grupę kucharzo-karateków?**

**–Z wyjątkiem Kapłana, jesteśmy tylko małymi trybikami w tej całej zabawie. Mówiłem, że ciężko będzie to zrozumieć bez pobieżnej choćby próby spojrzenia na całość. Ale spróbujmy. Kim był Aureliusz Marcellin, zakładam, że nawet pani wie?**

**–Od niedawna.**

**–Ale już pewnie o tak zwanych brunatnych apokryfach nie wie pani nic?**

**–Jak... Brunatnych?**

**–A więc mam rację. O tym nawet z profesorem Wileckim korespondowałem dość oszczędnie. Mam nadzieję, że wybaczysz mi to, mój drogi przyjacielu. – Spojrzał przepraszająco na towarzysza dawnych dyskusji. – Ale byłoby to zupełnie zbędne narażanie cię na niebezpieczeństwo.**

**Link wziął do ręki otwartą przez ochroniarza butelkę.**

**–Kto ma ochotę na lampkę wina?**

**–Chyba posłucham tego na trzeźwo – zdecydowała Sambierska.**

**Reszta, ku zdziwieniu gospodarza, pokiwała głowami, zgadzając się z lekarką, nawet Krzysztof mający przez cały ten czas dość obojętną, by nie powiedzieć znudzoną minę.**

**–No cóż. – Link się uśmiechnął. – Wiele tracicie, to rocznik osiemdziesiąty piąty. Może później. Wróćmy do naszych spraw. Źródło tego, o czym mówimy, leży w początkach tworzenia się tak zwanego kanonu wiary Jezusowej. Otóż za czasów Marcellina nie istniało coś takiego jak dzisiejsza Biblia. Krążyło wówczas po świecie tak wiele opowieści o życiu Chrystusa, że sami chrześcijanie nie wiedzieli, co jest prawdą, a co nie. Te opowieści niejednokrotnie były sprzeczne, czasem zupełnie nielogiczne, a co najważniejsze – prawie zawsze wieloznaczne. W czwartym wieku wyznawców Chrystusa było już tak wielu, że stało się jasne, iż z niewielkiej niegdyś**



sekty rodzi się potężna religia. Zdawał sobie z tego sprawę Konstantyn Wielki[60], rozumiejąc, że nie ma gorszej rzeczy niż prawdy religijne, które można interpretować na wiele różnych sposobów. Wierni muszą wierzyć w to samo, tak samo, posługując się takim samym obrządkiem.

–Jasne – mruknęła posępnie pod nosem Ola. – Cóż bardziej niebezpiecznego niż wolność...

Link na szczęście nie usłyszał uwagi lekarki, a Wilecki udawał, że nic nie powiedziała, więc profesor kontynuował.

–Chociaż, jak się podejrzewa, Konstantyn Wielki przez większość życia był poganinem, doprowadził do pierwszych politycznych ruchów w kierunku uporządkowania nowej religii. Możemy oczywiście wierzyć sobie w legendy typu *In hoc signo vinces*[61], *ale tak naprawdę trzeba było po prostu jasno określić, co jest prawdą, a co nie. Co jest dobre, a co złe. Wreszcie dać ludziom to, bez czego z pewnością nie dałoby się utrzymać żadnej wspólnoty, a mianowicie – święta. Wiecie – Wielkanoc, Wigilia, Popielec i tak dalej. Upraszczam, bo z naszego punktu widzenia ważna jest tylko jedna rzecz – narastający konflikt między cesarzem a jednym z najbardziej wpływowych ludzi na dworze Aureliuszem Marcellinem. Z tego, co wiemy, Aureliusz nigdy nie odważył się przyznać Konstantynowi, że posiada ogromną wiedzę swoich przodków, ale ochoczo z niej korzystał, wpływając na politykę cesarstwa. Sobór w Nicei stał się jednak jego porażką. Tym razem władca przeciwstawił się swojemu doradcy. Doprowadził do pierwszego soboru powszechnego, który nawet dość silnie popierał Marcellin, ale to, co tam się stało, odsunęło na zawsze przyszłego pierwszego wodza aurelitów od Konstantyna.*

–Byłam w Nicei – powiadomiła niespodziewanie ogół Sambierska. – Piękne morze, turyści, niewiele tam zostało się z atmosfery mrocznych średniowiecznych księżulów.

–To nie ta Nicea – delikatnie wyjaśnił Krzysztof.

–Słucham?

–Profesor mówi o mieście Nikaia, dzisiaj znanym jako Iznik. Leży w Turcji, a nie we Francji. Tam był sobór.

–Ups... – Ola parsknęła śmiechem, ale na szczęście niezbyt głośno. – Wybaczcie, nie mieliśmy tego na medycynie, a w szkole to olali.

–Nie szkodzi – powiedział dobrotliwie Link.

–Jeśli pójdziesz ze mną do łóżka, wyłożę ci to z najdrobniejszymi szczegółami – szepnął lekarce prosto do ucha Wilecki.

–On mi to zaraz powie – wyszczebiotała zalotnie Sambierska, pokazując brodą Linka – i to za darmo.

–On, to zaraz ci każe być Matą Hari[62], a ja, moja droga, potrafię udowodnić, jak dalekie potrafią być horyzonty wiedzy i uczuć wyższych...

–Przepraszam – wtrącił nieśmiało gospodarz. – Kiepsko mówię po polsku. – Profesor uśmiechnął się w ich stronę, ale widać było, że delikatnie prosi o ciszę.

–To my przepraszamy – odparł po angielsku Wilecki.

–A więc sobór nicejski – kontynuował Link – zamiast, jak spodziewał się Marcellin, zwycięstwa jego straszliwej, ponurej idei, o której za chwilę powiemy, na plan

**pierwszy wysunął konflikt między teologiem libijskim Ariuszem a biskupem Atanazym, późniejszym świętym. To miał być przecież jedynie pretekst do zgromadzenia największych umysłów ówczesnego świata chrześcijańskiego i zaszczepienia idei Aureliusza. Cesarz jednak dopilnował, aby nie tylko pomysły jego przyjaciela nie zostały zaakceptowane, ale także by potępiono arianizm w całości, decydując się na kierunek z grubsza panujący do dzisiaj. Tego wymagała polityka i spokój cesarstwa. Konstantyn musiał zaprowadzić względny pokój religijny, nie zaś tworzyć zaczyn niekończących się walk między wieloma odłamami ówczesnego chrześcijaństwa. Przyjaźń musiała odejść na dalszy plan. Klęska Marcellina była całkowita.**

**–A czego chciał ten Marcelim? – spytała poważnie Ola.**

**Profesor pociągnął spory łyk wina, wytarł delikatnie serwetką usta i przyjrzał się uważnie lekarce, jakby szukał w jej oczach odpowiedzi, czy jest gotowa usłyszeć prawdę.**

**–Jakiego pani jest wyznania? – spytał wstępnie.**

**–Na szczęście żadnego – odparła z naciskiem.**

**–No to chyba pójdzie nam łatwiej. Sądzę, że do wytłumaczenia tego potrzebna mi będzie tylko... pani wyobraźnia.**

**–Zamieniam się w słuch. – Ola się uśmiechnęła.**

**–Proszę sobie wyobrazić, że jest pani świadkiem stworzenia przez Boga naszego świata. – Profesor znacząco uniósł palec do góry. – Jak mówi Biblia, Stwórca zrobił to w siedem dni, a właściwie w sześć, bo siódmego odpoczywał. Świat boski to jednak nie tylko sam Jahwe, ale także całe armie aniołów, w dodatku bardzo różniących się pozycją, siłą i oczywiście nie zawsze ze sobą zgodnych. Liczne pisma zaginione i niezaginione mówią o wojnach aniołów, niekiedy zazdrosnych o miłość Boga, o ludzi lub zbuntowanych przeciwko ich stworzeniu i utracie dawnego idealnego, nieśmiertelnego świata. Najpoważniejszy konflikt w niebie zakończył się – jak wiemy – strąceniem do piekieł szatana Lucyfera wraz z jego zwolennikami. Opowiada o tym wiele apokryfów, a nawet objawienie świętego Jana. Każdy z nas o tym słyszał. Ponieważ zarówno pani, jak i ja jesteśmy ateistami, dla nas to tylko legendy. Ale kiedy przyjrzymy się temu trochę dokładniej, nagle okaże się, że moment ten był nie tylko najbardziej przełomowym, oprócz oczywiście śmierci i zmartwychwstania Chrystusa, wydarzeniem od czasu powstania świata, ale przede wszystkim doskonałą pożywką dla bardzo niebezpiecznych idei zrodzonych w umysłach ludzi pokroju Aureliusza.**

**–To chyba dość charakterystyczny motyw dla mitów i religii wielu wyznań – wtrąciła Ola. – Zbuntowany i nieposłuszny anioł lub półbóg, heros czy nawet w politeizmie pomniejszy bóg jest karany przez szefa. Nic wielkiego.**

**–No, niezupełnie – zaprzeczył ostrożnie profesor. – Niech pani zwróci uwagę, że Lucyfer był ulubieńcem Boga, najpiękniejszym aniołem, a nie jak się przedstawia go na malowidłach rogatym i kosmatym straszylem. Jego wyobrażenie miało przez wieki budzić lęk przed grzechem, nieposłuszeństwem i pychą, ale... pisma mówią co innego. Jego potęga przerastała nawet wielkich archaniołów, takich jak Gabriel, Rafał**

czy Uriel, o czym bardzo dokładnie mówi zaginiona przed piętnastoma wiekami *Księga wschodnich masoretów*[\[63\]](#), zwana przez aurelitów *Brunatnym apokryfem*. *Niestety, ta wiedza przetrwała tylko w umysłach Kapłanów i... mojej rodziny.*

Link spojrzął kontrolnie na Krzysztofa, ale Lorent nawet nie zareagował.

–A więc ten piękny, potężny ulubieniec Boga musiał upaść – ciągnął profesor. – Jak pani myśli, dlaczego?

–Zbuntował się.

–Czyżby? Przez wieki buntowało się wielu aniołów i Bóg potrafił im wybaczać.

–Był zbyt potężny?

–Jak się okazało, potrafił pokonać go archanioł Michał, bo przecież to on stracił Lucyfera do piekieł. A więc w poczuciu wielkości szatana tkwiła tak naprawdę słabość.

–Odkrył to, czego nie powinien nigdy poznać?

–Tak było z Adamem i Ewą. Przed aniołami Bóg otworzył pełnię wszechwiedzy.

–Więc dlaczego?!

–Bo zbuntował się przeciwko stworzeniu... kobiety. – Profesor uśmiechnął się tajemniczo i dość niepokojąco. – Pierwszej kobiety, Ewy.

Nastąpiła na krótko cisza.

–Był tak mądry – mówił po chwili Link – że zanim pojawiła się ta istota w raju, już widział, że upadać przez nią będą całe potęgi, a najwięksi tego świata skończą na kolanach jako żebracy.

Ola mocno zmarszczyła brwi.

–Proszę pamiętać, to tylko legendy i mity – dodał z uśmiechem Link. – Książdz z pewnością nam wybaczy.

Krzysztof z miną pokerzysty sięgnął po kawałek żółtego sera.

–Chce pan powiedzieć, że Lucyfer stał się pierwszą ofiarą kobiety?! – jęknęła Sambierska.

–Oczywiście. Pisze o tym nawet pani rodak, profesor Kopaliński, w swoim zbiorze mitów i tradycji kultury. Wyjaśnia tam przy okazji, dlaczego Lucyfer, mimo że jest księciem ciemności, nosi miano „tego, co niesie światło”. Dosłowne tłumaczenie z łaciny – Lucifer, „nosiciel światła”. Wielu sensatów kojarzyło jego postawę ze światłem wiedzy, które stało się symbolem obrony wolności, postępu, prawa do buntu. W rzeczywistości to wynik pomyłki. W Biblii Izajasz woła do Nabuchodonozora pokonanego przez Medów – „Jakżeś nisko upadła z nieba gwiazdo zaranna!”. Tę upadłą gwiazdę (najprawdopodobniej Wenus) przetłumaczono później na łacinę jako Lucifer, a z czasem błędnie odniesiono do upadłego anioła.

–Rozumiem – zgodziła się Ola. – Ale dlaczego te mity i wierzenia w rękach Aureliusza były tak groźne?

–Ma pani to jak na dłoni! Ulubieniec Boga, najsilniejszy anioł, potężny przyjaciel archanioła Michała nagle właśnie przez niego jest okrutnie karany, pokonany, wtrącony do piekła, a z pięknego, niemal brata Boga staje się sednem całego zła, czego powodem jest biedna, niewinna niewiasta – Ewa. Nie odnosi pani wrażenia, że to nie trzyma się kupy?

**–Profesorze! – nie wytrzymał Krzysztof.**

**–Poczekaj chwilę, wiesz, do czego dążę! – Profesor zerwał się z fotela.**

**–To czyste sofizmaty![\[64\]](#)**

**–Oczywiście, ale niech odpowie! Olu? Odpowie pani?**

**–No... może.**

**–Właśnie! – Link klasnął w ręce. – Może więc jednak było zupełnie inaczej, a to, co przekazują nam pisma, jest jedną wielką mistyfikacją! Może to Bóg, pełen wiary w dobroć Lucyfera i swojego wielkiego strażnika, Michała, doświadczył tego, że miłość znaczy przede wszystkim słabość?!**

**–Co pan chce przez to powiedzieć? – spytała zdezorientowana Ola.**

**–Że być może na tronie niebiańskim nie siedzi teraz Stwórca świata, ale szatan, który przybrał jego postać, a pierwotny Bóg został podstępem strącony do piekła i uwięziony przez Lucyfera oraz Michała. I właśnie archanioł Michał siedzi teraz po prawicy tego, który wszystkich nas oślepił i szepcze nam do ucha największy fałsz, o jakim słyszała ludzkość – że światem rządzi Bóg!!!**

**Link nabrał głęboko powietrza.**

**–Dlaczego świat jest tak okrutny, inny niż ten pierwotnie stworzony? – mówił dalej z pasją. – Dlaczego człowiek ma w naturze zabijanie innego życia w imię egoizmu, pieniędzy, władzy? Dlaczego ludźmi rządzi przemoc, strach i nietolerancja?! Dlaczego umierają nienarodzone dzieci? Dlaczego w ogóle musimy umierać?!**

**Profesor przerwał na chwilę, by głęboko spojrzeć w oczy Oli, a następnie dokończył niemal szeptem:**

**–Bo uwięziony w piekle Bóg nic temu nie może już zaradzić, a fałszywy Jahwe rządzi całym stworzeniem, przybierając jego imię. Świat to jedna wielka mistyfikacja, a my – ludzie – jesteśmy skazani na samotność i potęgę zła! Nie pozostaje nam nic innego, jak walczyć ze złym i buntować się przeciwko temu światu. Jezus Chrystus, prawdziwy Syn Boży, któremu cudem udało się dostać na Ziemię w ciele człowieka, podjął walkę z szatanem, ale ją przegrał. Lucyfer w końcu złamał jego wolę, zaraził wątpliwością jego duszę i śmierć na krzyżu poszła na marne. Szatan wszedł w umysły proroków i całe dobro głoszone przez Chrystusa służy teraz złemu. Ale walka trwa.**

**Ola kilka razy głębiej odetchnęła.**

**–Przyznam, że pana teoria jest... straszliwa, nieprawdopodobna, nie...**

**–To nie jego teoria – wtrącił spokojnie Krzysztof.**

**Sambierska skierowała bezradne, pytające spojrzenie w stronę Linka.**

**–To właśnie jest idea aurelitów, przyniesiona im w darze wszechwiedzy przez Marcellina. – Profesor padł na fotel i przymrużył oczy. – Mam nadzieję, że wybaczy mi pani tę manipulację, ale obawiam się, że to najlepszy sposób prowadzący do zrozumienia tego, kim on był i jakie jest źródło potężnej władzy aurelitów nad całym systemem, jaki przez wieki tworzyli.**

**–A więc... to po prostu sekta – powiedziała wolno Ola.**

**–To coś więcej niż sekta. Sama pani mogła się wielokrotnie o tym przekonać.**

–Jak coś takiego mogło przetrwać do dzisiaj?

–Bez najmniejszego problemu – odparł profesor. – Po porażce nicejskiej Aureliusz zgromadził wokół siebie spore grono zwolenników. Byli wśród nich niegdysiejsi oficy, kainici i wielu innych gnostyków, którzy już dawniej uważali, że świat stworzony przez Boga Starego Testamentu jest zły i dobrze robi ten, kto się przeciwko niemu buntuje. Przecież to kainici spisali tak zwaną Ewangelię Judasza, przedstawiając zdrajcę Chrystusa jako postać pozytywną, która prowadzi Jezusa ścieżką przeznaczenia, wyznaczając mu drogę do zbawienia świata poprzez cierpienie, a aurelici poszli znacznie dalej. Uznając wiedzę i doświadczenie mistyczne za najważniejszy warunek zbawienia, wierzyli, że tylko bunt i właśnie bezgraniczna, absolutna wiedza mogą uwolnić Boga z piekieł. Tak więc wszystko, co w Biblii uznane jest za złe, oni przedstawiają swoim uczniom jako dobro. Sodoma, Gomora, Judasz, a nawet ofis, wąż, który skusił Ewę. Duch boski wydostaje się czasem z uwięzienia i walczy ze zdrajcą, swoim byłym ukochanym aniołem, choćby w formie wspomnianego węża nakazującego pierwszym ludziom przeciwstawić się złu ukrywającemu prawdę. Adam i Ewa, jako pierwsi ludzie, zbuntowali się przeciwko szatanowi, więc wysłał ich na ziemię, by cierpieli, chorowali, umierali. Lucyfer nienawidził stworzenia boskiego, a szczególnie kobiet, o czym już wspominaliśmy. To dlatego przez wieki kobieta była przede wszystkim uosobieniem tego, co negatywne, pasywne, symbolizujące chaos, niezgodę.

–Jak tylu ludzi mogło za nim pójść... – Ola zrezygnowana zwiesiła głowę.

–Proszę pamiętać, że ludzie, zwłaszcza nieszczęśliwi, zakompleksieni, słabi, lękliwi bardzo łatwo ulegają manipulacji – podjął profesor. – Pani jest – jak oceniam – osobą dość silną, ugruntowaną w poglądach, trzeźwą w osądach, a jednak stosując określone metody, udało mi się, proszę przyznać, przez kilka chwil pozwozić trochę panią, nieprawdaż?

–Był pan przekonujący. – Lekarka roześmiała się. – Ale chyba nie pękłam.

–Cieszę się, oby tak dalej. Ale dziś aurelici to bardzo nowoczesnie zorganizowane, zdyscyplinowane i – co najważniejsze – niezwykle wpływowe tajne stowarzyszenie. Aureliusz, mający potężną wiedzę przodków, umiał fenomenalnie ją wykorzystać do swoich celów. Wiedział, jak manipulować tłumami, umiał skutecznie i trwale ugruntować pozycję swojej organizacji. Od ponad półtora tysiąca lat aurelickich rycerzy dobiera się w taki sam sposób. Adepcci zawsze przyjmowani są przez mistrza jako małe dzieci, wręcz niemowlęta z biednych rodzin lub wprost z ulicy, z przytułków, sierocińców. Wychowane od początku w ich wierze, niekiedy pamiętające okrutny świat, z którego wydobył ich Ojciec-Mistrz, są mu bezgranicznie oddane. Przez lata ćwiczą ciała i umysły do walki, ochrony bractwa, wreszcie do konfrontacji z Kapłanami. Wiedza przechodząca z pokolenia na pokolenie jest konsekwentnie poszerzana i doświadczana. Ich cel stanowi oczekiwanie na kolejnych Kapłanów, by wreszcie osiągnąć taki stopień świadomości, który umożliwi wyzwolenie się ze zła tego świata, dzięki czemu duchowa walka szatana z Bogiem się skończy, Stwórca stanie się wolny i zapanuje ponownie nad światem.

–Noc Kapłanów...

–Właśnie. Wielkie misterium oddania się wiedzy. I choć jego przebieg jest dokładnie opisany w tajnych księgach aurelitów, nikt ze współczesnych go jeszcze nie przeżył. Do tego potrzebna jest nie tylko obecność Kapłana, ale i jego wola. A o to, jak wiemy, bardzo trudno.

–Zdarzali się tacy, którzy ulegali?

–Tak – powiedział nagle, choć dość beznamyślnie Krzysztof. – Zdarzało się.

Większość walczyła z bractwem, jednak nie wszyscy.

–Marcellin, kiedy już wpadł w konflikt z Konstantynem, nie był prześladowany?

Jego wyznawcy nie spłonęli na stosie? – pytała dalej Ola. – Średniowiecze pełne było takich przypadków!

–O nie, pani doktor. – Link uśmiechnął się dobrotliwie, jak to miał w zwyczaju, gdy rozmawiał z laikami. – Po pierwsze, to jeszcze była starożytność, a chrześcijaństwo raczkowało. Zbliżała się już fala różnorodnych prześladowań religijnych, ale prawdziwe stosy zapłonęły tysiąc lat później. Proszę pamiętać, że nie istniał jeszcze kanon ksiąg prawdy. Wyznawcy mieli dostęp do ponad czterdziestu ewangelii, z których jedne mówiły o ascetycznym, przykładnym życiu syna Boga na ziemi oraz o jego męczeńskiej śmierci w imię odpuszczenia grzechów, inne sugerowały jego związek z Marią Magdaleną, a jeszcze inne miały Judasza za niemal świętego. Wbrew temu, co niektórzy sądzą, to nie na soborze nicejskim dokonano wyboru kanonu Nowego Testamentu, ale ponad siedemdziesiąt lat później na synodzie w Kartaginie w 397 roku. To wtedy uznano, że tylko cztery ewangelie: Marka, Mateusza, Łukasza i Jana, są tymi najprawdziwszymi. Pominęto na przykład ewangelię świętego Tomasza, Filipa, słynną szczególnie w ostatnich latach, choć przecież zawsze znaną – ewangelię Judasza, a nawet, co ciekawe, ewangelię... Marii Magdaleny.

Profesor ponownie się uśmiechnął.

–Tak, tak. Istniała też i taka ewangelia. Ale wybrano tylko cztery, a i one bardzo często były z różnych, najczęściej politycznych, względów zmieniane. Wtedy już zarówno cesarz, jak i Marcellin dawno nie żyli. Ale swoich uczniów Aureliusz wyposażył w ogromną wiedzę, która pozwalała przetrwać oraz sukcesywnie zdobywać wpływy na całym świecie. Ambitny Rzymianin wiedział, że nie może postępować jak większość chrześcijan, którzy najdonośniej jak tylko mogli głosili wszem i wobec peany na temat swojej wiary. On zdecydował się na tajemnicę, dyskrecję i elitarność. Jego stowarzyszenie było zawsze tajne, surowe w obyczajach, skuteczne, ale i bezwzględne. Marcellin był bardzo bogaty. Jego majątek przejęli następcy i wielokrotnie go pomnożyli. Przy całym krytycyzmie dotyczącym aurelitów, trzeba przyznać, że to akurat jest wyjątkowo imponujące. Nie rozkradano, nie nadużywano, a kiedy ktoś próbował imać się oszustwa, bardzo surowo za to karano. Chętnie pracowano też dla nich na dworach całej Europy. Wszędzie można było znaleźć niezadowolonych, zazdrosnych, zawiedzionych, ale ambitnych dworaków. Swoich szpiegów mistrzowie rzadko wprowadzali w zasady ich wiary, ale zawsze świetnie takim „pracownikom” płacono. Dlatego jeśli gdziekolwiek działało się cokolwiek, co mogłoby zainteresować aurelitów, dowiadywali się o tym niemal natychmiast. Prawda, młody wikingu z Jelling? – Profesor przeniósł wzrok na

**Krzysztofa.**

**–A więc jaki jest plan? – spytał spokojnie Lorent.**

**Wyglądało na to, że śniadanie dobiegło końca. Link uniósł się wolno, podszedł do kredensu stojącego pod ścianą i wyjął z jednej z małych szufladek fajkę.**

**–Nie będzie wam przeszkadzało? – spytał na wszelki wypadek.**

**Cała trójka pokręciła przecząco głowami.**

**–Pani doktor, a nawet pan profesor Wilecki są tutaj przypadkowo. – Link zapełnił fajkę tytoniem, a następnie zapalił ją. – Byłem pewien, że Kapłan dotrze do mnie samotnie. Ale przemyślałem sytuację i sądzę, że dla każdego znajdzie się rola w tym, co zamierzam wam zaproponować.**

**Ola poruszyła się niepewnie na krześle, a Wilecki nerwowo zlustrował otoczenie, jakby szukał czegoś, czego nie spodziewał się znaleźć.**

**–Profesorze – podjął lekko zmieszany. – My nie znamy się na takich sprawach. Ja jestem naukowcem, a pani doktor zajmuje się leczeniem nerwowo i umysłowo chorych. Nie sądzę, abyśmy się mogli tu na coś przydać.**

**–Też tak uważam – dołączyła się bardzo tym razem zgodna z Bogusiem Ola. – Widział pan, jak wyglądał nasz skok na katedrę!**

**–Myślę, że oboje państwo się mylicie – zaprzeczył Link. – Ale to będzie wasz wybór. Po prostu mnie wysłuchajcie. Zaproponuję wam rozwiązanie, dzięki któremu będziecie mieli szansę wrócić do pracy, do normalnego życia.**

**Sambierska i Wilecki spojrzeli po sobie.**

**–Jeśli to się uda – mruknęła cicho lekarka po polsku do wciąż zakłopotanego sąsiada z fotela obok – pójdę z tobą do łóżka.**

**Wilecki wstał i podniósł palec do góry, jakby zgłaszał się do odpowiedzi.**

**–Po przemyśleniu stwierdzam, że pański plan z pewnością jest godny uwagi. Stawiam się do pana dyspozycji! – rzekł głośno.**

**Luigi Balea wyjął z szafy neseser, a następnie włożył do niego wszystkie uprzednio przygotowane rzeczy. Nie śpieszył się, ale nie zamierzał też tracić niepotrzebnie czasu. Zerknął na zegarek, dyskretnie wyjrzał przez okno i usiadł na chwilę na krześle. Zamknął oczy i postanowił kilka chwil poświęcić medytacji. Do pokoju wszedł Iosif Punin.**

**–Jestem gotowy – rzucił z progu.**

**–Wyjeżdżamy za pięć minut. – Balea otworzył oczy i ponownie popatrzył w stronę okna.**

**–Tomasz nie odpowiada pod żadnym z telefonów – mruknął Punin niedbale, jakby nigdy nic.**

**–Słucham?! – Luigi sprytnie udał zdziwienie.**

**–Jego zachowanie jest dziwne, mój bracie. Może powinniśmy go odszukać. I to jak najszybciej. – Aurelita zacisnęła mocno wargi.**

**Balea przyjrzał się uważnie twarzy Iosifa.**

**–Wiesz przecież, że musimy natychmiast wyjechać. Mam sygnał, że Kapłan pojawił się w Wiedniu.**

**–Tomasz nie odbiera telefonu, którego nigdy nie powinien wyłączać. To bardzo**



niepokojące.

–Sprawdzę go – przytaknął Luigi. – W razie czego wydam odpowiednie rozkazy. My nie możemy teraz się tym zajmować.

–Posłuchaj... – Punin nie dokończył, bo drzwi ponownie się otworzyły i stanął w nich Emil.

–Bracia... – zaczął, ale szybko za nim pojawiła się smukła postać Adera Rode, i Polak zamilkł. Zarówno Luigi, jak i Iosif pamiętali go jeszcze z dzieciństwa. Był ich pierwszym nauczycielem filozofii, walki wręcz, medytacji i sztuki przetrwania w naturze. Starszy od nich przynajmniej o trzydzieści lat, ale czas okazał się dla niego łaskawy. Włosy nawet w części mu nie posiwiały, w oczach nie odbijało się zmęczenie, a ciało jak dawniej było szczupłe, idealnie niemal wyprostowane, dostojne.

Obaj pamiętali jego surowe metody, ale z czasem docenili też wielkość mistrza z Bonn. Chłopcom jeszcze długo po jego wyjeździe śnił się głód w nieprzyjaznym, wielkim lesie, nieludzkie zmęczenie, trudne do opanowania pragnienie.

Rode uczył umiejętności przetrwania w takich warunkach. Pokazywał, jak zespalać się z naturą, czerpać z niej siłę, pożywienie, energię. Jak być niewidzialnym, szybkim, przebiegłym. Gdy na rozkaz ojca powrócił później do Niemiec, dalsza nauka zdawała się już łatwiejsza, bardziej przejrzysta, a nawet bardziej odarta z wzbudzających lęk tajemnic.

–Widać nie byłem na tyle dobrym preceptorem, aby nauczyć was sztuki zachowywania uczuć dla umysłu, a nie malowania nimi całej twarzy – rzekł chłodno, wchodząc do środka. Rzeczywiście, zdziwienie obu aurelitów było ogromne.

–Mistrz – zaczął Balea. – Twoja obecność tutaj jest dla nas niespodzianką.

–Widzę – odparł Rode. – Nie zatrzymuję cię, Luigi, wiem, że wyjeżdżasz.

–Tak, ale dlaczego... jesteś w stroju... w szkaplerzu? Nosimy nasz strój tylko u siebie, chyba że...

–Walczymy – dopowiedział chłodno Punin.

Balea odwrócił się w jego stronę.

–Coś ty zrobił?!

–Ten zdrajca, Tomasz... – wycodził przez zęby Iosif.

–Jedź, Luigi, czas na ciebie – przypomniał Ader Rode. Za szklanym wyjściem do ogrodu pojawiło się już trzech aurelitów w ciemnozielonych habitach, nakrytych pelerynami.

–Powiedz, mistrzu, co z nim zrobicie, a odejdę.

–Nie sprzeciwiaj się, to rozkaz ojca. Iosif miał być w Chatillon najpóźniej wczoraj rano. Zabił tu dwóch ludzi, naraził na niebezpieczeństwo nas wszystkich i – jak sądzę – miał w zamiarze zdradę.

–Nigdy nie zdradziłem ojca! – wybuchnął Punin. – Ten podły robak, Tomasz, i jemu podobni spiskują przeciwko mnie i wprowadzają w błąd mistrza Aureila. Luigi! Bracie mój! – Rzucił rozognione spojrzenie w stronę Balei. – Pomóż mi! Wiesz, że moje intencje są szczerze!

Nastąpiła cisza. Rode spuścił głowę i nabrał głęboko powietrza. Czekał.



–Tym razem nie mogę ci pomóc, bracie – odezwał się wreszcie Luigi. – Obyś umiał naprawić, co zniszczyłeś. Mam nadzieję, że zobaczę cię jeszcze w dobrym zdrowiu.

Zabrał ze stołu swój neseser i szybko wyszedł.

Ader przeniósł wzrok na Punina.

–Nie musisz umierać, mój uczniu. Mam rozkaz dowieźć cię do Chatillon. Dopiero tam odpowiesz przed ojcem za winy.

–Nie mogę pójść z tobą, nauczycielu – odparł Iosif. – Choć nie lękam się stanąć przed ojcem. Mam misję, która na mnie czeka.

–A więc wybierasz śmierć – rzekł Rode spokojnie, ale głosem niepozobawionym żalu. Powoli wyjął miecz spod mucetu.

–Minęło wiele lat, nauczycielu. Nie sądzę, abys potrafił mnie dziś powstrzymać. – Iosif sięgnął ręką za głowę i wyciągnął swój miecz, który trzymał zawsze na plecach pod kamizelką i marynarką. – Jeśli dalej będziesz stał mi na drodze, ty znajdziesz tu dzisiaj śmierć.

–Rozpiera cię pycha.

–Duma, nauczycielu, mam prawo do niej. Już dawno cię przerosłem, o czym powinieneś wiedzieć.

Ruszył z furią, zadając ciosy szybkie jak błyskawica, nie zwracając uwagi na upadające wazony i przewracane krzesła. Każde jednak z jego uderzeń Rode skutecznie odpierał. Jego twarz – chłodna i wciąż spokojna – nie wyrażała niczego, z wyjątkiem skupienia. Czekający w ogrodzie aurelici stali w bezruchu.

–Stój! – rzucił nagle Ader. Podniósł lewą rękę do góry, co Iosif uszanował i natychmiast przerwał walkę. – Nie tu! Wyjdźmy do ogrodu.

–Dobrze. – Punin skinął głową i ostrożnie otworzył szklane drzwi. Aurelici na znak Rodego szybko rozstąpili się, aby zrobić miejsce walczącym.

Nauczyciel dał znak i Iosif znów ruszył, zadając kolejną serię ciosów, nie tylko szybką, ale w nieoczekiwany sposób skoordynowaną, a przy tym wciąż płynną. Ader z coraz większym wysiłkiem odpierał uderzenia, starając się, aby przeciwnik uznał własny styl walki za skuteczny. Wtedy właśnie, gdy Punin już zyskał pewność, że kontroluje wszystko, Rode nagle przyklął, nietypowo uniósł łokieć do góry i ciał Iosifa przez udo. Cios nie tylko doszedł celu, ale przede wszystkim głęboko ranił młodego aurelitę. Krew momentalnie trysnęła z rany, a Iosif padł na trawę. Ader podniósł się i natychmiast zaatakował go z góry, mając pewność, że to już koniec. Wtedy odpierając jeden z prostopadłych ciosów, Punin celowo skierował go na swoje lewe ramię. Ostrze przebiło mięsień i wniknęło w ciało. Iosif wiedział, że to jedyny teraz sposób, aby uratować życie. Podstęp się udał. Na ułamek sekundy Rode zatrzymał się. Ta krótka chwila wystarczyła, aby młody aurelita zadał straszliwy, ostateczny cios w szyję nauczyciela. Zapanowała cisza. Rode padł martwy obok swojego dawnego ucznia. Punin z trudem się uniósł. Był ciężko ranny i wiedział, że jeśli chce pokonać pozostałych przeciwników, musi to zrobić najdalej w kilka sekund. Później całkowicie opadnie z sił. Towarzyszący nauczycielowi młodzi rycerze byli jednak za mało doświadczeni. Gdyby poczekali i grali na czas, Iosif nie potrafiłby ich

**pokonać. Oni jednak, widząc śmierć swojego mistrza, rzucili się bezładnie na zabójcę, karygodnie zapominając, z kim mają do czynienia. Pierwszy z nich zginął natychmiast od rozległego cięcia, które doszło aż do wątroby i przecięło ją niemal na pół jak jabłko. W tym czasie drugiemu z przeciwników udało się zadać cios w plecy ledwie przytomnego Punina, ale ta rana była zbyt płytka. Odwrócony impetem uderzenia Iosif, trafił ostrzem w skroń młodziutkiego Aurelity, który nawet nie zdążył krzyknąć, zanim skonał. Ostatni z uczniów Adera Rode stał według zwyczaju, czekając na wynik pojedynku. Był trochę starszy od reszty młodych przybocznych Niemca, wyraźnie bardziej doświadczony i opanowany. Utkwił wzrok w Puninie, który padł na trawę.**

**–Nie czekaj na moją śmierć, bracie – wydusił z wysiłkiem Iosif. – Dzisiaj nie umrę. Dzisiaj nie umrę...**

**Do rannego podbiegł Emil.**

**–Co mam robić? – spytał cicho.**

**–Zabierz mnie stąd jak najszybciej.**

**–Dokąd?**

**–W bezpieczne miejsce...**

**Punin stracił przytomność.**

## Rozdział 8

Profesor Eberhard Link rozłożył mapę na stole. Wyjął z kieszeni srebrny długopis i wskazał zaznaczony wcześniej punkt. Ola, Wilecki i Lorent nachylili się nad blatem.

–To jest Chatillon – zaczął Link, gestem nakazując jednemu z ochroniarzy, aby przyniósł zdjęcia. – Niewielka wioska, w większości własność bardzo starej arystokratycznej rodziny de Rochefort. Centralnym punktem wsi jest średniowieczny zamek, obecnie w rękach Ludwika Gossarda de Rocheforta. Oczywiście odziedziczył wszystko po przodkach, którzy mieszkali tam od 1593 roku. Już w siedemnastym wieku Chatillon był znaczącym ośrodkiem aurelickim, teraz jest centrum, w którym mieszka Ludwik, Wielki Mistrz, wybrany przez Radę ponad czterdzieści lat temu. Podczas tajnej ceremonii został namaszczoney, otrzymał dożywotni tytuł i przyjął imię Aureil.

–Co o nim pan wie? – spytał Krzysztof, wciąż pochylony nad mapą.

–Jego rodzina zawsze była ścisłą elitą aurelicką – odparł Link. – Rocheforta wychowano w tym duchu, a jego kariera zmierzała właśnie do tego, aby zostać przywódcą bractwa. Nigdy nie był żołnierzem, pochodził z samej arystokracji stowarzyszenia. Dziś ma ponad siedemdziesiąt lat, ale wciąż jest przebiegły, bezwzględny i bardzo sprawny umysłowo. Coś ci się kojarzy w związku z tym nazwiskiem?

–Nie – przyznał Lorent. – Nie wiem, skąd pan ma te informacje, ale żaden z moich przodków nigdy nie dotarł tak blisko mistrza. Pamiętam, jak byli zorganizowani przed setkami lat, jakie mieli metody, zwyczaje, ale nic poza tym.

–Dziś są podobnie zorganizowani, jak kiedyś – ciągnął profesor. – Jednak świat się zmienił. Kiedyś najdroższe było złoto, teraz najdroższa jest informacja, kiedyś wieści roznoszono konno, dzisiaj to kwestia kilku sekund i przyciśnięcia odpowiednich klawiszy w komputerze. Oprócz mistrza, elitarnej Rady, jej najbliższego otoczenia i żołnierzy, do tajnego stowarzyszenia należą także zwykli z pozoru ludzie. I to oni stanowią o potędze aurelitów Urzędnicy, politycy, prawnicy... Są wszędzie – w rządach, parlamentach, wojsku i oczywiście w wielkim biznesie. Łączy ich dzisiaj nie tyle idea, ale – jak sądzę – przede wszystkim po prostu interes. Prawda jest taka, że konserwatyści pokroju Aureila, mimo że cały czas są silni, jednak tracą w szeregach bractwa dawną popularność, i to nasza szansa.

–A żołnierze? – wtrąciła Ola.

–Nie mieczami wygrywa się dzisiaj wojny. – Profesor pokręcił głową. – To relikwiny tradycji. Oczywiście, że są niezwykle groźni, wciąż doskonale wyszkoleni i w walce jeden na jednego praktycznie niepokonani, ale została już ich właściwie garstka. Oni, Aureil, Rada i starzy aurelici, potrzebują Kapłana do pokonania szatana, który rządzi światem. Wierzą, że duchowa walka o uwolnienie uwięzionego Boga może być skuteczna tylko dzięki tajemnicom skrywanym w duszach i umysłach ludzi takich jak ksiądz Krzysztof. Ale dla reszty... wiedza oraz ich system to po prostu droga do nieograniczonej władzy, kariery i bogactwa.

–Nic specjalnie odkrywczego – mruknął Wilecki. – Tu akurat nie są oryginalni.

–To prawda – przyznał Link.

–A ta Rada? – spytał Krzysztof.

–W krajach, gdzie aurelici są obecni, a jest ich dużo, istnieją przywódcy mianowani przez mistrza, gdy ich poprzednicy umierają. Wszyscy oni zbierają się tylko wtedy, kiedy umiera „Ojciec”, jak go nazywają, aby wybrać nowego. To jest Rada.

–A Chatillon?

–Oficjalnie to posiadłość ekscentrycznego filantropa, arystokraty, który otoczył opieką wiele sierocińców, szkół, a nawet zakładów poprawczych. Pan de Rochefort współpracuje z całą masą instytucji charytatywnych i łoży na nie sporo pieniędzy. Słowem – ideał. Pilnuje swojej prywatności, ale to jego prawo. Nikt nie ma pojęcia o prawdziwej władzy Ludwika de Rocheforta.

Krzysztof wolno podniósł się znad stołu.

–Z tego, co pan mówi – podjął niezbyt entuzjastycznym tonem – nie mamy najmniejszych szans, choćby pański plan był nie wiem jak sprytny. Nigdy się od nich nie uwolnimy. Wy będziecie stale w niebezpieczeństwie, mnie będą ścigać do końca życia.

–Mylisz się, Kapłanie. – Profesor uśmiechnął się. – Nie powiedziałem wam jeszcze tego, co najważniejsze. Kiedy o tym usłyszysz, szybko zmienisz zdanie.

Telefon Linka dziwnie wypiszczął początek V symfonii Beethovena. Gospodarz przeprosił gestem wszystkich obecnych, otworzył drzwi swojego gabinetu i zniknął na dwie minuty. Gdy wrócił, miał zachmurzoną twarz, jakby otrzymał niepomyślną wiadomość. Nie odzywał się jeszcze przez chwilę, analizując być może to, co usłyszał, odetchnął ciężko i spróbował przywrócić na twarz spokój.

–Zdarzyło się coś, co nie pozwala nam czekać – odezwał się wreszcie. – Musimy zaczynać natychmiast. Proszę państwa jeszcze na chwilę do stołu. Chciałem to zrobić później, ale mogę już nie zdążyć, dlatego powiem wam wszystko teraz.

\* \* \*

Nieprzyjemnie słodki smak w ustach zbudził Iosifa, ale tylko na chwilę. Nie pamiętał, jak się znalazł w tym miejscu, choć domyślał się, że to Emil zabrał go z willi. Śnił i wiedział, że to nie jawa. Opadał powoli na trawę, ciągnącą się nieskończenie pod horyzont, jakby czas płynął wolniej, aż wreszcie przylgnął do ziemi i stracił ostatecznie siły. Słyszał budzące strach kroki coraz bliżej i bliżej, ale nie potrafił się podnieść. Ciało stawało się cięższe, aż wreszcie stracił całkowicie nad nim kontrolę. Wtedy nagle znalazł się wysoko ponad bezkresną trawą, by stamtąd zobaczyć siebie, bezradnego jak dziecko. Od horyzontu ciągnęły zewsząd w jego stronę setki, tysiące żołnierzy w czarnych jak noc zbrojach.

–Zwyciężyłeś, szatanie... – szepnął ostatkiem sił.

–Iosif! – usłyszał nad sobą zaniepokojony głos.

Otwierał oczy powoli i z trudem. W mglistej postaci rozpoznał jednak Emila.

–Gdzie jesteśmy? – spytał z wysiłkiem Punin.

–Miałeś jakieś koszmary, bredziłeś.

–Gdzie jesteśmy? – powtórzył.

–U mnie.

–Nikt nie widział?

–Nie. Wniosłem cię od garażu. Straciłeś sporo krwi. Opatrzyłem ci rany, ale sam nie dam rady nic więcej zrobić. Jedzie już lekarz i pielęgniarka.

–Są... – Iosif nagle zakrztusił się, ale po chwili zdołał złapać znowu oddech. – Są nasi?

–Tak.

–Musisz zawiadomić mistrza – szeptał dalej Punin.

–Mistrza?!

–Tak, waszego mistrza, tu w Polsce. Potrzebuję kontaktu z nim. To moja jedyna nadzieja. – Uniósł się z wysiłkiem, ale za chwilę znów opadł na poduszkę.

–Nie mam z nim kontaktu. Nie znam go – odparł bezradnie Emil. – Ja i ci bracia, których znam, otrzymujemy wszystkie informacje, polecenia i finanse od Tomasza.

–O mój Boże... – jęknął Iosif, ciężko oddychając.

–Tomasz nie odbiera telefonu, nie ma go w domu, jakby zapadł się pod ziemię.

–A... jakby... Tomaszowi się coś... stało?

–Wtedy zgłosiłby się inny przełożony, miałby pieczęć, hasło, kody do kont. Wciąż czekam, ale nic się nie dzieje. Może skontaktować się jednak z Luigim?

–Nie... – stęknął z wysiłkiem Iosif. – Nie dzwoń do Luigiego...

Aureil wyszedł ze swojego gabinetu i podążył korytarzem w kierunku podwórza. Twarz miał zachmurzoną, jakby zastygłą. Pozorny spokój, nigdy nieznikający z oblicza mistrza, zyskał dziś skazę, którą trudno będzie wymazać. A więc wielki Ader Rode nie żyje. Nauczyciel większości żołnierzy, mistrz rytuału, ostoja honoru i potężne ramię tradycji. Zginął jako jeden z ostatnich wielkich aurelitów. Nieubłagany czas odda wkrótce los wielkiego posłannictwa w ręce takich synów tego świata jak Iosif Punin. Młodych, niemoralnych, chorobliwie ambitnych, a przecież właśnie dlatego przegranych.

–Pierre... – szepnął cicho, widząc starego mnicha wychodzącego ze swojej komnaty.

–Mistrzu.

–Doszły już do mnie tragiczne wieści, zatem zwolnię cię z ciężaru przekazania ich braciom. Ja się tym zajmę. Powiedz mi tylko, czy wiadomo, co się dzieje z bratem Iosifem?

–Prawdopodobnie również nie żyje. Kiedy Emil, polski diakon, zabierał go ze sobą, był ciężko ranny – odparł Pierre. – Postaram się szybko czegoś dowiedzieć.

–Na razie nie szukaj, zrobisz to potem – powiedział z trudem Aureil. – Nie powiadam nikogo w Polsce i nikogo tam nie wysyłaj. Jeśli żyje, wróci. Taki już jest. Mój grzech polega na tym, że ugiąłem się i pozwoliłem mu na tę misję. To ona wydobyła z niego wszystko, co w nim najgorsze. Szatan znowu zwyciężył, a ja muszę zgładzić mojego ukochanego syna. Czas przechyla szalę na stronę zła. Jeśli Kapłan nie zjednoczy nas wszystkich, będziemy zgubieni.

Pierre spuścił pokornie wzrok i nic nie odpowiadał. Aureil położył rękę na jego pochylonej głowie.

–Dlaczego dusze takie jak my stają się tak poniżająco bezpłodne? – spytał cicho.

Pierre uniósł wzrok.

–Wciąż jesteśmy silni jak kiedyś. Nasza potęga nigdy nie upadnie – rzekł z przekonaniem.

–Potęga, siła i wiara to córki miłości, a tej coraz mniej między braćmi.

–Odpuść, ojciec, to był trudny dzień.

–Moje sny nie pozwalają mi spokojnie wypoczywać. Zbliży się coś strasznego i nie mogę odgadnąć co. Wiem jednak, że niedługo będziemy musieli stanąć twarzą w twarz ze złem, którego jeszcze nie znamy i które zniszczy nas lub zostanie pokonane, by wróciła dawna potęga. – Aureil zaczął wolno iść korytarzem.

–Tak będzie, mistrzu.

–Skoro szatan tak łatwo potrafił zdobywać dusze najszlachetniejszych i największych tego świata, może my będziemy umieli zdobyć duszę jednego Kapłana, tak cenną, a przecież tylko człowieczą.

–Oby dobry Bóg zdołał nas wysłuchać. – Pierre pokiwał głową.

–Kapłan już tu podąża. Takie było jego przeznaczenie i on o tym wie. Jeśli otworzy swoje serce – czeka go największa z możliwych łaska boska, a nas zwycięstwo. Jeśli wybierze inną drogę, zastanie tu śmierć, ale nas pogrąży w długiej nocy. Oby znalazł litość nad sobą i nad nami.

Lekarz podłączył kroplówkę i jeszcze raz spojrzął z niepokojem na Punina.

–Nie jest dobrze, powinienem zabrać cię do szpitala – podsumował, sprawdzając jeszcze raz dawkę leku.

–To niemożliwe – odparł zdecydowanie Iosif. – Powiedz, kiedy będę miał siłę wstać?

–Masz trzy poważne rany. Opatrzyłem wszystko, zszyłem, podałem antybiotyki, mikroelementy, płyny, uzupełniłem ubytek krwi. Zostawię środki wzmacniające i parę leków, które musisz brać, ale powinieneś co najmniej tydzień nie ruszać się z łóżka, a następne dwa – nie wychodzić z domu.

Mówił po francusku, płynnie, bez wysiłku.

–To wykluczone – rzekł bez emocji Punin. – Wymyśl coś.

Lekarz wstał, włożył ręce do kieszeni i zaczął chodzić po pokoju. Dał znak pielęgniarkie i Emilowi, żeby wyszli, po czym znowu zbliżył się do łóżka.

–Mam coś, co postawi cię na nogi, ale na krótko – stwierdził po chwili. – Potem będzie jeszcze gorzej.

–Na ile?

–Dwa dni, może nawet krócej. Nie obiecuję, że nie będzie bolało.

–Może starczy. Co to jest?

–Rodzaj silnych ziół. Oszukają twój organizm, lecz ryzykujesz życie.

–Znasz waszego mistrza – bardziej stwierdził, niż zapytał Iosif, unosząc się z wysiłkiem.

–Znam, ale nie mogę cię z nim skontaktować. Chyba że ojciec wyrazi zgodę.

Punin znowu opadł na poduszkę. Nie odzywał się przez kilka minut. W tym czasie lekarz spakował swoje rzeczy. Nagle rozległo się głośne pukanie i bez pozwolenia do pokoju wszedł Emil. Zanim jednak napotkał na karcący wzrok doktora, zdążył

przekazać zaskakującą wiadomość.

–Ktoś chce z tobą rozmawiać, losifie!

Punin skierował na niego zaskoczone spojrzenie.

–To ten policjant! – dodał ciszej Emil.

–Policjant?! Skąd znał adres?!

–Nie wiem.

Michał Kępiński nie czekał na zaproszenie. Minął olbrzyma i wszedł do środka.

Emil jeszcze spytał wzrokiem Punina, czy ma faceta wyrzucić, ale losif uspokoił go ledwie zauważalnym gestem. Lekarzowi wyraźnie nie podobało się, że policjant pozna jego twarz.

–Czego pan chce? – spytał z niepokojem Punin.

–Mam dla pana wiadomość.

–Dla mnie?! Od kogo?!

–Nie wiem. Od kogoś, kto znał ten adres. Posłaniec, który mi to dał, prosił, abym dyskretnie dostarczył kopertę. Wtedy już na zawsze uwolnię się od was i dacie mi spokój.

losif z trudem wyciągnął rękę po przesyłkę.

–Dotrzymacie słowa? – upewnił się policjant.

Punin pokiwał głową.

–To żegnam. – Kępiński wyszedł, nie podając nikomu ręki.

–O co tu chodzi? – spytał Emil, gdy niespodziewany gość zniknął na drzwiach.

–Musisz zmienić adres – zawyrokował lekarz. – Jutro się tym zajmiemy.

losif otworzył kopertę i zaczął czytać. Na jego zmęczonej twarzy odmalowało się przerażenie.

–O mój Boże... – Zaczął łapać nierównomierny oddech. – Nie...

Ręka opadła mu na łóżko, zacisnął silnie powieki. Emil zauważył, jak ranny cały zaczyna drżeć.

–Co się stało?! – zapytał wreszcie lekarz.

–Pomożesz mi? – losif jakby nie zwrócił uwagi na to, co doktor przed chwilą powiedział.

–Zależy w czym.

–Muszę natychmiast wracać do Chatillon.

–Co się stało?! – powtórzył lekarz.

–Wybacz, nie mogę ci powiedzieć, ale pomóż mi!

–Co ci jest potrzebne?

–Samolot.

–A gdzie jest twój?

–Wziął go Balea.

–A kto to jest?

–Nieważne... ktoś, komu ojciec bardzo ufa. Załatwisz mi samolot?

–Zadzwoń, gdzie trzeba, ale nic nie obiecuję.

–Postaraj się. I przynieś mi te zioła.

–Jeśli chcesz, abym ci pomógł, musisz mi powiedzieć cokolwiek, ci mnie

**przekona. Daj mi jakiś argument.**

**–Muszę ratować... – Punin ciężko oddychał.**

**–Kogo ratować?!**

**–Ojca i... nas wszystkich... nas wszystkich... – Znów opadł na poduszkę.**

**Ciężko było zachować bez troskę, spacerując po przepięknym lesie dwadzieścia kilometrów na zachód od Roskilde, gdzie cień i odgłosy wielkiej Kopenhagi ginęły już bezpowrotnie, a czyste jak dziewicze źródło powietrze przepełniało płuca. Niedaleko, za polaną, gdzie wśród urokliwych równin z rozsypanymi niczym klocki lego domkami panował nieskażony i czysty spokój tak typowy dla krajów północy, stała kryjówka profesora Eberharda Linka. Z bramy tej właśnie posiadłości jakąś godzinę temu wyjechał czarny, duży saab z przyciemnianymi szybami, kierując się w stronę lotniska. Nie jechał nim jednak profesor ani Aleksandra Sambierska, polska lekarka, której karierę przerwały wydarzenia trudne do pojęcia przez zwykłego człowieka, lecz Krzysztof oraz tajemniczy mężczyzna, który przyjechał po niego, by według planu zabrać Kapłana w miejsce, gdzie wszystko się miało rozegrać.**

**Bogdan Wilecki, wybitny historyk kultury, etnograf, antropolog, arogant, buntownik i podrywacz zrezygnował ze spaceru. Postanowił, że zostanie w domu i odpocznie, zanim przyjdzie na niego kolej. Przemyśli, pokona w sobie sceptycyzm i nabierze gotowości.**

**Ola, spacerując z profesorem Linkiem po wspomnianym lesie, nie myślała o sobie. Ponad wszelką wątpliwość była myślami z człowiekiem, którego poznała w szpitalu, gdzie leczy się szaleńców i nieszczęśliwców o chorych umysłach, któremu tak długo nie ufała, którego przecież nie umiała zrozumieć i którego bardzo kiedyś będzie jej brak.**

**–Nie martw się – powiedział profesor. – Mogę ci mówić po imieniu?**

**–Oczywiście.**

**–On teraz jest naprawdę potężny. Góruje nad nimi pod każdym względem. Nam ciężko nawet zrozumieć, co kryje jego umysł.**

**–A zna pan jego historię?**

**Link uśmiechnął się uprzejmie.**

**–Nikt nie zna jego historii.**

**–Ale pana rodzina... przekazywaliście sobie przecież wiele opowieści.**

**–Przeceniasz moich przodków, drogie dziecko. To, co wiem, jest kroplą w morzu.**

**Ola przez pewien czas szła w milczeniu. Wystawiła twarz do wiatru, co dało pewną ulgę rozognionym z podniecenia policzkom, rumianym, pełnym kolorów.**

**–Opowiadał mi niedawno historię o młodym wikingu, który zdradził swojego króla dla kobiety – odezwała się po chwili.**

**–„Nie grzeszy ten, kto grzeszy z miłości” – odparł profesor. – Oscar Wilde.**

**–A jednak zna pan tę historię. – Lekarka zajrzała mu w oczy jak pacjentowi.**

**–Tę akurat tak.**

**–Nie dokończył mi jej opowiadać. Chciałabym usłyszeć, czy ten wiking doświadczył wreszcie spokoju, rozgrzeszenia, pojednania ze sobą...**

**–Spokoju – nie. Rozgrzeszenia – tak. Pojednania ze sobą – może...**



Ola pokręciła głową, jakby nie była do końca usatysfakcjonowana odpowiedzią.  
–Musiał uciekać z bratem ze swojego kraju. Co było dalej?

Link również przyjrzał się uważnie swojej towarzyszce, uśmiechając się jak zwykle uprzejmie, dobrotliwie i raczej szczerze. Ale ponieważ nie znalazł odpowiedzi na pytanie, które sam sobie teraz zadał, stwierdził w myślach, że może nie było aż tak ważne.

–Dotarli do niezwykłego miasta Truso, na ziemiach księcia Dagome – zaczął wolno. – Tam przybysze z wielu krajów żyli ze sobą w zgodzie. Choć aurelici szybko znaleźli go i po drodze musiał z nimi walczyć, w Truso był bezpieczny. Jego starszy brat – Desgear, osiedlił się tam i założył rodzinę. Pojął za żonę podobno śliczną jak marzenie (taka była przynajmniej oficjalna wersja) Słowiankę, ale Devirka czekało inne przeznaczenie. Jego ukochana Sygryda odnalazła go i korzystając ze swoich wpływów, przekonała Dagome, by przyjął go na swój dwór. Czycibor, niestety, wtedy już nie żył. W ten sposób wiking znalazł się blisko rodziny księcia i jak miała nadzieję młoda królowa, wkrótce także i blisko niej. Książę jednak był nieprzejednany, wymusił na córce przysięgę, że po śmierci Eryka, jej męża, wyjdzie za Swena Widłobrodego. Taki był warunek i cena za życie Devirka. Sygryda wypełniła wolę ojca. Wyszła za Swena i urodziła mu dzieci, ale dumny król Danii zawsze wiedział, że żona nigdy go nie kochała i nie pokocha. I wreszcie zgodził się na jej wyjazd. Oficjalnie „usunął” ją z dworu, ale tak naprawdę po prostu pozwolił jej odejść. Po trzynastu latach rozłąki Sygryda wróciła do Devirka. Gdy wiele lat później umierał jako starzec, do końca trzymała jego rękę przy swoich ustach.

Ola znów zamyśliła się na dłuższą chwilę, próbując ułożyć sobie w myślach to, o czym opowiedział jej profesor.

–Co ten wiking mógł robić na polskim dworze książęcym?

–Ten wiking?! – Link spojrział na nią z niedowierzaniem. – Jeszcze się nie domyślasz? Dagome nie był głupcem. Szybko się zorientował, z kim ma do czynienia. Oczywiście, nigdy nie dowiedział się, skąd jego młody gość czerpie tak rozległą wiedzę, ale instynkt polityczny kazał mu szybko zaangażować Devirka do nauki swego syna, Bolesława. Początkowo sobie niechętni, z czasem stali się nierozłączni. Bolesław objął władzę w 992 roku. Jak myślisz, dlaczego jego polityka tak odważnie sięgała po cele z pozoru nieosiągalne? Dziś powiemy, że nie liczył się z możliwościami ówczesnej Polski, ale każdy, kto tak sądzi – myli się. Przyjaźń z Ottonem III i twardy opór przeciwko Henrykowi II. Poszerzenie granic do rozmiarów, o których dzisiaj moglibyście tylko marzyć. Miłsko, Łużyce, Miśnia. Tron czeski po pokonaniu Bolesława Rudego. Pokonanie Jarosława ruskiego i osadzenie na tamtejszym tronie Świętopelka, swego zięcia. Umocnienie chrześcijaństwa. W rezultacie stworzenie potężnego państwa słowiańskiego, które w przeciwieństwie do wielu uprzednich, nieudanych prób, takich jak państwo Samona [\[65\]](#), [przetrwało ponad tysiąc lat. Wszystkiego tego dokonał w czasie swojego panowania Bolesław zwany Wielkim lub Chrobrym. Kto mógł być jego najważniejszym doradcą, przyjacielem, a gdy trzeba szarą eminencją? Kto miał tyle wiedzy, siły i doświadczenia setek przodków, by pchnąć go ku celom, o których poprzednikom](#)

nawet się nie śniło. Zawsze z tyłu, zawsze w cieniu, ale zawsze, aż do śmierci władcy, przy jego boku. Sam zmarł niecałe dwa lata później – jak już wiesz – w ramionach ukochanej Sygrydy.

–Czy on zawsze musiał zbawiać świat? – szepnęła Ola tak cicho, że profesor lewo usłyszał.

–To nie był Krzysztof tylko Devirk – odparł szybko Link. – Nie myśl o nich, jakby byli jedną i tą samą osobą.

–A jednak są nawzajem częścią siebie – upierała się lekarka.

–Nie wiem. Może... Chodź, musimy wracać. Za dwie godziny wasza kolej.

Mężczyzna przyglądał się Krzysztofowi z zaciekawieniem, ale bez natarczywości. Siedzieli w prywatnym samolocie, urządzonym dość surowo, choć bardzo nowocześnie. Wystartowali zaledwie kilka minut temu, lecz pilot zdążył wyrównać już lot i obrał kierunek na południe Europy.

–Napijesz się czegoś? – spytał mężczyzna.

–Wody, jeśli mogę prosić – odparł uprzejmie Lorent.

Rozejrzał się dookoła. Właściwie byli sami. Tylko od czasu do czasu uchylały się drzwi od strony kabiny pilota i wchodził do środka lokaj, a może służący; szeptał jakieś krótkie zdania mężczyźnie do ucha, ale potem szybko znikał. Wystrój pomieszczenia, w większości biały lub kremowy, sprawił na gości wrażenie przede wszystkim sterylnej czystości, ale i gustu oraz umiaru. Oprócz foteli, nie było tu wiele sprzętu. Stoliki na obrotowych wysięgnikach, małe szafki przy półokrągłej ścianie samolotu oraz telefon wiszący pół metra nad nimi.

Mężczyzna i jego gość siedzieli naprzeciwko siebie. Nie mówili wiele. U profesora wyjaśniono właściwie wszystko, co miało się stać i co musieli robić, pozostała tylko wzajemna ciekawość, jednak zaspokojenie jej obydwaj pozostawili na później.

Telefon na ścianie zaczął migać czerwoną lampką, więc mężczyzna wstał. Odbierając wiadomość, właściwie milczał. Wreszcie odłożył słuchawkę i usiadł z powrotem na fotelu.

–Stało się – powiedział krótko. – Teraz już nie możemy się wycofać.

Pierre ostrożnie wszedł do komnaty Aureila.

–Ojciec... – szepnęła nieśmiało, widząc, że mistrz się modli.

–Skoro mi przerywasz, musisz mieć coś ważnego do powiedzenia.

–Tak – potwierdził Pierre. – Mamy nowe zdjęcia Kapłana.

–Gdzie jest?

–Na lotnisku w Kopenhadze.

–A więc Luigi miał rację. Zadzwoń do niego. Pora zacisnąć pierścień. Kapłan nie ma już dokąd uciekać. Mamy swoich ludzi na tym lotnisku?

–Tak. W obsłudze i ochronie.

–Skontaktuj ich z Luigim. – Aureil zastanowił się chwilę. – Masz przy sobie te zdjęcia? – spytał, wskazując tekturową teczkę, którą Pierre trzymał pod pachą.

–Tak.

–Pokaż.

–Oczywiście. – Wyjął i wręczył mistrzowi odbitki.

Aureil przyglądał się im długo i uważnie, marszcząc przy tym czoło, jakby nie do końca wierzył w to, co na nich zobaczył.

–Nie widać jego twarzy – stwierdził w końcu. – To tylko zdjęcie mężczyzny w kapeluszu.

–Ale wyraźnie widać twarze jego towarzyszy: lekarki ze szpitala i profesora Wileckiego, którego Iosif Punin śledził w Warszawie. Na poprzednich zdjęciach sprzed kilku dni zrobionych na tym samym lotnisku również nie widać twarzy, jednak nasi ludzie z tamtejszej ochrony potwierdzili jego obecność.

–Teraz też potwierdzają?

–Jeszcze nie ma wiadomości.

–No dobrze. – Starzec westchnął głęboko i usiadł na fotelu.

Pierre wziął fotografie, skłonił głowę i skierował się do wyjścia.

–Poczekaj jeszcze chwilę! – rzucił wyraźnie zachmurzony Aureil. – Czy wiadomo, o której godzinie zrobiono te zdjęcia?

–Oczywiście.

–Podaj mi te godziny.

Pierre ponownie wyjął z teczki odbitki i zaczął odczytywać napisy z drugiej strony każdej z nich.

–17.43, następne 17.50, 18.01, 18.14...

–Pokaż je jeszcze raz. – Mistrz wyciągnął rękę po zdjęcia, a następnie po raz kolejny uważnie je przejrzał. – To mniej więcej z tego samego miejsca?

–Hala odlotów, odprawa... no, właściwie tak.

–Pomyśl. – Aureil groźnie zmarszczył brwi. – Czy na jego miejscu chodziłbyś ponad pół godziny w miejscu naszpikowanym kamerami, nie próbując nawet ukryć się gdzieś do czasu odlotu samolotu? Jak długo byli tam ostatnim razem, kiedy przylecieli?

–Nie wiemy. Zrobiono wtedy jedno, niewyraźne zdjęcie.

–A fotografie z innych lotnisk?

–Nie mamy.

–Nie wystartowali przecież boeingiem z polany w lesie. Musieli przejść odprawę paszportową na innym lotnisku – w Warszawie, może w Berlinie, może w Amsterdamie?

–Tak, ale nie udało nam się ich wtedy sfotografować. Nie wiemy, skąd przylecieli.

–No, właśnie... Zlokalizowałeś Punina?

–Nie. Nie mogę dodzwonić się do Polski.

–Nie możesz dodzwonić się do Polski?!

–Tak, ojciec. – Pierre znowu pochylił głowę. – Telefony mistrza z Warszawy wciąż milczą.

–Niemożliwe – głos Aureila zadrżał.

–To już się zdarzało w przeszłości.

–Na tak długo?!

–Robimy, co możemy. Szybko opanujemy sytuację. Mamy kontakt z innymi braćmi stamtąd.

Starzec wstał z fotela. Niepokój nie zniknął z jego twarzy.

–Połącz mnie z mistrzem z Niemiec, a jeśli ci się nie uda, to z Włoch, potem z Rosji... próbuj do skutku.

–Ale przecież...

–Rób, o co proszę!

Pierre szybko podszedł do telefonu i po kolei zaczął wykręcać numery. Wreszcie przerażony odłożył słuchawkę.

–Nic? – upewnił się Aureil.

–Nic – jęknął aurelita.

Telefon jednak zadzwonił sam. Jego łagodny dźwięk, na co dzień, ledwie słyszalny, teraz spowodował, że Pierre drgnął, jakby zawyła syrena.

–Odbierz – mruknął starzec.

Odebrał.

–To Punin... – zdezorientowany powiedział po chwili.

Aureil wziął do ręki słuchawkę.

–Mów, mój synu – rzekł surowo, ale spokojnie.

–Ojcze. – Iosif ciężko oddychał. – Wiem, że zawiodłem, wybac mi! Długo się wahałem, czy skontaktować się z tobą, lecz teraz błagam... Uwierz w to, co mówię! Błądziłem, byłem pyszny i postępowałem niemoralnie. Zlekceważyłem twój rozkaz, wierząc, że tylko ja mogę stanąć naprzeciw Kapłana! Teraz jednak...

–Mów – powiedział bez gniewu starzec.

Gdy skończył, Aureil padł ciężko na fotel. Nieobecny wzrok mistrza przeraził Pierre'a kurczowo trzymającego pod pachą teczkę ze zdjęciami. Słyszał tylko, jak w opuszczonej na biurko słuchawce Iosif krzyczy wciąż to samo: „Ojcze, ratuj się! Uwierz mi tylko ten jeden raz! Ratuj się!”.

–Ilu mamy żołnierzy w zamku? – spytał cicho Aureil.

–Garstkę. Wszyscy zostali rozesłani po całej Europie, tam gdzie tylko mógł pojawić się Kapłan.

Starzec wreszcie podniósł słuchawkę ze stołu.

–Wierzę ci, Iosifie, mój synu. Nigdy nie wątpiłem w twoją miłość, choć roztropności i daru cierpliwości nie potrafiłem cię nauczyć.

–Jestem już w samolocie. Niedługo będę w Chatillon!

–Posłuchaj mnie uważnie i choć raz wykonaj polecenie.

–Tak, ojcze.

–Ukryj się i czekaj cierpliwie. Wygląda na to, że już za późno na twój przyjazd. Przyjdzie jeszcze czas na zemstę. Ale teraz musisz zniknąć. Pamiętaj tylko, co ci mówiłem przez te wszystkie lata, kiedy byłem twoim ojcem. Być może zostaniesz sam i będziesz musiał ocalić to, co trzymało naszych braci w jedności przez setki lat. A teraz żegnaj...

–Dokąd teraz? – spytała Ola.

–Szybko do samochodu – odparł mężczyzna w czarnym, lekkim płaszczu, w jakim zwykle podróżował Krzysztof.

–Boże – jęknął Wilecki. – Czuję się jak cel na strzelnicy. Znajdą nas!

–O to chodziło, ale z pewnością nie zdążą nas dogonić – odparł mężczyzna. Szli, a właściwie biegli w kierunku parkingu. Wóz wyjechał im na spotkanie i szybko wsiedli do środka.

–Teraz do Polski? – upewniła się Sambierska.

–Tak, choć inną drogą. Nie możemy pojawić się już na żadnym lotnisku – odpowiedział kierowca.

–Kupią taki numer? – spytał Wilecki.

–Na dłużej niż kilka godzin z pewnością nie. Ale ważne, aby dzięki temu Kapłan zyskał choć trochę czasu.

Jechali samochodem od kilkadziesiąt minut. Krzysztof patrzył przez okno, nie myśląc o tym, co go czeka. Mężczyzna, który towarzyszył mu w podróży od domu profesora, również poświęcił większość czasu na milczenie, skupienie, a być może modlitwę. Obaj siedzieli na tylnym siedzeniu czarnego saaba, niemal identycznego jak ten, którym jechali do samolotu w Danii. Czasem wymieniali zdawkowe opinie, ustalając szczegóły planu. Krzysztof czuł, że siła człowieka, któremu teraz zaufał, jest niezwykła, a przy tym uzyskana ciężką pracą, wysiłkiem i najprawdopodobniej cierpieniem. Dar, który dostał on sam, nie wymagał lat umysłowych i fizycznych ćwiczeń, wyrzeczeń i wytrwałości. Był czystą niesprawiedliwością z każdego możliwego punktu widzenia, choć Krzysztof zdawał sobie sprawę, jak wiele niesłuszności jest na tym świecie, w którym dary rozdawane są tak nierównomiernie.

–Tutaj? – upewnił się kierowca, zwracając się do mężczyzny, który właśnie wyjął z kieszeni niewielki woreczek z piaskiem. Potarł nim palce i schował z powrotem do marynarki.

–Tak, omiń zakręt na Chatillon i skręć w następny, do lasu. Za jakieś pięćset metrów powinna być niewielka polana. Tam się spotkamy – odparł spokojnie.

–Co się stało? – spytał Krzysztof.

–Od kilku minut jesteśmy śledzeni.

–Od ponad pół godziny – poprawił Lorent. – Co chcesz zrobić?

–Przepraszam cię. Powinienem wcześniej powiedzieć. Prawdę mówiąc, spodziewałem się tego.

–Pojedzie za nami na tę polanę?

–Tak.

Samochód skręcił z głównej drogi do lasu, a podążająca za nim ciemnoniebieska toyota zbliżyła się na taką odległość, że łatwo można było rozpoznać kierowcę. Gdy oba wozy się zatrzymały, pierwszy z toyoty wysiadł Iosif Punin. Był sam. Zachwiał się na nogach, ale szybko wyprostował ciało, wyjął miecz i wbił wzrok w czarny samochód. Gniew i lęk, którego nie czuł od dzieciństwa, paradoksalnie dodawały mu sił.

Lorent wysiadł z saaba.

–Witaj Kapłanie – powiedział z wysiłkiem aurelita.

Krzysztof skinął lekko głową. Wzrok miał spokojny, może trochę smutny, jednak pozbawiony gniewu czy agresji. Za nim pojawił się mężczyzna, który zatrzasnął drzwi samochodu. Położył rękę na ramieniu Lorenta, prosząc, aby został.

–Sam to załatwię – szepnął cicho i zbliżył się do aurelity.

–Wiedziałem, że kiedyś może się zdarzyć rzecz tak straszna jak dzisiaj. – Iosif roześmiał się ze smutkiem i rezygnacją. – Ale że to będziesz ty, Luigi...

–Wybacz, mój bracie – odparł Balea. – Nie zrozumiałbyś tego, co robię.

–Jak możesz zdradzać wszystko, co cię stworzyło?! – Ku zdziwieniu nawet Luigiego w oczach Punina pojawiły się łzy. – Jak możesz?! Bywały chwile, kiedy czułem zazdrość o to, że ojciec kochał cię bardziej, ale nawet jeszcze teraz, lecąc na spotkanie z tobą, myślałem, że to ojciec przysłał do mnie Adera Rode, a nie ty.

–Mistrz Rode był moim nauczycielem znacznie dłużej, niż myślisz, Iosifie.

Podziwiałem ojca od zawsze, ale szybko się przekonałem, że to Ader, a nie on, ma rację. Kiedy zaufał mi pięć lat temu i zdradził swój plan, który dzisiaj się wypełnił, potwornie ryzykował. Lecz wiedział, że czynimy zło. Wiedział, że idea, którą wpajano nam od dzieciństwa jest zła. Wiedział, że ojciec, wysyłając mnie przed pięciu laty, abym zgładził Eberharda Linka, czynił źle. I szybko mnie przekonał, Iosifie. Dotarł do mojego serca. Odtąd poświęciłem wszystko, by spełniło się to, co dzisiaj dokończymy.

–Jesteście tylko garstką buntowników, a Ader Rode zginął od mojego miecza.

–Wiem, dlatego wysłałem ci wiadomość, jak mnie znaleźć. Zginął za wielką sprawę. A „garstka” – jak to ująłeś – to niezbyt trafnie dobrane słowo. Dzisiaj są nas setki. Setki tych, którzy wierzą, że bractwo musi przejść przez czyszczenie i wykorzystać swoją siłę, by czynić prawdziwe dobro, Iosifie. Prawdziwe dobro!

–Rada ci na to nie pozwoli!

–Dawnej Rady już nie ma. Część mistrzów została odsunięta, część wybrała śmierć. Gdybym tylko mógł inaczej... ale nie było innego wyjścia.

–A nowa Rada wybierze ciebie – wycodził przez zęby Punin.

–Tak chciał Ader Rode.

Iosif wyprostował się dumnie.

–Zanim zginę... powiedz mi, jak udało ci się zbliżyć do Kapłana?

–Znalazłem go już w Wiedniu, któregoś chciał dotrzeć do skarbu Jednego Oka. Musiałem ukryć wszystkie meldunki z różnych miejsc jego pobytu i chronić, zanim nie dotrze do Pielgrzyma, skąd go zabrałem.

–Na lotniskach, na granicach... wszędzie twoi ludzie.

–Tak, Iosifie. A ty jesteś ostatnim, który może stanąć mi na drodze. Wiedziałem, że nie uciekniesz. Wiedziałem, że przyjedziesz tu, choćby ojciec, z którym, jak podejrzewam, jednak się skontaktowałeś, zabronił ci tego. Nawet ostatniego jego rozkazu nie wykonałeś.

–Bo warto za niego zginąć. – Punin zacisnął wargi i zęby tak mocno, że w rogu ust pojawiła się strużka krwi. – Marzyłem, aby umrzeć z jego ręki. – Wskazał Kapłana. – Ale widać co innego mi pisane.

–Możliwe. Ojciec również będzie czekał na mnie w zamku, choć pewnie błagał go, by się ratował. Wbrew temu, co myślisz, kochałem cię jak brata, dlatego mówię o tym wszystkim, zanim spotka nas przeznaczenie.

–Nie, Luigi. Mówisz to, bym jeszcze bardziej cierpiał, i dobrze o tym wiesz. – Iosif

podniósł miecz i ruszył z impetem na przeciwnika. Balea skontrował kilka ciosów, ale wiedział, że dzisiaj Punin go nie pokona. Czekał na dogodny moment, sparował kolejne cięcie, cofnął się o krok, korzystając, że osłabiony przeciwnik zachwiał się, i wbił ostrze prosto w serce Iosifa. Gdy tylko aurelita osunął się na trawę, Balea rzucił miecz i objął umierającego żołnierza.

–Wybacz, bracie – szepnął, przytulając jego głowę do siebie. – Ale nie mogę cię zabrać tam, gdzie teraz idę.

Możliwe, że Iosif Punin zdążył jeszcze usłyszeć te słowa.

Kiedy Kapłan skończył modlitwę za duszę aurelickiego żołnierza, za oknami samochodu, na horyzoncie pojawił się czarny, kostropaty zarys zamku Chatillon. Zostało jeszcze najwyżej piętnaście minut drogi.

–Jak wam się udało to zrobić? – spytał nagle Krzysztof.

–Słucham? – Luigi wyrwał się z zamyślenia.

–Jak udało wam się obalić stary porządek, oparty w dodatku na religijnej doktrynie? Tak szybko, w tak zorganizowany sposób, to niezwykle.

Balea uśmiechnął się z dumą.

–Cała historia świata składa się z takich zdarzeń. Podstawowa zasada dziejów – każda wielka potęga musi kiedyś upaść. Starożytna Grecja, Aleksander Macedoński, Rzym, Napoleon, nawet sowiecka Rosja. Władcy i rządy upadały, zastępowały je nowe – bardziej lub mniej postępowe, ale to pchało wszystko naprzód. Jeśli myślisz, że coś, na przykład system władzy, jest tak wielkie, potężne, że nigdy nie da się go pokonać, to właśnie wtedy możesz przyjąć za pewnik, że proces ten nastąpi niebawem. Nauczył mnie tego Rode, a ty, mając wiedzę, o której nikomu z nas się nie śniło, jak podejrzewam, wiesz to najlepiej. Zresztą kraj, w którym się urodziłeś, jest tego dobitnym przykładem. Jeszcze na początku 1989 roku nikomu z was nie wpadło nawet do głowy, że można obalić komunistów. Pod koniec tamtego roku mieliście już sprawę z głowy.

–Wiem, jak upadały potęgi świata – Lorent uśmiechnął się, cierpliwie słuchając tego wykładu. – Ja pytam, jak możliwy był taki przewrót w tajnym bractwie? Nie jesteś arystokratą aurelickim. Twoja rodzina nie pielęgnowała tej idei przez pokolenia, Rode miał do wyboru tylu niezadowolonych, dlaczego akurat ty?

Luigi ponownie wyjął z kieszeni mały woreczek z piaskiem i potarł nim palce.

–To prawda. Ja i Iosif byliśmy tylko żołnierzami. Mnie wzięto z sierocińca, jego znaleźiono na jakimś śmietniku. Ale ojciec – w przeciwieństwie do swojego poprzednika – chciał postawić na silnego następcę. Nie na kolejnego starca z wielkiego, aurelickiego rodu. Choć takich chłopców jak my, sposobionych na żołnierzy, było wielu, uznał, że my będziemy najlepszymi kandydatami. Jego zdaniem Iosif i ja byliśmy najzdolniejsi, choć każdy w innym zakresie. Usynowił nas i zaczął uczyć. Oczywiście nie podobało to się innym rodzinom, jednak Aureil umiał zdusić bunt niemal w zarodku. Bardzo uważnie obserwowałem, jak to robi i uczyłem się wszystkiego, czego tylko się dało.

–Wielki Aureil naraził się tym, którzy stanowili o jego sile, a postawił na was? – Krzysztof uniósł brwi z niewątpliwą ironią. – Jednak nie był zbyt przewidujący.

Luigiego nie rozgniewała ta uwaga. Przytaknął głową, rzucając w stronę zamku chłodne spojrzenie.

–Tak chciała historia i przeznaczenie. Chrystusa zdradzono, by mógł dokonać najważniejszego czynu w dziejach chrześcijaństwa, Cezara zdradzono, by cesarstwo rzymskie mogło rozkwitnąć całą potęgą.

–I Judasz, i Kasjusz, i Brutus działali chyba z innych pobudek.

–Czyżby?

Krzysztof nie chciał zaprzeczać.

–Masz rację. Jestem z linii, która nie była świadkiem tych zdarzeń. Ale nie sądzę, aby ktoś mógł złamać moją wiarę. O to głównie pytam. Jak wielka potrafi być ludzka hipokryzja? Jak setki ludzi mogły odrzucić ideę, w którą wierzyły?

–Jak daleko sięgasz pamięcią?

–Ostatnie wspomnienia?

–Tak.

–Siedemnasty wiek.

Balea ze zrozumieniem pokiwał głową.

–Czterysta lat... no cóż, Kapłanie. Tamtych ludzi już nie ma, a idea, o której myślisz, pozostała wyłącznie w umysłach ściśle arystokracji. Tej, która swych przodków wywodziła od czasów Marcellina. Skłóconej, niezadowolonej, biernej. To, co dziś nazwiesz wielką tajemnicą, jest największą słabością spadku po Aureliusz. Już od ponad dwustu lat chybiony Bóg, szatan w niebie, pozostał tylko w umysłach garstki wybranych. Zwykły członek bractwa, pracujący na lotnisku, w urzędzie, w parlamencie czy gdziekolwiek, wierzy tylko w to, że chcemy ulepszyć świat. Jest przekonany, że Chatillon i jego otoczenie posiada wiedzę tajemną pozwalającą na walkę ze złem. Wierzy, że obdarzono go wielkim wyróżnieniem i zaufaniem, bo należy do Tajnego Stowarzyszenia Aurelitów. Nic więcej. Chroni tę tajemnicę, jest dumny i czuje się przez to lepszy. W rzeczywistości nie wie nic. Pieniądze i pomoc w karierze ułatwiają mu być wiernym, ale zmiana władzy dla kogoś takiego znaczy tyle, co zmiana prezydenta, którego imienia zresztą nie znał, w dalekim kraju. Tak. – Luigi pokiwał jeszcze raz głową. – To nie szeregowi członkowie mogli nam przeszkodzić, ale arystokracja, mistrzowie, Rada. To im poświęciliśmy pięć lat przygotowań. Byłem tylko przywódcą żołnierzy, lecz odkąd wielki Ader Rode powstrzymał mnie przed zabiciem Pielgrzyma, skromnego szwajcarskiego profesora, który posiadał wiedzę tak niebezpieczną, że kazano mi go wyeliminować, stałem się symbolem końca dawnego porządku.

Luigi znowu wyjrzał przez okno. Zamek był coraz bliżej, zostało najwyżej pięć minut drogi.

–Rode i ja ukrywaliśmy Eberharda Linka i chroniliśmy go przez pięć lat – przyznał, odwracając się ponownie w stronę Lorenta. – Aż pojawiłeś się ty.

–W bardzo nieodpowiednim momencie?

–Niestety, tak. Mógłbyś, chcąc nie chcąc, znów zespolić rozkładającą się strukturę i cały plan by upadł. Ale na szczęście teraz jedziesz ze mną, a nie tkwisz w świątyni Aureliusza i otwierasz księgi Nocy Kapłanów.



**–Nie wiesz, co w niej jest? – spytał Krzysztof.**

**–Nie wolno jej otwierać. Nie robiono tego od pięciuset lat. Arystokraci wierzyli, że misterium tam opisane da im moc zdolną uwolnić dobro z piekieł, a Kapłana zwiąże na zawsze z nimi. Fizycznie i mentalnie. Może teraz łatwiej ci zrozumieć, dlaczego nie bardzo chcieli dzielić się tym przywilejem z setkami członków bractwa na całym świecie. Świat urósł, Azja, a zwłaszcza Ameryka, stały się potęgą i tajemnicę trzeba było ukryć. I tak zrobili.**

**Wyjechali z za zakrętu i zamek stanął przed nimi w całej okazałości.**

**Nikt nie przeszkodził im ani w czasie drogi, ani tuż po wjeździe na dziedziniec. Bramy były otwarte, podwórzec wyludniony, wejścia niezamknięte. Zamek czekał dumnie, bez strachu. Nikt nie krzyczał, nikt nie błagał o litość. Kapłan i Luigi Balea szli wolno głównym korytarzem. Obaj trzymali w rękach miecze, ale nie robili krzywdy nikomu, kto im nie przeszkadzał. Wreszcie w oddali, na wysokości wielkiej sali Aureliusza zobaczyli stojących przed nią czterech żołnierzy wspartych na swoich mieczach. Czekali. W środku sali, przypominającej bajkową świątynię pełną starych obrazów, wielowiekowych rzeźb i grobów przodków, zgromadzili się najważniejsi aureliccy urzędnicy Ludwika Gossarda de Rocheforta, Wielkiego Mistrza Aureila – Pierre de Fleur, Jean Villoq, Luc Trantignan, ich współpracownicy, uczniowie oraz wszyscy pozostali w zamku żołnierze. Większość jednak mieszkańców zamku pozostała u siebie, modląc się lub medytując i czekając na przyszłość, jaką ześle im opatrzność. Gdy Lorent i Balea doszli do sali, żołnierze wskazali na wnętrze sali.**

**Luigi stanął w progu i przebiegł wzrokiem po obecnych.**

**–Nikt nie musi ginąć – rzekł krótko. – Kapłan jest z nami, aby naprawić zło. Nie przeciwstawiajcie się mu.**

**Pierre wyszedł dwa kroki przed wszystkich.**

**–Wiemy, że choć masz zaledwie dwadzieścia siedem lat, nowa Rada wybierze ciebie. Dopóki jednak to nie nastąpi, obowiązkiem żołnierzy jest strzec tradycji. Nie pozwolimy ci iść dalej.**

**–Zrozum bracie – głos Luigiego był pojednawczy i proszący. – To już koniec, nic tego nie powstrzyma. Przyłącz się do nas, nikt nie chce rozlewać krwi. Luc, Jean... nic nie poradzicie, a gdy bractwo przejdzie wszystkie niezbędne przemiany, możecie zrobić jeszcze wiele dobrego!**

**–Kapłan miał nas wyzwolić, a nie przychodzić tu z odkrytym mieczem – nie ustępował Pierre.**

**–To legenda, aurelito! Wmawiano nam ją przez wieki, ale średniowiecze skończyło się ponad pięćset lat temu! Tkwisz w gusłach, jakbyś nigdy nie otworzył oczu na świat. Wszystko to służyło utrzymaniu władzy nad nami, nigdy tego nie pojąłeś?! Tylko Kapłan może mieć Wiedzę Wieków, a nie my, żadne czary nam w tym nie pomogą. Czy możemy walczyć z szatanem, sami zachowując się jak jego uczniowie?**

**–Chodzi tylko o to, aby Kapłan przystąpił do nas – powiedział Jean Villoq.**

**–Jest wolnym człowiekiem, wciąż tego nie rozumiesz? Odrzuć to, co cię zaślepia!**

**–Nie, Luigi! – krzyknął Luc Trantignan. – Bracia! Tradycję, honor i Boga chcecie zamienić na co?! Na ułudę i kłamstwa uzurpatora?! Mamy nagle zrezygnować z idei,**

która łączyła nas przez stulecia, w imię pustej i pozbawionej ducha, tak zwanej nowoczesności?

Wyszedł pośpiesznie z sali i stanął obok żołnierzy tkwiących wciąż na korytarzu.

–Nie pozwolę ci przejść! – rzekł dumnie. – Mnie również będziesz musiał zabić, a ta krew pozostanie na twoich rękach do końca życia. I oby ktoś kiedyś obalił cię tak bezlitośnie jak ty dzisiaj Aureila, który – odkąd pamiętam – był naszym ojcem!

Pierre i Jean być może mniej chętnie, ale dołączyli do niego. Luigi spojrział przez ramię.

–Dobrze więc. – Zniecierpliwiony pokręcił głową i wyszedł za nimi na korytarz, zostawiając w sali Krzysztofa i kilkunastu żołnierzy. Wychodząc, zamknął za sobą drzwi. Zanim się zatrzasnęły, wszyscy ujrzeni, jak Kapłan unosi miecz. Niemal natychmiast doszły do nich odgłosy walki i krzyki ranionych żołnierzy. Luigi wbił wzrok w Pierre'a i Jeana.

–Przerwij to! – jęknął Pierre.

–Wiesz, że zabije ich wszystkich, a potem wyjdzie do nas i nikt go nie powstrzyma – rzekł zimno Balea.

–Ty go powstrzymaj!

–Czekam na waszą odpowiedź!

–Luigi!

–Czekam!!! – krzyknął, aż echo rozniosło się po korytarzach.

Dźwięki zza drzwi stawały się coraz głośniejsze i bardziej przerażające.

–Jesteśmy z tobą – jęknął Pierre i spuścił głowę.

–Co ty mówisz?! – oburzył się Trantignan.

–Jeśli jesteś innego zdania, Luc, będziesz musiał odejść – dopowiedział Jean. – On ma rację. Wiem, co czujesz, ale to nieuniknione. Nie skażesz nas wszystkich na śmierć.

–Przecież to nic niewarte. Nie jesteście i nigdy nie byliście godni, by zostać spadkobiercami naszych rodzin! – Spojrział gniewnie na Luigiego i odszedł w głąb korytarza. Luigi pchnął drzwi i dał znak Lorentowi, aby zaprzestał walki.

–Dokąd on poszedł? – spytał Jean, wskazując na znikającego na schodach Luca.

–Do siebie – odparł Pierre. – Mistrz jest w bibliotece – rzucił do Balei.

–Idź do niego i poproś, aby mnie przyjął.

Luigi wszedł do biblioteki, niosąc złotą tacę, na której stały dwa kieliszki czerwonego wina. Postawił ją na stole i poczekał, aż mistrz przestanie się modlić. Aureil stał tyłem do niego, między regałami książek. Balea jeszcze raz skorzystał z okazji, aby podpatrzeć ojca. Idealnie wyprostowana sylwetka, płynne ruchy, jakby zdjął je ze starych rzeźb filozofów, gdyby nagle ożyły. Duma i elegancja, żadnego fałszu. Najmniejszej oznaki lęku czy obawy przed nieznanym. Ideał, do którego Luigi będzie dążył jeszcze przez długie lata. Aureil wolno odwrócił się w jego stronę.

–Cieszę się, że cię widzę, mój synu. – Uśmiechnął się smutno.

–Witaj, ojcze. – Balea uklonił się z szacunkiem.

Starzec zaczął spacerować wzdłuż regału, od czasu do czasu wyjmując i przeglądając jakąś książkę.

–Przyszedłeś zobaczyć, jak umierają idee, które kiedyś wyniosły mnie tak wysoko? – spytał spokojnie, jakby rozmawiał o pogodzie.

–Nie, ojcie. Przyszedłem napić się z tobą wina. – Wskazał tacę stojącą na stole. Ujął jeden z kieliszków, podszedł do starca i wręczył mu go. Następnie poszedł po swoje bordeaux.

Aureil pokiwał głową i kontynuował spacer wzdłuż regałów. Luigi szedł krok za nim, również przyglądając się starym księgom.

–Lubisz Sofoklesa? – spytał mistrz pogodnie.

–Wolę raczej nowszych autorów.

–Dante?

–Jeszcze nowszych, współczesnych.

Starzec pokiwał z szacunkiem głową i zatrzymał się, spoglądając w oczy Luigiego.

–Myślisz, że aż tak wiele się zmieniło od tamtych czasów?

–My zmieniamy czasy. My, ludzie. A nie bogowie czy ślepy traf. Jeśli coś za wolno się zmienia na lepsze, to tylko nasza wina.

–Może... – Aureil ponownie się uśmiechnął. – Nawet twoje wino jest młodsze, jak sądzę po barwie.

–To prawda, ojcie.

Mistrz patrzył jeszcze przez chwilę na Baleę i ponownie zaczął przechadzać się wzdłuż regału.

–Pamiętasz, jak uczyłem cię w dzieciństwie zasad prawa i zwyczajów starożytnego Rzymu?

–Oczywiście.

–Nawet jeśli na skutek konfliktu któryś z ludzi honoru musiał umrzeć, jego oponent według zwyczaju opiekował się rodziną zmarłego i wszystkim, co było mu drogie.

–Tak – przyznał Luigi. – To mądra tradycja.

–Wspaniałe czasy. Rzymianin wydawał ucztę, zapraszał przyjaciół, kazał im się bawić, pił wino i odchodził w pokoju.

–Dużo bym dał, aby znaleźć się w tamtych czasach choć na chwilę. – Spojrzał na Aureila. – Ale tylko na chwilę.

Obaj się roześmieli.

Mistrz sięgnął po książkę, której szukał. Otworzył i zaczął cicho czytać:

... Jak ptak w osłonie lubionych gałęzi

Siedzi na gnieździe pośród miłych dziątek.

Kiedy noc jeszcze ziemię w cieniach więzi,

I żeby zebrać pokarmu dostatek[66]

–Moja ulubiona – przyznał.

–Znam tę pieśń. Czytałeś nam ją w dniu, kiedy powiedziałeś Iosifowi i mnie, że któryś z nas kiedyś cię zastąpi. Pamiętam to jak dziś.

–Ja również. Iosifowi Dante nigdy się nie podobał, ale pamiętam, że ty byłeś nim kiedyś oczarowany.

–Kiedyś tak – przyznał Balea.

–A propos. Nie wiesz, gdzie teraz jest mój drugi syn?

–Ostatni raz widziałem Iosifa w Warszawie, ojczu.

Mistrz uniósł kieliszek.

–Zaopiekuj się moimi gołębiami, Luigi. – Starzec spoważniał.

–Oczywiście.

Wypił do dna, postawił naczynie na małym stolczku stojącym między regałami i ponownie wziął się za lekturę. Luigi wypił swoje wino, podszedł do Aureila, pocałował z szacunkiem jego rękę i wolno wyszedł z biblioteki.

Starzec jeszcze przez chwilę spacerował, czytając pieśń, aż wreszcie zachwiał się i oparł o regał.

–Nie. Jeszcze nie – szepnął, przewracając z wysiłkiem stronę. – Jeszcze jedna linijka...

Książka wypadła mu z rąk, a po chwili on sam osunął się na podłogę. Śmierć przyszła lekko i bezboleśnie.

Pogoda nie była tu tak piękna jak w Polsce. Zachmurzone niebo przyniosło chłodny wiatr i zapowiedź deszczu. Luigi i Krzysztof stali na skarpie, delektując się widokiem na całą dolinę.

–Na pewno chcesz dzisiaj wyjechać? – upewnił się Balea.

–Tak. Muszę jeszcze załatwić kilka rzeczy.

–Jesteś wolny – przypomniał aurelita. – Nikt z nas nigdy już nie będzie cię niepokoił. Zresztą oprócz nielicznej garstki ludzi, którym ufam, nikt nie zna twojej twarzy, a większość braci w Europie i na całym świecie nie ma pojęcia, że w ogóle się pojawiłeś.

–Co z żołnierzami z sali?

–Lekko pokaleczeni. Nic im nie będzie.

–Musisz mi wybaczyć. Powiedziałeś, że mamy głośno krzyczeć i dobrze udawać, a niektórzy z nich zachowywali się jak na pokazie.

–Byli zaszczyceni, że mogą z tobą poćwiczyć, a że przy okazji miało to niektórych przekonać... To dobrzy chłopcy, może trochę ich poniosło. Wszyscy od dawna byli wtajemniczeni. Postarałem się, aby pozostałych wysłano w odległe rejony Europy.

–Co będzie, jak wrócą?

Balea uśmiechnął się uspokajająco.

–Nie będą mieli wyjścia, dostosują się. To żołnierze. Byłem ich dowódcą, teraz będę mistrzem.

–Gratuluję – Krzysztof powiedział to uprzejmie, ale bez entuzjazmu.

–Nie jestem pewien, czy jest czego. No, cóż... Trochę czasu minie, zanim wejdą w życie nowe zasady, ale kiedyś znowu zapanuje ład.

–Nauczą się żyć bez czekania na kolejnego Kapłana?

–Z czasem zapomną, że w ogóle są tacy ludzie jak ty. Człowiek błyskawicznie przystosowuje się do zastanej sytuacji i szuka nowych wyzwań.

Krzysztof odwrócił głowę w stronę aurelity.

–Nie chcę, abys źle to odebrał, Luigi, ale wasza idea, właściwie religia...

–Mówiłem ci, że wyznawała ją tylko wtajemniczona elita. Ogromna większość

ludzi, którzy dla nas pracowali, nie miała o niczym pojęcia. Utrzymywaliśmy dyscyplinę innymi sposobami. I to już od dawna. Nawet Aureil rozumiał, że dzisiejsze czasy nie pozwolą nikomu zachować tak olbrzymiej władzy, tylko dzięki dość abstrakcyjnej i na dodatek kontrowersyjnej idei. Świat jest zły, ale to my jesteśmy od tego, aby go zmieniać. Nie musimy do tego budzić bogów.

–Nie o to pytałem. Interesuje mnie, w co ty wierzysz? – spytał Lorent.

–Już dawno straciłem wiarę w istoty nadprzyrodzone. Stawało to się powoli i wprost proporcjonalnie do nabierania wiary w człowieka. Wybacz, jeśli ranię twoje uczucia religijne. Powrócisz do kapłaństwa?

–Nie wiem, czy powinienem – odparł Krzysztof. – Z pewnością poświęcę temu zagadnieniu wiele czasu. Chciałbym.

–Rozumiem.

–Mogę liczyć na to, że będziesz wyrozumiała jak Cezar? – Lorent zmienił nagle temat. – Wiesz, o czym mówię. Prowadził politykę wybaczenia nawet swoim wrogom. Historia to zapamiętała i uczyniła go wielkim.

–Wrogowie również mieli dobrą pamięć i uczynili go martwym, ale oczywiście masz rację.

Obaj wstydliwie się roześmieli.

–Mówiłeś, że rozmawiałeś z Aureilem.

–Tak – odparł Luigi. – To mądry człowiek, zrozumiał, że czas na zmianę warty. Przejdzie na zasłużoną emeryturę. Zaopiekujemy się nim. Nie skrzywdziłbym człowieka, który mnie wychował.

–To dobrze. A ten Luc...

–Trantignan.

–No, właśnie.

–On tym bardziej może liczyć na wyrozumiałość. Nie martw się o nich. Oni nie byli tacy jak Punin.

Krzysztof uklonił się aurelicie.

–Czas już na mnie. Bywaj, Luigi! Zamówiłem taksówkę, a samolot mam za dwie godziny.

–Możemy cię odwieźć.

–Nie trzeba. A... widziałem, jak godzinę temu wypuszczalesz gołębice. Słyszałem, że należą do Aureila?

–Tak. Ojciec czasem prosi mnie o to. Lubię to robić.

\* \* \*

Krzysztof jechał w milczeniu. Zapadająca noc pogrążała oddalający się zamek Chatillon w ciemnościach. Nie zostało już nic do powiedzenia ani do zrobienia. Wolność i wiara powróciły i choć świat może stał się trochę chłodniejszy, z pewnością także – spokojniejszy. Nawet jeśli Kapłan grzeszył, słuchając wywodów Luigiego Balei, wiedział, że nie nadszedł jeszcze czas prawdy. Nie wszystko jest drogą do zrozumienia i nie wszystko można osądzić. Być może trzeba było pojąć Wiedzę Wieków, by teraz wiedzieć, że to na razie koniec. Niewykluczone, że kiedyś trzeba będzie znów się tu spotkać, ale dzisiaj jest czas na odpoczynek. Na długi

**odpoczynek.**

## Rozdział 9

Piski dochodzące spod kołdry zmusiły profesora do użycia siły. Rzucił się na kobietę i pomagając sobie poduszką, przylgnął do niej, aby nie mogła już więcej go łaskotać i drapać.

–Udusisz mnie grubasie! – wrzasnęła Ola.

–To przestań. Nie wytrzymam więcej łaskotek! – zaprotestował Wilecki.

–Słowo honoru?

–Słowo.

Uwolnił wreszcie Olę i sam wstał z łóżka.

–Nie mam już siły – przyznał.

–Na nic? – zdziwiła się Sambierska.

–Daj spokój! Robiliśmy to dzisiaj aż trzy razy, później graliśmy w berka dookoła łóżka, a na koniec chciałaś mnie pozbawić życia łaskotkami. Nie mam już dwudziestu lat, poza tym... – nagle przerwał, przerażony.

–Co się stało? – zaniepokoiła się Ola.

–Ubieraj się! Spójrz na zegarek! – Wilecki wskazał na ścienną kukułkę. – Link!

–Co Link?

–Łąduje za dwadzieścia minut, nie pamiętasz?!

–O rany boskie! – Sambierska złapała się za głowę. – Zapomniałam!

–Masz dzisiaj dyżur w szpitalu?

–Dopiero nocny.

–Wskakuj w cokolwiek i pędzimy!

Po zbiegnięciu ze schodów Ola zauważyła w swojej skrzynce list, więc szybko ją otworzyła.

–Nie mamy teraz czasu! – Wilecki pociągnął ją za rękę.

–Ale to od... Krzyśka.

–To bez sensu, przecież on przylatuje z Linkiem. Umówili się u niego. Potem otworzysz, biegniemy do samochodu!

Ewa Nowicka skrzywiła się z niesmakiem. Siedzieli w samochodzie i z minisłuchawkami w uszach przyglądali się, jak profesor i lekarka wybiegają z domu.

–Zdejmijmy ten podsłuch, to nie ma sensu. – Policjantka pokręciła głową.

–Może masz rację – mruknął Michał Kępiński. Zamknął oczy, jakby chciał się zdrzemnąć.

–Po co nam to wszystko? Lekarka się znalazła, nikt nie zgłosił zabójstwa, wszyscy są szczęśliwi.

–A Lorent?

–Jest za granicą u tego Szwajcara, słyszałeś. Dajmy spokój. Nikt nie chce tego rozgrzebywać, wszyscy chcą zapomnieć.

–Zapomnieć? Łatwo powiedzieć. – Michał wzruszył ramionami. – Skąd mogę wiedzieć, że ci szaleńcy kiedyś nie powrócą i może znowu zaatakują moją rodzinę?

–Nie sądzę, żeby tak się stało. A nawet jeżeli, to najpierw trafią do nich. –

Wskazała na odjeżdżający z Olą i Wileckim samochód.

Kępiński potarł dłońmi twarz.

–Dobra – zdecydował wreszcie. – Zdejmujemy. Jutro pójdę do szpitala i zamknę sprawę.

–Daj jej chwilę na wymyślenie czegoś, co nadawałoby się do akt.

–Sądzę, że jest gotowa. Odwieź mnie do domu, dziewczynki chyba już wróciły.

\* \* \*

Na lotnisku stanęli przed profesorem potargani, w pogniecionych ubraniach, ale wyjątkowo weseli.

–Co wam się stało? – spytał również uśmiechnięty od ucha do ucha Link. – Mieliście tu huragan?

–Gorzej – przyznał Wilecki. – A gdzie Lorent?

Szwajcar stanął jak wryty.

–Przecież jest u was! Przyjechałem między innymi po to, by się z nim spotkać i przedyskutować pewne problemy. Dostałem wiadomość, że jest u was!

–A my, że jest z panem. Depesza z wczoraj – jęknął Wilecki.

Ola pośpiesznie otworzyła kopertę listu, który pół godziny temu wyjęła ze skrzynki.

–No i co? – spytali obaj niemal jednocześnie. Przebiegła wzrokiem kilka razy po kartce, po czym wybuchła śmiechem.

–To do nas wszystkich – prychnęła.

–Czytaj – mruknął wkurzony Wilecki.

–Jak chcecie. – Wzruszyła ramionami i zaczęła wolno, linijka po linijce recytować:

Wstanę teraz, by pójść ku wyspie Inisfree,

Chatka z gliny i łóz na środku wyspy stanie:

W dziewięciu rzędach groch i ul, i pszczoły, i

Mieszkanie będę miał na pełnej pszczoł polanie.

I znajdę spokój tam, gdzie świerszczy śpiewny gwar,

Spokój z poranka mgieł powoli spłynie w końcu;

Północ tam zawsze lśni, błyszczą południa żar

A purpurowy zmierzch pełen jest skrzydeł dzwońców[67]

–Co to do cholery jest?! – warknął zdezorientowany Boguś.

–Yeats. Jeden z jego ulubionych poetów, a mój ukochany. – Sambierska wciąż zanosila się śmiechem.

–Ale kiedy przyjedzie? – spytał poważnie Link, który nie rozumiał polskiego tłumaczenia.

Ola śmiała się nadal.

–Nigdy – wyrechotała.

–Co?! – jęknął Wilecki. – Nigdy? Oszukał nas?

Sambierska wreszcie spoważniała i wyrecytowała:

I bądź jak struna, w szaleństwie

Zmuszana do śmiechu przez barda

Wewnątrz budowli z kamienia,

Bowiem najtrudniej na świecie

Zwycięzać pośród milczenia



**I cieszyć się z tego w sekrecie[68]**

**–To też od niego? – wydukał załamany profesor.**

**–Nie. To ode mnie dla ciebie – powiedziała poważnie Ola.**

**–Jak mógł to zrobić? – zdziwił się z kolei Link. – To naprawdę trochę niewdzięczne.**

**–Nie nazwałabym tego tak. Myślę, że planował to od dawna.**

**–Jak to? – zdziwił się Szwajcar. – Przecież tyle dla niego zrobiliśmy!**

**–Nie, profesorze. Dzięki Balei jest wolny, ale wiadomo, że przebiegły Luigi zrobił to przede wszystkim dla władzy! Pieprzonej, podstępnej, mrocznej władzy. Kiedyś był zwykłym dowódcą żołnierzy, dziś jest przywódcą największego tajnego bractwa na świecie, a taki Kapłan tylko by mu przeszkadzał. Nadal może na wpływach zarabiać niesłychane pieniądze, wtrącać się w politykę, kierować biznesem, kiedy tylko uzna to za opłacalne, i nic nie możemy na to poradzić. Kapłan również. Ciekawi jesteście, jak daleko może sięgać ludzka hipokryzja? No to macie wszystko jak na dłoni. Jedna władza zastępuje drugą, korzystając z niezadowolenia szarych ludzi. Czaruje, judzi, obiecuje, prószy w oczy propagandą. Nic wam to nie mówi? Wszystko jest gównem. Nic tak naprawdę się nie zmienia, tyle tylko, że my w tym układzie jesteśmy do przodu. Bala zwyciężył, Krzysztof jest wolny. Super. A my? Myślicie, że jesteśmy lepsi? Wiecie na przykład, kiedy Lorent ma urodziny, imieniny, jak się miewa jego przyjaciel Bzdet i jego urocza małżonka? Jak się po tym wszystkim czuje?**

**Obaj mężczyźni stali jak wryci, z lekka zniesmaczeni tą tyradą.**

**–No, właśnie – ciągnęła Ola. – Jak patrzę na wasze zadowolone miny, skręca mnie. Bo chcecie od niego tylko jednego i na tym cała przyjaźń się kończy. Nawet ja go wykorzystałam, choć Bóg mi świadkiem, że nie chciałam.**

**–Bóg? Tobie? Świadkiem? – zarechotał z kolei Wilecki.**

**–A żebyś wiedział! To, że w niego nie wierzę, nie oznacza, że on sobie tam gdzieś nie istnieje.**

**Nastąpiła cisza, po której znów odezwała się Ola.**

**–Widzicie? Stoimy jak te jełopy. Spotkaliśmy się bez niego, i co? Nawet nie wiemy, w którą stronę iść.**

**Wilecki z zażenowania pokiwał głową.**

**–Daj spokój, czy to ważne?**

**–A więc rzucam monetą w górę – powiadomiła ich Sambierska, nie zwracając uwagi na Bogusia. – Orzeł, idziemy w tamtą stronę. – Wskazała palcem przypadkową ulicę. – A reszka, w przeciwną.**

**–To trochę niepoważne – zakłopotał się Link.**

**–Też tak myślę – dopowiedział Boguś.**

**–Niepoważne?! – parsknęła Ola.**

**Moneta poleciała wysoko w górę. Wszyscy obserwowali, jak obraca się w powietrzu i mieni w słońcu. Panowie, niestety, nawet na chwilę nie zwrócili uwagi, że tarasują chodnik. Wciąż patrzyli na niesforną dwuzłotówkę, która pokazywała raz jedną, raz drugą stronę i jak na złość wciąż nie chciała spaść. Jakby ktoś zagaścił**

wokół niej powietrze na tę krótką i podobno nieważną chwilę.

# Epilog

Malia, Kreta rok 1690 p.n.e.

Tacjades słyszał w oddali płacz kobiet i dzieci, lecz wciąż patrzył w dolinę, gdzie wielki pałac tonął w ogniu. Wszystko, co było mu drogie w tym życiu, zabierali teraz ci, którzy przybyli od morza, by niszczyć, rabować i nieść śmierć.

Filander stał obok niego i choć wzrok miał pełen złości i nienawiści, nie wstydził się, że po policzkach płyną mu łzy, których nie znał od tak wielu lat.

–Ruszamy dalej – szepnął Tacjades i zszedł ze skały.

Filander chwilę jeszcze stał, jakby nie potrafił oderwać oczu od morza spowitego dymem. Może pomogła mu myśl, że nigdy już tu nie wróci, a może drzemała w nim jeszcze siła młodego wojownika jego własnych marzeń, ale wreszcie otarł policzki. Odwrócił się raptownie i poszedł za przyjacielem.

Przed nimi rozciągała się rzeka ludzi – rannych, brudnych, zmęczonych. Szli w góry, szukając nowego miejsca dla siebie, by przeżyć.

–Panie! – usłyszał nagle Tacjades za swoimi plecami.

–Tak, Tiksie? – Dostrzegł chłopca z umorusaną buzią i ręką opatrzoną liśćmi *corpeus*.

–Król cię wzywa.

–Już idę. – Dał znak Filandrowi, aby poszedł na koniec kolumny i pomógł kobietom, dzieciom oraz ochraniającej ich, ocalałej z rzezi straży.

Król leżał na wielkich noszach. Przykryty tkanym pledem lekko drżał. Był zbyt poważnie ranny, aby dało się zachować jakąś nadzieję, ale dumny wzrok władcy nie pozwalał na żadną rozpacz czy smutek wokół jego osoby.

–Tacjadesie... – szepnął z trudem.

–Tak, panie.

–To już chyba nasze ostatnie spotkanie.

Nie śmiał zaprzeczyć, więc milczał.

–Wezwałem cię, by ostatecznie powierzyć ci opiekę nad moim ludem – ciągnął władca. – Dawno już o tym rozmawialiśmy, ale przecież wiadomo, że przerastasz wszystkich umysłem i duchem.

–Panie...

–Nie mam zbyt wiele czasu, więc pozwól mi mówić.

–Tak, panie.

–Zabierz mój lud w góry, gdzie przetrwacie do czasu, gdy bogowie ukarzą tych, którzy tak nas skrzywdzili. Pochowaj moich synów, a ich prochy oddaj niebu. To samo zrób z wszystkimi ciałami naszych braci, które udało się wywieźć z miasta. Zaopiekuj się moją żoną. Znajdź dobre miejsce i bądź władcą, który przywróci nam dumę.

–Całą duszą i ciałem. – Tacjades pokłonił się nisko.

–Kiedy nadarzy się okazja, połącz siły z innymi miastami naszej ziemi, wiem, że spotkało je to, co nas.

–Wędrują w góry, jak my. Posłaniec przyniósł takie wieści.

Król zamilknął na chwilę. Dał znak prythanowi, który cały czas stał u jego

**węzłowa, aby zdjął mu pierścień i przekazał go nowemu władcy.**

**–Taczadesie!**

**–Tak, panie.**

**–Pamiętaj, kim jesteś i skąd pochodzisz. Kiedy nadejdzie odpowiedni moment, nasz lud musi wrócić tam, skąd teraz odchodzimy. Może nie nastąpi to za twojego życia ani za życia twojego syna, ale kiedyś przyjdzie ta chwila. To nasz obowiązek. Każ przekazywać moje słowa z pokolenia na pokolenie aż do czasu, kiedy wielka Malia znów będzie dumnie spoglądać w morze z miejsca, w którym bogowie nakazali jej trwać przez wieki.**

**Niedaleko granicy kraju Banów – rok 987**

**Desgear jeszcze w wodzie wyskoczył z łodzi, mocno chwycił hak nadziobny i najszybciej jak mógł ukrył w zaroślach przeciekające już czołno. Padł na ziemię, nasłuchując. Możliwe, że walka po drugiej stronie jeziora miała się ku końcowi, a śmierć uciszyła konających. Trzeba było biec na zachodnią stronę jeziora. Jeśli Devirkowi udało się ocalić konie, być może już tam jest...**

**Zerwał się więc wiking na nogi i nie zważając na gęsty, surowy bór, odgarniając gałęzie i zarośla, biegł przez ciemność, zerkając tylko co pewien czas na księżycowy połysk tafli wody. Las szumiał i mówił do niego głosami nocnych zwierząt, strachem i tajemnicą. Gęstwina chroniła, ale też raniła twarz, dłonie, a nawet szyję. Pozwalała oddychać zapachem wszelakiego życia, lecz przerażała również historią nigdy nieodgadnioną, daleką i obcą.**

**Dasgear upadł, zanurzając twarz w miękki mech delikatny i wilgotny, choć bogowie nie zsyłali deszczu już prawie od tygodnia. Dasgear usłyszał daleko szelest, ale była w nim pewność, że to człowiek. Uniósł się, gotów do walki. Za późno było na ucieczkę lub zaskoczenie wroga. Człowiek ów nie krył się jednak i nie czynił jakichkolwiek wrogich gestów. Prowadził dwa konie i szedł na spotkanie brata. Kroczył spokojnie, dumnie, jakby nie drasnęła go żadna wroga włócznia, miecz czy sztylet. Smutek i powaga zastąpiły dziecięcą, nieodległą jeszcze niedawno radość, a wywodziły się one z czegoś innego niż walka, którą stoczył niedawno, i miały zostać z nim już na zawsze.**

**Wielka, drewniana palisada otaczająca gród była niezwykła. Sięgała wysoko na trzech mężów, grubsza od dębów najstarszych była i mocna jak grecki Atlas z opowieści krajów peloponeskich i imperium starych cesarzy. Wikingowie czekali cierpliwie już piąty dzień, aż Rada Starszych wpuści ich do miasta lub zadecyduje, aby odeszli. Rozmawiali codziennie, długo, ciągle to z innymi jej przedstawicielami, tłumacząc i odpowiadając na wszystkie pytania, jakie tamci zadawali. Starszyzna pytała o rozmaite rzeczy, patrząc przybyszom głęboko w oczy i choć żądali wyczerpujących odpowiedzi, męczących prób i wielu deklaracji, nigdy nie zapytali o to, skąd wikingowie przybyli i dlaczego opuścili swój kraj. Wreszcie któregoś dnia, gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, brama się otworzyła i siwy, rosły starzec wyszedł naprzeciw nim. Ogłosił, że Rada zdecydowała się przyjąć ich na próbę, a jeśli pokochają miasto jak swoje i uszanują zwyczaje oraz prawa, będą mogli zostać na zawsze.**

Za bramy rozciągał się widok niezwykły. Niebywała liczba domów, ludzi, dróg, gdzie krzątały się dziesiątki mężczyzn, kobiet i dzieci. Desgear nigdy czegoś tak okazałego nie widział. Ani w Jelling, ani w Roskilde, ani nigdzie na świecie, gdy pływał z druhami. Podobno w kraju starych cesarzy, na Czarnym Łądzie czy u Saracenów były kiedyś takie miasta, ale on tam nie dotarł.

–Devirk! – wykrzyknął z radością, rzucając się w objęcia młodszego brata. Ucałował go mocno i długo tulił do siebie. – Zaczniemy nowe życie! Zbudujemy tu swój dom, może pokochamy tutejsze kobiety, a one dadzą nam szczęście i dzieci! Powracasz przecież do zdrowia, ja na pewno przydam się miastu w niejednej robocie. Devirk! Kocham cię, bracie!

Szczęście Desgeara wydawało się nie mieć granic.

Jednak młody wiking, choć jego serce też wypełniła radość, patrzył na północ, gdzie już zapadała ciemność, ale wiatr wciąż przynosił dalekie odgłosy znaną fiordów.

[\[1\] Agony – starożytne greckie zapasy.](#)

[\[2\] Fellach – chłop egipski.](#)

[\[3\].Zeugici – trzecia z czterech grup majątkowych w Atenach.](#)

[\[4\] Amenemhat III – władca Egiptu od 1853 p.n.e., XII dynastia.](#)

[\[5\] Eteokreteńscy – „prawdziwi Kreteńscy” – jeden z pięciu głównych ludów zamieszkujący starożytną Krete obok Pelazgów, Kydonów, Achajów i Dorów.](#)

[\[6\] Astarte – bogini księżycy, niebios, wojny i miłości, czczona przez Fenicjan, Asyryjczyków i Babilończyków.](#)

[\[7\] Astoreth – patrz: Astarte.](#)

[\[8\] Moloch – bóstwo czczone przez Asyryjczyków, Fenicjan i Kartagińczyków; składano mu ofiary z ludzi, czasem nawet z niemowląt.](#)

[\[9\] Dedal – w mit. gr. bajecznie zręczny rzemieślnik, projektant i budowniczy m.in. słynnego labiryntu dla Minotaura – syna Pazyfae, jednej z władczyń starożytnej Krety, żony legendarnego Minosa.](#)

[\[10\] Pitos – ogromne naczynie, zazwyczaj z gliny, w którym przechowywano żywność – ziarno, oliwę, wino.](#)

[\[11\] Polythyry – ściany przebite otworami, charakterystyczne dla starożytnych kreteńskich pałaców.](#)

[\[12\] Stadion – dawna grecka miara długości wynosząca od 165 do 210 m.](#)

[\[13\] Megaron – prostokątna sala zwykle obudowana portykiem, czyli konstrukcją ograniczoną z jednej strony ścianą, a z drugiej zamkniętą kolumnadą.](#)

[\[14\] Perystyl – ogród otoczony kolumnadą.](#)

[\[15\] Prytanowie – członkowie wielkiej rady sprawującej władzę nad miastem.](#)

[\[16\] Peplos – długa, wełniana szata spięta na ramionach.](#)

[\[17\] Demeter – bogini urodzajnej ziemi i płodności.](#)

[\[18\] Penisy – tu: pogardliwie i wulgarnie o wrogach.](#)

[\[19\] Rab – starożytny niewolnik.](#)

[\[20\] Megera – jedna z trzech erynii, bogiń zemsty, pozostałe dwie to Alekto i Tysyfona.](#)

[\[21\] Hyksosi – gr. forma egipskiego określenia semickich przywódców](#)

szczepowych, pochodzących z Azji, którzy uzależnili od siebie w XVII w. p.n.e. cały Egipt.

[22] Cyrenajka – historyczna kraina we wschodniej Libii na wybrzeżu Morza Śródziemnego.

[23] Argolida – (gr. *Argolis*) kraina historyczna na północnowschodnim Peloponezie. W okresie achajskim utrzymywała ściśle kontakty handlowe z Kretą i Egiptem, przez co stała się potężnym królestwem achajskim. Od ok. XI w. p.n.e. zamieszkiwali ją Doro wie.

[24] Hades – w mit. gr. kraina umarłych.

[25] Sylen – bóg płynącej wody, który nauczył Dionizosa pić wino. Często upijał się, aby filozofować.

[26] Heyannir – nazwa jednego z miesięcy staronordyckich, według zwyczajów wikingów „czas zbierania siana”.

[27] Karl – w społeczeństwie Normanów wolny człowiek.

[28] Język Ludolfingów – tu: język niemiecki, od nazwy dynastii saskiej, z której pochodzili cesarze niemieccy, między innymi Otton I, II i III.

[29] Nefatavl – popularna wśród wikingów gra planszowa.

[30] Azowie – rodzina bogów skandynawskich, do których należeli m.in. Odyn, Baldr i Hoder.

[31] Wanowie – ród bogów rządzących powietrzem i siłami przyrody, m.in. Njord, Frey i Freyja.

[32] Wyznawać Christa – król Harald Sinozęby wprowadził chrześcijaństwo na ziemiach duńskich w 965 roku.

[33] Vetr – miesiąc rozpoczynający w kalendarzu wikingów zimę.

[34] Tveskag – Swen Widłobrody, przywódca buntu przeciwko swojemu ojcu Haraldowi Sinozębememu – władcy Jutlandii, Fionii, Zelandii i ziem dzisiejszej pd. Szwecji, późniejszy król Danii, Norwegii i Anglii.

[35] Tveskag – Swen Widłobrody, przywódca buntu przeciwko swojemu ojcu Haraldowi Sinozębememu – władcy Jutlandii, Fionii, Zelandii i ziem dzisiejszej pd. Szwecji, późniejszy król Danii, Norwegii i Anglii.

[36] Truso – miasto nad jeziorem Drużno w okolicach dzisiejszego Elbląga.

[37] Jarl – najwyższy kapłan i sędzia, ale tu Devirkowi chodzi o Haralda Sinozębego, przeciwko któremu wystąpił Swen Widłobrody.

[38] Tyr – skandynawski bóg wojny i mądrości.

[39] Walfadr – ojciec poległych, inaczej Odyn, najmądrzejszy i najpotężniejszy bóg wierzeń skandynawskich.

[40] Bestii – olbrzymka, żona Bora, matka Ody.

[41] Karol Wielki (742 lub 747-814) – król Franków, później cesarz.

[42] Język dawnych cesarzy – łacina.

[43] Polifem – mit. potężny cyklop występujący m.in. w *Odysei* Homera. Polifem uwięził w swojej jaskini Odyseusza i jego towarzyszy, zamykając wejście wielkim głazem, a następnie pożarł kilku z nich. Odyseusz jednak zdołał upić go winem, a kiedy olbrzymzasnął, wypalił mu rozżarzoną drągami jedyne oko.

[44] Thor – skandynawski bóg o ogromnej sile, przyjazny ludziom, opiekun domostw.

[45] Gnóthi seautón – delficka maksyma: „poznaj samego siebie”.

[46] Jackson Pollock (1912-1956) – malarz amerykański, przedstawiciel ekspresjonizmu abstrakcyjnego. Rozwinął własny styl tworzenia z charakterystycznym kapaniem farbą na płótno i jej rozpryskiwaniem (tzw. *action painting*, czyli „malarstwo gestu”).

[47] Cool (czyt. kuul) – w slangu angielskim: „kapitałnie”, „czadowo!”.

[48] Marguerite Gerard (1761-1837) – malarka francuska, uczennica J.H. Fragonarda. Malowała sceny rodzajowe, portrety, głównie kobiet.

[49] Gotfryd z Bouillon (1060-1100) – jeden z przywódców pierwszej wyprawy krzyżowej, obwołany władcą Jerozolimy (odmówił przyjęcia korony), ogłosił się obrońcą Grobu Świętego.

[50] Eleanor Rigby – tytułowa bohaterka słynnej piosenki angielskiej grupy rockowej The Beatles z przełomowego – zdaniem wielu socjologów i badaczy – w historii muzyki rozrywkowej albumu *Revolver*.

[51] *Animae partus* (łac.) – w wolnym tłumaczeniu – Część (mojej) duszy. Ale tu Krzysztof jednocześnie cytuje tytuł utworu zespołu Pain of Salvation otwierający płytę *Be*.

[52] Małgorzata I – królowa duńska w latach 1387-1396. Doprowadziła do unii kalmarskiej, jednoczącej pod jednym berłem Danię, Szwecję i Norwegię.

[53] Bertel Thorvaldsen (1770-1844) – duński rzeźbiarz klasycystyczny. Twórca między innymi *Herkulesa* dla rezydencji królewskiej w Christiansborgu, *Adonisa*, *Triumfującego Amora*, *Hebe*, *Siedzącego pastuszka*.

[54] Saxo Grammaticus (ok. 1150-1220) – duński historyk i kronikarz, sekretarz Absalona. Prawdopodobnie urodził się na Zelandii, a nauki pobierał we Francji. Jego szesnastotomowa, spisana po łacinie, historia Danii *Gęsta Danorum* opisuje wielopokoleniową historię władców Normanów od czasów mitycznych. Opisał w niej także min. życie Słowian nadbałtyckich.

[55] Abatereni – inaczej Obodryci. Plemiona należące do Słowian połabskich.

[56] Thyra – ur. prawdopodobnie ok. 950 roku córka Haralda i jego drugiej żony Gyrithe.

[57] Lagenaria – *Lagenaria leucantha*, inaczej tykwa.

[58] Medea – mit. gr. Czarodziejka, żona Jazona, przywódcy Argonautów. Namówiła córki uzurpatora Peliasa, aby zabiły swojego ojca, twierdząc, że odmłodzi go, jeśli go pokroją, a kawałki ugotują w specjalnym kotle.

[59] Laufer – sługa, dawn. giermek torujący drogę panu, goniec.

[60] Konstantyn I Wielki, Flavius Valerius Constantinus (ok. 280-337) – cesarz rzymski od 306. Syn Konstancjusza I Chlorusa i Heleny. Po śmierci ojca w Brytanii, obwołany przez wojsko cesarzem Zachodu.

[61] *In hoc signo vinces* (łac.) – „pod tym znakiem zwyciężysz”. Legenda mówi, że przed wygraną bitwą z Maksencjuszem w 312 roku, przy Moście Mulwijskim w Rzymie, Konstantyn Wielki miał sen, w którym ukazał mu się na niebie świetlisty

krzyż z napisem: *In hoc signo vinces*, co miało być przyczyną jego prochrześcijańskiej polityki przez cały okres późniejszego panowania.

[62] Mata Hari, właściwie Margaretha Geertruida McLeod z d. Zelle (1876-1917) – holenderska tancerka, dama do towarzystwa oraz szpieg. Znana z urody i przebiegłości. Zdobyła wielką sławę w Europie Zachodniej na początku XX wieku. Rozstrzelana pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Niemiec, mimo że nigdy nie udowodniono jej winy.

[63] Masoreci – (hebr.: panowie tradycji). Żydowski kopiści, którzy starali się przywrócić i zachować pierwotną formę pism biblijnych. Zadanie to było podyktowane zanikającą znajomością języka hebrajskiego, która mogła powodować błędne rozumienie świętych tekstów.

[64] Sofizmat – rozumowanie pozornie poprawne, oparte na wieloznaczności wyrażeń i nieścisłości wnioskowania; świadomy błąd logiczny.

[65] Samon – twórca i władca pierwszego w historii potężnego państwa słowiańskiego. Pokonał m.in. Dagoberta I, króla Franków w 631 roku pod Wogastizburgiem. Po śmierci swojego twórcy państwo się rozpadło.

[66] Dante Alighieri – *Commedia (divina)* pieśń XIII, tł. E. Porębowicz.

[67] William Butler Yeats – *Wyspa na jeziorze*, tł. Leszek Engelking.

[68] William Butler Yeats – *Do przyjaciela, którego praca poszła na marne*, tł. Tomasz Wyżyński.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-11

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/